

ARAVIND ADIGA

BIAŁY TYGRYS

Przełożył LUDWIK STAWOWY

Tytuł oryginału THE WHITE TIGER

Raminowi Bahraniemu

I

NOC PIERWSZA

Adresat:

Jego Ekszelencja Wen Jiabao

Gabinet Premiera

Pekin, stolica miłującego pokój państwa Chiny

Nadawca:

Biały Tygrys

Człowiek myślący i przedsiębiorczy zamieszkały w światowym centrum techniki i outsourcingu

Electronics City Phase 1 (przy Hosur Main Road)

Bangalur, Indie

Szanowny Panie Premierze, żaden z nas nie mówi po angielsku, ale są wyrażenia, które dobrze brzmią tylko po angielsku.

Jednego z nich nauczyłem się od pani Pinky, byłej żony mojego nieżyjącego pracodawcy, pana Ashoka, i kiedy dziś o 23.32, czyli mniej więcej dziesięć minut temu, indyjskie radio poinformowało, że premier Jiabao przyjedzie w przyszłym tygodniu do Bangaluru, od razu je wymówiłem.

W gruncie rzeczy wypowiadam je zawsze, gdy odwiedzają nasz kraj tacy wielcy ludzie jak Pan. Co nie znaczy, że mam coś przeciwko wielkim ludziom. Uważam, że w pewnym sensie sam jestem człowiekiem Pańskiego pokroju. Ale ilekroć nasz premier i jego znakomita świta jadą w czarnych samochodach na lotnisko, wysiadają, wykonują przed kamerami powitalne namaste i mówią, jak moralne i pobożne są Indie, muszę wypowiedzieć te angielskie słowa.

Więc Ekszelencja odwiedza nas w tym tygodniu, prawda? Indyjskiemu radiu zwykle można wierzyć w tych sprawach.

Żartowałem, proszę Pana.

Ha!

Dlatego chciałbym się dowiedzieć bezpośrednio od Pana, czy naprawdę przyjedzie Pan do Bangaluru. Jeśli tak, to mam Panu coś ważnego do powiedzenia. Spikerka mówiła: „Pan Jiabao przyjeżdża, aby poznać prawdę o Bangalurze”.

Zamarłem. Bo kto zna prawdę o Bangalurze lepiej niż ja?

Potem spikerka powiedziała: „Pan Jiabao chce się spotkać z indyjskimi przedsiębiorcami, żeby z ich własnych ust usłyszeć, jak odnieśli sukces”.

Krótko to wyjaśniła. Podobno wy, Chińczycy, przewyższacie nas pod każdym względem, ale nie macie przedsiębiorców. A nasz kraj, chociaż brak mu wody pitnej, elektryczności, kanalizacji, transportu publicznego, dbałości o higienę, dyscypliny, uprzejmości, punktualności - przedsiębiorców ma. Tysiące. Zwłaszcza w dziedzinie techniki.

I ci przedsiębiorcy - my, przedsiębiorcy - stworzyli wszystkie owe firmy żyjące z outsourcingu, które właściwie napędzają dziś Amerykę.

Ma Pan nadzieję, że się Pan dowie, jak stworzyć paru chińskich przedsiębiorców, dlatego nas Pan odwiedza. To mi się spodobało. Ale zaraz sobie uświadomiłem, że zgodnie z protokołem premier i minister spraw zagranicznych mojego kraju przywitają Pana na lotnisku girlandami, statuetkami Gandhiego wyrzeźbionymi z drewna sandałowca i broszurką pełną informacji o przeszłości, teraźniejszości i przyszłości Indii.

I wtedy, proszę Pana, musiałem powiedzieć te angielskie słowa. Głośno.

To było o 23.37. Pięć minut temu.

Nie ograniczam się do przekleństw. Jestem człowiekiem czynu. Od razu postanowiłem nagrać list do Pana.

Jeśli Pan pozwoli, zacznę od wyrażenia wielkiego podziwu dla pradawnego państwa chińskiego.

Czytałem o waszej historii w książce „Fascynujące opowieści o egzotycznym Wschodzie”, którą znalazłem na ulicy, w czasach gdy niedzielami starałem się zdobyć trochę mądrości na targu używanych książek w Starym Delhi. Była to książka głównie o złocie i piratach z Hongkongu, lecz zawierała też pewne przydatne informacje ogólne. Dowiedziałem się z niej, że wy, Chińczycy, jesteście wielkimi miłośnikami wolności i swobody osobistej. Brytyjczycy chcieli zrobić z was swoje sługi, ale nigdy im na to nie pozwoliliście. Podziwiam to, Panie Premierze.

Trzeba Panu wiedzieć, że byłem kiedyś sługą.

Tylko trzy państwa nigdy nie pozwoliły rządzić sobą obcym: Chiny, Afganistan i Abisynia. I tylko te trzy państwa podziwiam.

Z szacunku dla umiłowania wolności okazywanego przez naród chiński, i wierząc, że dziś, gdy biały człowiek, nasz dawny pan, sam się zniszczył swoimi zbroczeniami, telefonami komórkowymi i narkotykami, przyszłość świata leży w rękach ludzi brązowych i żółtych - powiem Panu, gratis, prawdę o Bangalurze, opowiadając historię własnego życia.

Kiedy będzie Pan jechał przez Bangalur i samochód zatrzyma się gdzieś na czerwonym świetle, pewnie podbiegnie chłopiec, zapuka w szybę i pokaże starannie opakowany w celofan piracki egzemplarz amerykańskiej książki pod tytułem

DZIESIĘĆ TAJEMNIC SUKCESU W BIZNESIE! albo
JAK W TYDZIEŃ ZOSTAĆ PRZEDSIĘBIORCĄ!

Proszę nie marnować pieniędzy na te amerykańskie książki. One są takie wczorajsze.
Ja jestem człowiekiem jutra.

Jeśli idzie o formalne wykształcenie, to mam pewne braki. Szczerze mówiąc, nigdy nie skończyłem szkoły. Ale czy to ważne? Nie przeczytałem zbyt wielu książek, lecz znam wszystkie, które się liczą. Umiem na pamięć dzieła czterech największych poetów wszech czasów - Rumiego,

Iabala, Mirzy Ghaliba; nazwisko czwartego zapomniałem.

Jestem przedsiębiorcą samoukiem.

Tacy są najlepsi, proszę mi wierzyć.

Kiedy już Pan się dowie, jak się znalazłem w Bangalurze i zostałem jednym z najskuteczniejszych (choć może najmniej znanych) tutejszych przedsiębiorców, będzie Pan wiedział wszystko o tym, jak przedsiębiorczość się rodzi, czym się żywi i jak się rozwija w naszym wspaniałym dwudziestym pierwszym wieku rodzaju ludzkiego.

A dokładnie - w wieku złotego i brązowego człowieka.

Pana i moim.

Zbliża się północ, Ekscelencjo. O tej porze dobrze mi się mówi.

Nie śpiam w nocy. W moim piętnastometrowym gabinecie jestem sam. Tylko ja i żyrandol nade mną, ale nie byle jaki. Jest ogromny, składa się z mnóstwa drobnych romboidalnych szkiełek, niczym żyrandole z filmów z lat siedemdziesiątych. Chociaż noce w Bangalurze są dość chłodne, umieściłem nad nim miniaturowy wentylator - pięć pokrytych pajęczyną łopatek. Kiedy się kręcą, tną światło żyrandola i rozsiewają je wokół jak stroboskopy w najlepszych bangalurskich dyskotekach.

To jedyne piętnastometrowe pomieszczenie biurowe z żyrandolem w Bangalurze! Ale i tak właściwie dziura w ścianie, a siedzę w nim przez całą noc.

Przekleństwo przedsiębiorcy. Firmy musi pilnować bez przerwy.

Zaraz włączę wentylator i światło żyrandola zawiruje po pokoju.

Jestem odprężony. Mam nadzieję, że Pan też.

Zaczynamy.

Tylko jeszcze powiem Panu, że angielskie wyrażenie, którego się nauczyłem od pani Pinky, byłej żony pana

Ashoka, mojego zmarłego pracodawcy, to:

What afuckingjoke.

Nie oglądam już hinduskich filmów, z zasady, ale w czasach, kiedy je oglądałem, tuż przed pojawieniem się tytułu rozbłyskała na czarnym ekranie liczba 786 - muzułmanie uważają, że to liczba magiczna, reprezentująca ich Boga - albo pokazywał się obraz kobiety w białym sari, do której stóp spadały złote monety; była to Lakszmi, bogini hinduistów.

W moim kraju panuje stary, uświęcony tradycją zwyczaj, że opowieść zaczyna się od modlitwy do Siły Wyższej.

Myślę, Ekscelencjo, że ja też powinienem zacząć od złożenia pocałunku na dupie któregoś boga.

Którego zatem? Bo jest naprawdę duży wybór.

Muzułmanie mają jednego.

Chrześcijanie trzech.

A hinduiści trzydzieści sześć milionów.

W sumie mogę więc wybierać spośród 36 000 004 boskich dup.

Ale są tacy - i nie mam na myśli tylko komunistów jak

Pan, lecz myślących ludzi ze wszystkich partii politycznych - którzy uważają, że w istocie niewielu bogów istnieje, a niektórzy wręcz są zdania, że nie istnieje żaden. Nie jestem filozofem ani poetą, skąd więc mam wiedzieć, jak jest naprawdę? Owszem, wygląda na to, że wszyscy ci bogowie prawie nic nie robią - zupełnie jak nasi politycy - a i tak rok po roku są wybierani na swe złote trony w niebie. Nie mówię, że ich nie szanuję. Skądże znowu, Panie Premierze!

Niech Panu czasem nie przyjdzie taka bluźniercza myśl do złotej głowy. Mój kraj należy do tych, w których opłaca się grać na dwie strony: hinduski przedsiębiorca musi być jednocześnie rzetelny i nieuczciwy, drwiący i wierzący, podstępny i szczerzy.

Teraz zamykam oczy, składam dłonie w pełnym czci namaste i modlę się do bogów, żeby rzucili światło na moją mroczną historię.

Proszę o wyrozumiałość, Panie Jiabao. To może trochę potrwać.

Jak Pan myśli, ile czasu by Panu zabrało pocałowanie

36 000 004 dup?

Gotowe.

Oczy mam już otwarte.

Jest 23.52 - naprawdę pora zaczynać.

Oficjalne ostrzeżenie - jak piszą na papierosach - przed startem.

Pewnego dnia, kiedy wiozłem moich byłych pracodawców, pana Ashoka i panią Pinky, ich hondą, pan Ashok położył mi rękę na ramieniu i powiedział:

- Zatrzymaj się - po czym pochylił się w moją stronę, aż poczułem zapach jego wody po goleniu, tego dnia smakowicie owocowy, i jak zwykle uprzejmie zapytał: - Balram, czy mogę ci zadać kilka pytań?

- Tak, proszę pana - odparłem.

- Balram, ile jest planet na niebie?

Odpowiedziałem najlepiej, jak umiałem.

- Balram, kto był pierwszym premierem Indii? - A potem: - Balram, jaka jest różnica między hinduistami i muzułmanami? - I jeszcze: - Jak się nazywa nasz kontynent?

Wtedy usiadł prosto i spytał panią Pinky:

- Słyszałaś?

- Żartował? - zapytała, a mnie serce zabiło mocniej, jak zawsze, gdy coś mówiła.

- Nie. On naprawdę myśli, że to poprawne odpowiedzi.

Pani Pinky zachichotała, ale jego twarz, którą widziałem w lusterku, była poważna.

- Rzecz w tym, że on ma chyba tylko dwie albo trzy klasy. Umie czytać i pisać, ale nie rozumie tego, co przeczytał. Jest niedouczony. W tym kraju mamy mnóstwo podobnych ludzi. I w ręce takich osobników - wskazał mnie palcem - oddajemy naszą wspaniałą demokrację. Na tym polega tragedia tego kraju.

Westchnął.

- Dobrze, Balram. Jedziemy.

Tego wieczoru leżałem w łóżku pod moskitierą i myślałem o jego słowach. Miał rację, proszę Pana. Nie podobało mi się, że w taki sposób o mnie mówił, ale miał rację.

„Autobiografia niedouczonego Hindusa” - tak powinienem zatytułować historię swojego życia.

Ja i tysiące takich jak ja w tym kraju jesteśmy niedouczeni, bo nie mogliśmy skończyć nauki. Gdyby tak ktoś otworzył nam czaszki i poświecił latarką, odkryłby dziwaczne muzeum informacji: zdania zapamiętane z podręczników historii czy matematyki (żaden chłopiec nie pamięta tak dobrze, czego się uczył, jak ten, któremu naukę przerwano, zapewniam Pana); opinie na temat polityki, przeczytane w gazetach, w oczekiwaniu że ktoś przyjdzie do biura; trójkąty i ostrosłupy widziane na kartkach wyrwanych ze starych podręczników do geometrii (w takie kartki pakują przekąski wszystkie herbaciarnie w tym kraju); strzępy wiadomości z biuletynów indyjskiego radia; rzeczy, które wpadają człowiekowi do głowy niczym jaszczurki z sufitu, na pół godziny przed zaśnięciem - wszystkie te wyobrażenia, na wpół ukształtowane, na wpół przyswojone i w połowie słuszne, przemieszane z innymi niedojrzałymi ideami w naszych głowach, a przypuszczam, że te

niedojrzałe idee gwałcą się nawzajem i rodzą kolejne półpełne - otóż to jest podstawa naszego działania i z tym żyjemy.

Historia mojego dorastania to opowieść o tym, jak powstaje człowiek niedouczony.

Ale uwaga, Panie Premierze! Ludzie w pełni ukształtowani, po dwunastu latach nauki w szkole i kilku na uniwersytecie, noszą eleganckie garnitury, pracują w firmach i przez resztę życia wykonują polecenia innych.

Przedsiębiorcy są z gliny wypalanej w połowie.

Najlepszy sposób, żeby podać Panu podstawowe informacje na mój temat - dotyczące pochodzenia, wzrostu, wagi, zbroczeń seksualnych itd. - to plakat. Z moim zdjęciem, ten, który wydrukowała policja.

Przyznam się, że kiedy nazwałem własne dzieje najmniej znaną historią sukcesu w Bangalurze, trochę mijałem się z prawdą. Mniej więcej trzy lata temu, gdy w związku ze swoim przedsiębiorczym postępowaniem stałem się na krótko osobą o znaczeniu ogólnokrajowym, na każdej poczcie, każdym posterunku policji, każdej stacji kolejowej pojawiły się plakaty z moją twarzą. Tę twarz i moje nazwisko poznało wtedy mnóstwo ludzi. Nie mam papierowego plakatu, ale w srebrnym laptopie firmy Macintosh - kupiłem go przez Internet w pewnym singapurskim sklepie, działa jak marzenie - przechowuję jego skan, więc jeśli chwilę Pan poczeka, włączę laptop, znajdę ten skan i przeczytam, co jest na nim napisane...

Ale wróćmy na chwilę do oryginalnego plakatu. Znalazłem go na stacji kolejowej w Hajdarabadzie, w drodze powrotnej z Delhi do Bangaluru, w okresie gdy podróżowałem, mając za cały bagaż jedną, bardzo ciężką, czerwoną torbę. Przez rok trzymałem go tu, w gabinecie, w szufladzie biurka, ale pewnego dnia sprzątac szperał w moich rzeczach i mało brakowało, a by na niego natrafił. Nie jestem sentymentalny, Panie Jiabao. Przedsiębiorca nie może sobie na to pozwolić. Więc wyrzuciłem plakat. Ale zanim to zrobiłem, poprosiłem kogoś, żeby mnie nauczył skanować.

A wie Pan przecież, że Hindusi są z techniką za pan brat.

Wystarczyła mi godzina, no, może dwie. Jestem człowiekiem czynu, proszę Pana. I oto plakat, na ekranie, przede mną:

**PROŚBA O POMOC W POSZUKIWANIU
ZAGINIONEGO**

Niniejszym informuje się społeczeństwo, że pokazany tu Balram Halwai alias Munna, syn Vikrama

Halwai, rykszarza, jest poszukiwany w celu przesłuchania. Wiek: od 25 do 35 lat. Karnacja: bardzo ciemna. Twarz: owalna. Wzrost: około 160 cm. Budowa ciała: szczupła.

Cóż, nie wszystko się z tym dzisiaj dokładnie zgadza, proszę Pana. Twarz bardzo ciemna to nadal prawda - chociaż się waham, czy nie spróbować któregoś z tych nowych kremów wybielających, wymyślonych, żeby Hindusi mogli wyglądać jak ludzie z Zachodu - ale cała reszta to już, niestety, przeszłość. W Bangalurze żyje się dobrze - pożywne jedzenie, piwo, nocne lokale, co tu dużo mówić! „Szczupły” - ha! Teraz lepiej wyglądam! Bardziej by pasowało

„gruby” i „brzuchaty”.

Ale do rzeczy, nie mamy całej nocy. Może lepiej od razu wyjaśnię ten kawałek:

... Balram Halwai alias Munna...

Widzi Pan, w szkole, pierwszego dnia, nauczyciel kazał podchodzić chłopcom po kolei, żeby ich wpisać do dziennika. Kiedy usłyszał, jak się nazywam, otworzył usta ze zdziwienia, a potem powiedział:

- Munna? To nie jest prawdziwe imię.

Miał rację, to po prostu znaczy „chłopiec”.

- Innego nie mam, proszę pana - odpowiedziałem.

Tak było. Nigdy nie dostałem imienia.

- Matka nie dała ci imienia?

- Jest bardzo chora, proszę pana. Leży w łóżku i pluje krwią. Nie miała czasu się tym zająć.

- A ojciec?

- Jest rykszarzem, proszę pana. Też nie ma czasu, żeby mi dać imię.

- Nie masz babci? Ciotek? Wujków?

- Oni też nie mają czasu.

Nauczyciel odwrócił się, splunął - strumień czerwonego paanu trysnął na podłogę - i oblizwał wargi.

- W takim razie kolej na mnie, prawda? - Przeczesał włosy palcami. - Nazwiemy cię...
Ram. Zaraz, zaraz, chyba już mamy Rama w tej klasie. Nie chcę pomyłek. Będziesz Balram. Wiesz, kto to był Balram, prawda?

- Nie, proszę pana.

- Pomocnik boga Kryszny. A wiesz, jak mam na imię?

- Nie, proszę pana.

- Kryszna. - Roześmiał się.

Wróciłem do domu i powiedziałem, że nauczyciel dał mi nowe imię. Ojciec wzruszył ramionami.

- Jeśli tego chce, będziemy cię tak nazywać.

Od tamtej pory byłem Balramem. Później oczywiście przybrałem sobie trzecie imię, ale o tym potem.

Co to za miejsce, gdzie ludzie zapominają nadać dzieciom imiona? Wróćmy do mojego plakatu.

Podejrzany pochodzi z wioski Laxmangarh w...

Jak wszystkie dobre bangalurskie opowieści, moja też zaczyna się daleko od Bangaluru. Teraz otacza mnie Jasność, ale trzeba Panu wiedzieć, że urodziłem się i wychowałem w Ciemności.

Lecz nie mam na myśli pory dnia, Panie Premierze!

Mówię o miejscu w Indiach, o co najmniej jednej trzeciej kraju, o miejscu żyznym, pełnym pól ryżowych i pszenicznych, i leżących wśród nich stawów, pokrytych lotosami i liliami wodnymi, i brodzących w nich bawołów, które żują te lotosy i te lilie. Proszę zrozumieć, Ekszelencjo, że

Indie to dwa kraje w jednym: Indie Jasności i Indie Ciemności. Jasność przynosi mojemu krajowi ocean. Każdemu miejscu na mapie Indii położonemu blisko oceanu wiedzie się dobrze. Ale rzeka przynosi Indiom ciemność - czarna rzeka.

O jakiej czarnej rzece mówię, rzece Śmierci, z brzegami pokrytymi gęstym, ciemnym mułem, który swym lepkiem uściskiem chwyta jak w potrzask wszystko, co się zasieje i zasadzi, który dusi to i dławi, i głuszy?

Otoż mówię o Matce Gandze, córce Wed, rzece iluminacji, opiekunce nas wszystkich, która przerywa łańcuch narodzin i reinkarnacji. Obszar, przez który płynie, jest Ciemnością.

Jedną z cech Indii jest to, że prawie wszystko, co się słyszy o tym kraju z ust premiera, można odwrócić do góry nogami i wtedy ma się prawdziwy obraz. Mówi się, że

Ganga to rzeka wyzwolenia i że tysiące amerykańskich turystów przyjeżdżają co roku, żeby w Hardwarze i Benaresie fotografować nagich sadhu. Premier z pewnością tak ją

Panu opíše i będzie namawiał, żeby się Pan w niej zanurzył.

Nie, Panie Jiabao! Nalegam, żeby się Pan w Gandze nie zanurzał, jeśli nie chce Pan mieć w ustach pełno kału, słomy, rozmiękłych w wodzie kawałków ludzkiego ciała i bawolej padliny oraz siedmiu różnych kwasów przemysłowych.

O Gandze wiem wszystko, proszę Pana. Kiedy miałem sześć lat, a może siedem albo osiem (w mojej wiosce nikt nie zna dokładnie swojego wieku), udałem się do najświętszego miejsca nad brzegami Gangi - do Benaresu. Pamiętam, jak w tym świętym mieście schodziłem drogą w dół zbocza, ostatni w kondukcje żałobnym odprowadzającym ciało mojej matki do rzeki.

Kondukt prowadziła babcia Kusum. Stara przebiegła

Kusum! Miała zwyczaj w chwilach zadowolenia mocno pocierać sobie przedramiona, jakby ucierała imbir, co miało nas rozśmieszyć. Straciła wszystkie zęby, ale to tylko dodawało jej uśmiechowi chytryści. Tym uśmiechem zdobyła władzę w domu. We wszystkich zięciach i synowych wzbudzała strach.

Ojciec i Kishan, mój brat, stali za nią i dźwigali przód trzcinowego łóżka ze zwłokami; drugi koniec nieśli wujowie: Munnu, Jayram, Divyram i Umesh. Ciało matki od stóp do głów spowijał płat szafranowego jedwabiu, który pokrywały płatki róż i girlandy z jaśminu. Nie przypuszczam, żeby kiedykolwiek wcześniej miała na sobie coś równie pięknego. (Jej śmierć była tak wspaniała, że od razu wiedziałem, że życie musiała mieć nieszczęśliwe. Rodzina czuła się czemuś winna). Ciotki - Rabri, Shalini, Malini,

Luttu, Jaydevi i Ruchi - kręciły się wkoło i przywoływały mnie gestami, żebym do nich dołączył. Pamiętam, że machałem rękami i śpiewałem: „Imię Siwy jest prawdą!”.

Mijałiliśmy świątynię za świątynią, modliliśmy się do kolejnych bogów, potem zaś ruszyliśmy gęsiego między czerwoną świątynią Hanumana a siłownią pod gołym niebem, gdzie trzech kulturystów dźwigało zardzewiałe ciężary.

Rzekę poczułem, zanim ją zobaczyłem: z prawej strony nadeszła fala smrodu gnijącego mięsa; „...jedyną prawdą!” - zaśpiewałem głośniej.

Później usłyszeliśmy piekielny hałas rąbania drewna.

Obok schodów prowadzących do rzeki, tuż nad wodą, budowano podwyższenie i mężczyźni rozłupywali siekierami potężne kłody. Z kawałów drewna układano na stopniach schodów stopy pogrzebowe. Kiedy dotarliśmy na miejsce, paliły się cztery ciała. Czekaliśmy na naszą kolej.

W oddali połyskiwała w słońcu biała piaszczysta wyspa, ku której płynęły łodzie pełne ludzi. Zastanawiałem się, czy dusza matki pofrunęła do tego błyszczącego miejsca na rzece.

Wspomniałem już, że matka była owinięta jedwabiem.

Teraz naciągnięto go jej na twarz, na ciele ułożono polana - tyle, na ile nas było stać - i kapłan podpalił stos.

„Kiedy się zjawiała w naszym domu, była dobrą, spokojną dziewczyną” - powiedziała Kusum i położyła mi rękę na głowie. „Ja nie chciałam kłótni”.

Strząsnąłem jej dłoń. Patrzyłem na matkę.

Spod spalonego jedwabiu wychynęła blada stopa, jak żywa. Palce kurczyły się od gorąca, stawiając opór temu, co im robiono. Kusum wepchnęła stopę w ogień, ale ona nie chciała się palić. Serce zaczęło mi łomotać. Matka nie pozwalała im się zniszczyć.

Pod platformą z kłodami, gdzie rzeka omywała brzeg, był wielki kopiec oślizłego mułu, zasłany jaśminowymi girlandami, płatkami róż, kawałkami jedwabiu, zwęglonymi kośćmi. Wśród tego wszystkiego pełzał i węszył pies o bladej skórze.

Spojrzałem na muł, potem na wykrzywioną stopę matki, i zrozumiałem.

Ten muł ją zatrzymywał. Ten wielki, rosnący pagórek czarnego mułu. Próbowala z nim walczyć, jej wygięte palce stawiały opór, ale muł ją wciągał, wciągał... Był bardzo gęsty i z każdą chwilą go przybywało, bo wciąż go nanosiła rzeka. Niedługo matka stanie się częścią czarnego kopca i zacznie ją lizać bladokóry pies.

I wtedy zrozumiałem: to był prawdziwy bóg Benaresu - ten czarny muł z Gangi, w którym wszystko kończyło życie, rozkładało się, i z którego się odradzało i znów umierało. To samo stanie się ze mną, kiedy umrę i mnie tu przyniosą. Nic nie zostanie wyzwolone.

Przestałem oddychać.

Pierwszy raz w życiu zemdlałem.

Od tamtej pory nie widziałem Gangi. Zostawiam tę rzekę amerykańskim turystom!

... pochodzi z wioski Laxmangarh w dystrykcie Gaja.

To dystrykt sławny na cały świat. Mój dystrykt nadał kształt historii Pańskiego kraju, Panie Jiabao. Z pewnością słyszał Pan o Bodh Gaja, mieście, gdzie Budda usiadł pod drzewem, doznał iluminacji i zapoczątkował buddyzm, który potem rozprzestrzenił się na cały świat, z Chinami włącznie. I gdzie jest to miasto? Tutaj, w moim rodzinnym dystrykcie! Zaledwie o kilka mil od Laxmangarh!

Ciekaw jestem, czy Budda szedł przez Laxmangarh - niektórzy mówią, że tak. Ja czuję, że przebiegł tędy najszybciej, jak potrafił, i nawet się nie obejrzał!

Niedaleko Laxmangarh płynie mała odnoga Gangi. Co poniedziałek przybywają nią ze świata łodzie z zaopatrzeniem. W wiosce jest jedna ulica, przedzielona na pół jasnym paskiem rynsztoka. Po jego obu stronach targowisko: trzy podobne do siebie sklepy z podobnie sfałszowanymi albo nieświeżymi towarami - ryżem, olejem kuchennym, naftą, ciasteczkami, papierosami i nierafinowanym cukrem. Na końcu targowiska stoi wysoka, bielona, stożkowata wieża, pomalowana ze wszystkich stron w czarne splątane węże - świątynia. W

środku jest żółta figura pół człowieka, pół małpy. To Hanuman, ulubiony bóg mieszkańców Ciemności. Słyszał Pan o Hanumanie? Był wiernym sługą boga

Ramy, a czcimy go w naszych świątyniach, ponieważ jest wzorem, jak służyć swemu panu absolutnie uczciwie, z bezgranicznym oddaniem i miłością.

Takich to narzucano nam bogów, Panie Jiabao. Już Pan rozumie, jak trudno człowiekowi w Indiach uzyskać wolność.

Tyle o samym miejscu. A teraz trochę na temat ludzi.

Pragnę Pana z dumą poinformować, Eksceleńco, że Laxmangarh to ta typowa indyjska rajaska wioska, gdzie nie brak elektryczności, bieżącej wody i telefonów; i że jeśli zmierzyć i zważyć tamtejsze dzieci, karmione pożywnym mięsem, jajkami, warzywami i soczewicą, to się okaże, że spełniają minimalne normy wzrostu i wagi ustanowione przez Organizację Narodów Zjednoczonych i inne organizacje, których rezolucje nasz premier podpisał i w których posiedzeniach tak systematycznie i z takim namaszczeniem uczestniczy.

Ha!

Prądu nie ma.

Kran - popsuty.

Dzieci - za szczupłe i za niskie jak na swój wiek, o wielkich głowach, w których oczy błyszczą tak wyraziście, jak wyraźnie nieczyste jest sumienie rządu Indii.

Tak, typowa indyjska rajaska wioska, Panie Jiabao. Muszę kiedyś pojechać do Chin i zobaczyć, czy wasze rajskie wioski są lepsze.

Pośrodku drogi stada świń węższą w rynsztoku. Grzbiety zwierząt, pokryte długą szczecinią pozlepianą w ostre kępki, są suche, brzuchy w kolorze torfu lśnią od mokrych nieczystości. Błyskają jaskrawoczerwone i brązowe pióra - to koguty podfruwają na dachy. Tędy idzie się do mojego domu, który wciąż istnieje.

Na ścieżce prowadzącej do wejścia zobaczy Pan najważniejszego członka rodziny.

Bawolicę.

Ze wszystkich nas ona była najgrubsza, tak samo zresztą jak bawolice w każdym innym obejściu w wiosce. Przez cały dzień kobiety wciąż ją karmiły świeżą trawą, i to karmienie stanowiło główne zajęcie w ich życiu. Z jej tłustością wiązały wszystkie swoje nadzieje, proszę Pana. Jeśli bawolica dawała dużo mleka, część mogły sprzedać i w domu pojawiała się trochę więcej pieniędzy. Była grubym stworzeniem o błyszczącej skórze, na jej owłosionym łbie pulsowała żyła o grubości chłopięcego siusiaka, z kącika pyska sączyły się perełki gęstej śliny; przez cały dzień siedziała w kupie własnego gnoju. Była w naszym domu dyktatorem!

Jeśli po tym, co zrobiłem, one jeszcze żyją, po wejściu za ogrodzenie zobaczy Pan kobiety. Pracują na podwórku.

Moje ciotki, kuzynki i babcia Kusum. Jedna przygotowuje jedzenie dla bawolicy, druga przesiewa ryż, trzecia siedzi w kucki, przeszukuje włosy czwartej i uśmierca znalezione kleszcze, rozgniatając je w palcach. Od czasu do czasu przerywają swoje zajęcia, bo przyszła pora na kłótnię. A to oznacza rzucanie w siebie nawzajem metalowymi naczyniami albo szarpanie się za włosy, a potem godzenie się, czyli całowanie dłoni i przykładanie jej do policzka drugiej kobiety. W nocy śpią razem, ze spletanymi nogami, niczym jedna istota, stonoga.

Mężczyźni i chłopcy śpią w innym kącie domu.

Wczesny ranek. W całej wsi koguty pieją jak oszalałe.

Budzi mnie czyjaś ręka... Strząsam z brzucha nogi brata

Kishana, wyplątuje z włosów dłoń kuzyna Pappu i wydostaje się spośród śpiących.

- Chodź, Munna.

Ojciec stoi przy drzwiach i mnie woła.

Biegnę do niego. Wychodzimy z domu i odwiązujemy bawolicę od kołka. Zabieramy ją na poranną kąpiel - aż do stawu pod Czarnym Fortem.

Czarny Fort stoi na grzbiecie wzniesienia górującego nad wioską. Ludzie, którzy byli w innych krajach, mówili mi, że jest piękniejszy niż wszystko, co widzieli w Europie.

Przed wiekami musieli go zbudować Turcy albo Afgańczycy, albo Anglicy, albo jacyś inni cudzoziemcy, którzy wtedy panowali w Indiach.

(Bo ten kraj, Indie, nigdy nie był wolny. Najpierw rządili nami muzułmanie, potem Brytyjczycy. W 1947 roku

Brytyjczycy odeszli, ale tylko kretyn mógłby pomyśleć, że staliśmy się wtedy wolni).

W Czarnym Fortcie już dawno nie ma cudzoziemców, okupuje go gromada małp. Nikt tam nie chodzi oprócz pasterza kóz i jego stada.

O świcie staw u stóp fortu błyszczący. Stoczyły się do niego z góry kawały muru i teraz leżą na wpół zanurzone w mulistej wodzie niby drzemiące hipopotamy, które wiele lat później zobaczyłem w ogrodzie zoologicznym w New

Delhi. Na powierzchni unoszą się lotosy i lilie, woda mieni się jak srebro, a bawolica brodzi w niej, zjada liście i zostawia za sobą ślad rozchodzący się w kształcie wielkiego

V od jej pyska. Nad bawolicą, nad ojcem, nade mną i moim światem wschodzi słońce.

Nie uwierzy Pan, ale czasem prawie tęsknię za tym miejscem.

Wróćmy do plakatu.

Kiedy go ostatnio widziano, podejrzany miał na sobie niebieską poliestrową koszulę w kratę, pomarańczowe poliestrowe spodnie, rdzawoczerwone sandały...

Rdzawoczerwone sandały - też coś! Tylko policjant mógł to wymyślić. Stanowczo zaprzeczam.

Niebieska poliestrowa koszula w kratę, pomarańczowe poliestrowe spodnie... no cóż, również chciałbym zaprzeczyć, ale to, niestety, prawda. Taka moda wśród służących, proszę Pana. A rano tamtego dnia, kiedy powstał plakat, jeszcze służyłem. (Wieczorem byłem wolny - i inaczej ubrany!).

Ale jest na plakacie wyrażenie, które mnie naprawdę złości, więc wróćmy do niego na chwilę i je skorygujmy.

... syn Vikrama Halwai, rykszarza...

PANA Vikrama Halwai, rykszarza! Dziękuję! Mój ojciec był biedakiem, ale człowiekiem honoru, i był odważny. Nie siedziałbym teraz pod tym żyrandolem, gdyby nie jego rady.

Popołudniami szedłem ze szkoły do herbaciarni, żeby się z nim spotkać. Ta herbaciarnia była najważniejszym miejscem we wsi. Codziennie w południe zatrzymywał się przy niej autobus z Gai (nigdy się nie spóźniał więcej niż godzinkę albo dwie), parkowali też tam swojego dżipa policjanci, kiedy przyjeżdżali dobrać się do któregoś z mieszkańców. Krótko przez zachodem trzy razy objeżdżał herbaciarnię mężczyzna głośno dzwoniący dzwonkiem. Do bagażnika roweru miał przymocowany kawał tektury z plakatem reklamującym film pornograficzny. No bo czy można sobie wyobrazić prawdziwą indyjską wioskę bez kina z pornosami, proszę Pana? W kinie po drugiej stronie rzeki puszczały je co wieczór, dwuipółgodzinne, o tytułach w rodzaju „Był prawdziwym mężczyzną” albo „Zajrzeliśmy do jej pamiętnika”, bądź „Zrobił to wujek”, pokazujące złotowłose Amerykanki czy samotne damy z Hongkongu - tak sobie to przynajmniej wyobrażam, Panie

Premierze, bo nigdy mi się nie zdarzyło iść na taki film, jak to robili inni młodzi mężczyźni!

Ryksze stały rzędem przed herbaciarnią i czekały, aż autobus wypłuje pasażerów.

Rykszarzom nie wolno było korzystać z plastikowych krzesełek w herbaciarni; siedzieli na piętach gdzieś z tyłu, skuleni, w pozycji charakterystycznej dla służących w całych

Indiach. Ojciec nigdy nie kuczał. Wolał stać, choćby musiał czekać nie wiadomo jak długo i choćby to miało być dla niego nie wiadomo jak męczące. Pamiętam go tam - bez koszuli, zwykle samotnie pijącego herbatę, zamyślonego.

Słysząc klakson.

Świnie i beżpańskie psy się rozbiegają, do herbaciarni wpada zapach kurzu i świńskiego łajna. Przed wejściem zatrzymuje się białe auto, ambassador. Ojciec odstawia filiżankę i wychodzi.

Otwierają się drzwi ambassadora i wysiada mężczyzna z notebookiem. Stali klienci herbaciarni mogą nie przerywać jedzenia, ale ojciec i inni rykszarze ustawiają się w kolejce.

Człowiek z notebookiem to nie Bawół, tylko jego asystent.

W ambassadorze siedzi drugi mężczyzna, tęgi, łysy, o pulchnej, brązowej, pogodnej twarzy, ze strzelbą na kolanach.

To jest Bawół.

Bawół to jeden z właścicieli terenu w Laxmangarh.

Oprócz niego byli jeszcze trzej i wszyscy mieli przezwiska odpowiadające szczególnym upodobaniom, jakie u nich zauważono.

Bocian był grubym mężczyzną z bujnymi, podkręconymi wąsami o spiczastych czubkach. Do niego należała rzeka płynąca koło wsi, więc zabierał część połowu każdego rybaka i pobierał opłatę od każdego właściciela łodzi, która przy pływała do wsi.

Jego brata nazywano Dzikim. Ten z kolei był właścicielem całej żyznej ziemi wokół Laxmangarh. Jeśli ktoś chciał tam pracować, musiał mu się nisko kłaniać, zmiatać kurz sprzed stóp i godzić się na jego stawkę za dniówkę.

Kiedy przejeżdżał obok kobiet, zatrzymywał samochód, opuszczał szybę i szeroko się uśmiechał; z ust sterczały mu wtedy długie, krzywe zęby, niczym kły dzika.

Kruk miał najgorszą ziemię, na suchym, skalistym zboczu wzgórza wokół fortu, i brał dolę od pastuchów, którzy paśli tam swoje stada. Jeśli nie mieli pieniędzy, lubił wsadzać im dziób w tyłki, więc go nazwali Kruk.

Najzarłoczniejszy z tego towarzystwa był Bawół. Pożerał ryksze i drogi. Jeśli się jeździło rykszą albo korzystało z drogi, trzeba mu było za to płacić - co najmniej jedną trzecią zarobku.

Wszystkie cztery Zwierzaki mieszkały w ogrodzonych wysokimi murami rezydencjach pod Laxmangarh, w przysiółku ziemiańskim. Każdy miał tam swoją świątynię, swoje studnie i stawy, i nie musiał przychodzić do wsi, chyba że chciał się napaść. Od czasu do czasu dzieci Zwierzaków jeździły swoimi samochodami po okolicy; Kusum to pamiętała. Ale kiedy syna Bawołu porwali naksale - pewnie

Pan o nich słyszał, Panie Jiabao, bo to komuniści jak Pan, i mają taką zasadę, że gdzie się da, strzelają do bogatych - Zwierzaki powysyłały synów i córki do Dhanbadu albo do Delhi.

Ich dzieci wyjechały, ale Zwierzaki nie, i pasły się wsią, wszystkim, co w niej wyrosło, aż dla innych nic nie zostało. Więc reszta Laxmangarh wyruszała za chlebem. Co roku wszyscy mężczyźni z wioski czekali wielką grupą pod herbaciarnią. Kiedy przyjeżdżały autobusy, wpychali się do środka, czepiali poręczy, wspinali na dachy - i jechali do Gai. Tam szli na stację i biegli do pociągów - znów wpychali się do środka, czepiali poręczy, wspinali na dachy - i jechali do Delhi, Kalkuty i Dhanbadu, żeby znaleźć pracę.

Na miesiąc przed deszczami wracali, z Dhanbadu, z Delhi, z Kalkuty, chudsi, bardziej milczący, bardziej rozzłoszczeni, ale z pieniędzmi w kieszeniach. Kobiety już czekały. Chowaly się za drzwiami i gdy tylko mężczyźni przekraczali próg, rzucały się na nich jak dzikie koty na kawał mięsa. Były bijatyki, lamenty, piski. Wujowie stawiali opór i udawało im się zatrzymać trochę pieniędzy, ale ojciec zawsze wychodził z tego oskubany do gołej skóry. „Poradziłem sobie z miastem, ale nie z kobietami w moim domu”

- mówił i zaszywał się w kącie pokoju. Kobiety dawały mu jeść, kiedy już nakarmiły bawolicę.

Przychodziłem do niego i się z nim bawiłem. Wspinałem mu się na plecy, kładłem rękę na czole i przesuwalem w dół, zasłaniając oczy, nos, usta, aż do małego wgłębienia na szyi. Tam moje palce się zatrzymywały i to wciąż pozostaje dla mnie ulubionym miejscem ludzkiego ciała.

Ciało bogacza, białe, miękkie i gładkie, przypomina poduszkę z najlepszej bawełny. Nasze jest inne. Kręgosłup ojca był jak sznur z węzłami, którego wiejskie kobiety używają do wyciągania wody ze studni; wystające obojczyki obejmowały szyję niczym obroża; skaleczenia, szramy, blizny, jak drobne ślady pejcza, pokrywały piersi, sięgały pasa, bioder, pośladków. Biedak nosi historię swego życia wypisaną ostrym piórem na skórze.

Wujowie też pracowali jak katorżnicy, ale robili to, co wszyscy. Każdego roku gdy tylko zaczynało padać, szli w pola z poczerniałymi sierpami i prosili tego lub owego gospodarza o jakąś pracę. Potem siali, wrywali chwasty, zbierali ryż i inne zboża. Ojciec mógł pracować razem z nimi, z wyrobnikami właściciela ziemi, ale wołał co innego.

Wołał z tym walczyć.

Ponieważ wątpię, żeby w Chinach czy w jakimkolwiek innym cywilizowanym kraju świata byli rykszarze, musi

Pan ich zobaczyć u nas. Ryksom nie wolno wjeżdżać do eleganckich dzielnic Delhi, gdzie mogliby się na nie gapić cudzoziemcy. Niech się Pan domaga, żeby Panu pokazali stare Delhi, Nizamuddin, tam Pan zobaczy drogę pełną ryksz i rykszarzy, chudych, patykowatych, pochylonych na siodełkach, pedałowujących, żeby wprawić w ruch pojazdy z górą mięsa klasy średniej w środku - z grubymi mężczyznami, ich grubymi żonami i ich torbami pełnymi zakupów.

A jak już Pan zobaczy tych ludzi patyki, niech Pan pomyśli o moim ojcu.

Tak, był rykszarzem, zwierzęciem pociągowym w ludzkiej skórze, ale miał swój plan.

Tym planem byłem ja.

Kiedyś w domu nie wytrzymał i zaczął krzyczeć na kobiety. To było tego dnia, kiedy mu powiedziały, że nie chodzę do szkoły. Zrobił wtedy coś, na co się nie odważył nigdy wcześniej - krzyknął na Kusum:

- Ile razy ci mówiłem: Munna musi umieć czytać i pisać!

Kusum była zaskoczona, ale tylko przez chwilę. Wrzasnęła:

- Ten cudak uciekł ze szkoły, to nie moja wina! Jest tchórzem i za dużo je. Niech idzie do pracy w herbaciarni i zarobi trochę pieniędzy.

Wokół niej zgromadziły się ciotki i kuzynki. Schowałem się za plecami ojca, a one mu opowiadały o moim tchórzostwie.

Cóż, to się może wydawać nieprawdopodobne, żeby wiejski chłopak wystraszył się jaszczurki. Szczury, węże, małpy, mangusty nie robią na mnie żadnego wrażenia.

Przeciwnie - kocham zwierzęta. Ale jaszczurki... Kiedy jakąś widzę, choćby najmniejszą, zamieniam się w dziewczynę. Umieram ze strachu.

W klasie mieliśmy ogromną szafę z zawsze lekko uchylonymi drzwiami. Nikt nie wiedział, po co tam stała. Pewnego ranka te drzwi się nagle szeroko otworzyły i wyskoczyła z nich jaszczurka.

Była jasnozielona jak niedojrzała gwajawa. Chowiała i wysuwała język. Miała przynajmniej pół metra.

Inni chłopcy pewnie niczego by nie zauważyli, gdyby któryś nie spojrział na moją twarz. Otoczyli mnie kołem.

Dwaj wykręcili mi ręce do tyłu i przytrzymali głowę.

Któryś złapał jaszczurkę i zaczął iść z nią ku mnie, specjalnie powoli. Bezgłośnie - jedynie wystawiając i chowając czerwony język - zbliżała się do mojej twarzy. Śmiech narastał. Nie mogłem wydobyć z siebie dźwięku. Z tyłu nauczyciel chrapał za biurkiem. Pysk

jaszczurki znalazł się tuż przed moimi ustami i wtedy rozchyliła jasnozielone wargi, i wtedy zemdlałem drugi raz w życiu.

Od tamtej pory więcej do szkoły nie poszedłem.

Ojciec słuchał i nie śmiał się. Nabrał głęboko powietrza, aż to poczułem, tuląc się do jego pleców.

- Pozwoliłaś Kishanowi rzucić szkołę, ale mówiłem ci, że ten chłopak musi się uczyć. Jego matka mi powiedziała, że poradzi sobie w szkole. Jego matka...

- Do diabła z jego matką! - wrzasnęła Kusum. - To była wariatka i na szczęście już nie żyje. A teraz posłuchaj: niech chłopak idzie do herbaciarni jak Kishan, takie jest moje zdanie.

Nazajutrz ojciec poszedł ze mną do szkoły, pierwszy i ostatni raz. Świtało; nigdzie nie było żywego ducha. Popchnięte drzwi się otworzyły. Klasę wypełniło przyćmione błękitne światło. Nasz nauczyciel uwielbiał żuć paan i pluć, więc z jego plwociny powstało na trzech ścianach coś w rodzaju niskiej czerwonej tapety. Kiedy zasypiał, co zdarzało się zwykle koło południa, wyciągaliśmy mu paan z kieszeni, dzieliliśmy się nim i żuliśmy, a potem braliśmy się pod boki tak jak on, lekko się odchylaliśmy do tyłu i po kolei pluliśmy na trzy brudne ściany.

Czwartą ścianę zdobiło wyblakłe malowidło przedstawiające Buddę w otoczeniu saren i wiewiórek. Tylko tę ścianę nauczyciel oszczędził. Pod nią siedziała teraz wielka jaszczurka koloru niedojrzałej gwajawy i udawała jedno ze zwierząt zgromadzonych u stóp Buddy.

Odwróciła się w naszą stronę i zobaczyłem jej błyszczące oczy.

- Czy to ten potwór?

Jaszczurka kręciła głową na wszystkie strony, wypatrując drogi ucieczki. Potem zaczęła się rzucać na ścianę. Nie różniła się ode mnie; była przerażona.

- Nie zabijaj jej, tatusiu, tylko wyrzuć przez okno. Dobrze?

Nauczyciel leżał w kącie. Cuchnął alkoholem i głośno chrapał. Obok niego stał opróżniony w nocy dzbanek po grogu. Ojciec go podniósł.

Jaszczurka uciekała, ojciec biegł za nią, wymachując dzbankiem.

- Nie zabijaj jej, tatusiu, proszę!

Ale ojciec nie słuchał. Kopnął szafę, jaszczurka popędziła jak strzała, a on ją gonił i krzyczał: „Hijaa! Hijaa!”.

Walil ją, aż dzbanek pękł. Pięścią złamał jej kręgosłup. Nadepnął jej na głowę.

W powietrzu rozszedł się odór zmiążdżonego mięsa.

Ojciec podniósł jaszczurkę i wyrzucił ją przez okno, po czym usiadł pod ścianą, oparty o wizerunek Buddy w otoczeniu łagodnych zwierząt, i ciężko dyszał.

Kiedy się uspokoił, powiedział:

- Przez całe życie byłem traktowany jak osioł. Wszystko, czego chcę, to żeby jeden z moich synów - chociaż jeden - żył jak człowiek.

Co dla niego znaczyło żyć jak człowiek, nie wiedziałem.

Myślałem, że może jak Vijay, konduktor z autobusu. Autobus zatrzymywał się w Laxmangarh na pół godziny, pasażerowie wysiadali i konduktor szedł na filiżankę herbaty. My wszyscy, pracownicy herbaciarni, bardzośmy go podziwiali. Jego służbowy strój w kolorze khaki, jego srebrny gwizdek i czerwony sznurek, na którym ten gwizdek zwisał mu z kieszeni. Wystarczyło spojrzeć i było wiadomo: temu to się powiodło.

Wprawdzie rodzina Vijaya hodowała świnie, więc była tak nisko, że niżej już nie można, ale jemu się powiodło. Udało mu się zaprzyjaźnić z politykiem. Ludzie mówili, że pozwolił mu wsadzić sobie dziób w tyłek. Zrobił, co musiał: był pierwszym człowiekiem przedsiębiorczym, jakiego znałem. Teraz miał pracę i srebrny gwizdek, a kiedy w niego dmuchał, gdy autobus odjeżdżał, wszyscy chłopcy w wiosce dostawali kręćka, biegli za autobusem, walili w niego pięściami i wołali, żeby ich zabrać. Chciałem być jak Vijay - mieć uniform, pensję, błyszczący gwizdek wydający przenikliwy dźwięk, spojrzenia ludzi, które mówiły: „Jaki on jest ważny”.

Już druga, Panie Premierze. Zaraz będę musiał skończyć na dzisiaj, tylko spojrzę na ekran laptopa, czy nie ma tam jeszcze jakiejś istotnej informacji.

Pomijam kilka mało ważnych szczegółów...

... drugiego września, w rejonie New Delhi zwanym

Dhaura Kuan, w pobliżu hotelu ITC Maurya Sheraton...

Ten hotel, Sheraton, to najlepszy hotel w Delhi. Nigdy nie byłem w środku, ale mój były szef pan Ashok wieczorami w nim popijał. W podziemiach mają tam restaurację, podobno bardzo dobrą. Jeśli się nadarzy okazja, powinien ją Pan odwiedzić.

Kiedy to się stało, zaginiony był zatrudniony jako kierowca hondy city. W związku z tym złożone zostało zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa: FIR

No. 438/05, P. S. Dhaura Kuan, Delhi. Przypuszczalnie posiada on także torbę zawierającą pewną sumę pieniędzy.

Czerwoną torbę, powinni byli napisać. Bez tego informacja jest właściwie bezużyteczna, prawda? Nic dziwnego, że nikt mnie nie zauważył.

Pewną sumę pieniędzy... W każdej gazecie w tym kraju piszą takie bzdety. „Pewne zainteresowane osoby rozsiewają pogłoski...”, „Pewna społeczność religijna nie uznaje antykoncepcji”. Nienawidzę tego.

Siedemset tysięcy rupii.

Tyle gotówki było upchnięte w czerwonej torbie. I słowo daję, że policja też o tym wiedziała. Nie mam pojęcia, ile to jest w chińskich pieniądzech, Panie Jiabao. Ale w Singapurze można za to kupić dziesięć srebrnych laptopów Macintosh.

Plakat nie wspomina o mojej szkole, proszę Pana - a naprawdę szkoda. Kiedy się kogoś opisuje, zawsze trzeba mówić o jego wykształceniu. Powinni byli napisać coś w tym rodzaju: „Podejrzany uczył się w szkole, gdzie w szafach ukrywały się półmetrowe jaszczurki w kolorze niedojrzałej gwajawy...”.

Skoro indyjska wioska jest rajem, to taka szkoła jest rajem w raj.

W mojej szkole miało być darmowe jedzenie - zgodnie z programem rządowym, dla każdego chłopca na lunch trzy chlebki roti, żółta daal i pikle. Ale nigdy nie zobaczyliśmy ani roti, ani daal, ani pikli, i wszyscy wiedzieli dlaczego: bo pieniądze na nasz lunch ukradł nauczyciel.

Nauczyciel miał wytłumaczenie. Mówił, że od pół roku nie dostaje pensji. Wcześniej zastanawiał się, czy dla odzyskania zaległych należności nie podjąć gandystowskiego protestu: nic nie robić w szkole, dopóki listonosz nie przyniesie czeku. Jednak możliwość utraty pracy go przerażała, bo chociaż płaca na rządowych posadach jest w Indiach kiepska, to mają one liczne uboczne zalety. Pewnego razu do szkoły przyjechała ciężarówka ze szkolnymi mundurkami dla nas. Nigdy ich nie zobaczyliśmy, za to tydzień później można je było kupić w sąsiedniej wsi.

Nikt nie robił nauczycielowi z tego powodu wyrzutów.

Trudno się spodziewać, że ktoś siedzący w gnoju będzie ładnie pachniał. Każdy wiedział, że na jego miejscu zrobiłby to samo. Niektórzy byli nawet z niego dumni - że mu wszystko uszło na sucho.

Któregoś ranka na drodze do szkoły pojawił się mężczyzna w najelegantszym garniturze, jaki kiedykolwiek widziałem - w błękitnym safari, jeszcze bardziej imponującym niż uniform konduktora. Stłoczyliśmy się w drzwiach i się gapiliśmy. Mężczyzna miał w ręku trzcinkę i kiedy nas zobaczył, zaczął nią wywijać. Popędziliśmy do klasy i usiedliśmy nad książkami.

To była niespodziewana inspekcja.

Człowiek w garniturze safari - inspektor - pokazywał trzcinką dziury w ścianach i czerwone przebarwienia, a nauczyciel stał skulony obok niego i powtarzał: „Przykro mi, proszę pana, przykro mi, proszę pana”.

- W klasie nie ma ścierki do tablicy, brakuje krzeseł, uczniowie nie mają mundurków.

Ile ukradłeś ze szkolnych funduszy, skurwielu?

Inspektor napisał na tablicy cztery zdania i wskazał trzcinką jednego z chłopców.

- Czytaj.

Następni wstawali po kolei i też tylko mrugali.

- Może Balram, proszę pana - podsunął nauczyciel. -

Jest najbardziej rozgarnięty z całej tej gromady i dobrze czyta.

Więc wstałem i przeczytałem: „Żyjemy we wspaniałej krainie. Tutaj Budda dostąpił oświecenia. Rzeka Ganga daje życie naszym roślinom, naszym zwierzętom i naszemu ludowi. Jesteśmy wdzięczni Bogu, że się tu urodziliśmy”.

- Dobrze - powiedział inspektor. - A kto to był

Budda?

- Oświecony człowiek.

- Oświecony bóg.

(Oj! Trzydzieści sześć milionów i pięciu!).

Inspektor kazał mi napisać na tablicy moje imię, a potem poprosił, żebym odczytał godzinę na jego zegarku.

Później wyjął z portfela małą fotografię.

- Oto najważniejszy człowiek w naszym życiu. Kto to jest?

Fotografia przedstawiała pulchnego mężczyznę z nastroszonymi siwymi włosami, pyzatymi policzkami i grubymi złotymi kolczykami w uszach. Jego twarz promieniała inteligencją i dobrocią.

- To Wielki Socjalista.

- Dobrze. A jakie jest przesłanie Wielkiego Socjalisty dla dzieci?

Odpowiedź widziałem na murze koło świątyni. Kiedyś namalował ją tam czerwoną farbą policjant.

- Każdy chłopiec z każdej wsi może wyrosnąć na premiera Indii. To jest przesłanie dla dzieci w całym kraju.

Inspektor wyciągnął trzcinkę w moim kierunku.

- Jesteś, młody człowieku, inteligentny, szczery, energiczny, a tamci to stado opryszków i idiotów. Jakie jest najrzadsze zwierzę w dżungli, stworzenie, co się pojawia raz na pokolenie?

- Biały tygrys - odpowiedziałem po namyśle.

- To właśnie ty tutaj, w tej dżungli - odparł inspektor.

Zanim wyszedł, dodał jeszcze: - Napiszę do Patny, żeby ci przyznali stypendium. Musisz iść do prawdziwej szkoły, gdzieś daleko stąd. Musisz dostać prawdziwy mundur i prawdziwe wykształcenie.

Na odchodnym dał mi prezent - książkę. Dokładnie pamiętam tytuł: „Nauki dla chłopców płynące z życia Mahatmy Gandhiego”.

Oto jak stałem się Białym Tygrysem. Będzie jeszcze czwarte imię i piąte, ale o tym potem.

No więc pochwalił mnie przed nauczycielem i innymi uczniami inspektor szkolny, zostałem Białym Tygrysem, dostałem książkę, obiecano mi stypendium: same dobre nowiny, a w myśl żelaznej zasady życia w Ciemności z dobrej nowiny robi się zła, i to szybko.

Moja kuzynka Reena wyszła za chłopaka z sąsiedniej wsi. Ponieważ byliśmy jej rodziną, to znaczy rodziną dziewczyny, mieliśmy z tym niezły problem. Musieliśmy dać chłopakowi nowy rower, pieniądze, srebrną bransoletkę, no i wyprawić wielkie wesele - i zrobiliśmy to. Pewnie

Pan wie, Panie Premierze, ile serca my, Hindusi, wkładamy w nasze wesela. Słyszałem, że teraz nawet ludzie z zagranicy przyjeżdżają, żeby mieć wesele po hindusku. Tak jest, niejednego możemy cudzoziemców nauczyć, mówię

Panu! Filmowych piosenek, słuchanych z ryczącego na cały regulator czarnego magnetofonu, picia, tańczenia przez całą noc... Ja padłem, Kishan padł, padli wszyscy członkowie rodziny. Podobno nawet bawolicy ktoś nalał bimbrowa do koryta.

Minęły dwa albo trzy dni. Siedziałem sobie w klasie, na końcu, z tabliczką i kredą, które ojciec mi przywiózł z jednej ze swych podróży do Dhanbadu, i szlifowałem alfabet. Inni chłopcy gadali albo się bili. Nauczyciel był pijany w trupa.

W drzwiach klasy stanął Kishan i pomachał do mnie ręką.

- O co chodzi, Kishan? Gdzieś idziemy?

Wciąż nic nie mówił.

- Mam zabrać książkę? I kredę?

- Lepiej tak. - Położył mi rękę na głowie i wyszliśmy.

Rodzina zapożyczyła się u Bociana na huczne wesele i suty posag. Teraz Bocian zażądał zwrotu pożyczki.

Chciał, żebyśmy wszyscy dla niego pracowali. Wiedział, że jestem w szkole, może od swojego poborcy, więc musieli oddać mu i mnie.

Poszliśmy do herbaciarni. Kishan złożył dłonie i skłonił się przed herbaciarzem. Ja też się ukloniłem.

- A to kto? - Herbaciarz spojrział na mnie zezem.

Siedział pod wielkim portretem Mahatmy Gandhiego, więc od razu wiedziałem, że wpadłem w ciężkie tarapaty.

- Mój brat - powiedział Kishan. - Będzie mi pomagał.

Kishan wyciągnął piecyk przed herbaciarnię i kazał mi usiąść. Przytaszczył jutowy worek, wyjął z niego bryłę węgla, rąbnął nią w cegłę i wsypał czarne kawałki do piecyka.

- Mocniej - polecił, kiedy uderzyłem węglem w cegłę. -

Jeszcze mocniej.

Wreszcie mi się udało - rozbiłem bryłę na kawałki. Kishan wstał.

- Tak samo porozbijaj resztę węgla z tego worka.

Trochę później przyszli popatrzeć na mnie dwaj chłopcy ze szkoły. Potem jeszcze dwaj i jeszcze dwaj. Usłyszałem chichotanie.

- Co to za stworzenie, co się pojawia raz na pokolenie?

- zapytał któryś głośno.

- Węglarz - rzucił inny.

I wszyscy wy buchnęli śmiechem.

- Nie zwracaj na nich uwagi - powiedział Kishan. -

Pójdą sobie. - Spojrział na mnie. - Jesteś zły, że cię zabrałem ze szkoły, prawda?

Milczałem.

- Nienawidzisz rozbijania węgla?

Milczałem.

Wziął do ręki największy kawałek i ścisnął.

- Wyobraź sobie, że to moja czaszka, wtedy będzie ci dużo łatwiej.

Jego też zabrali ze szkoły. Po weselu kuzynki Meery. Też bardzo hucznym.

Praca w herbaciarni. Rozbijanie węgla. Wycieranie stołów. Nic dobrego, powiada Pan?

Prawem człowieka przedsiębiorczego jest zamienianie złych wieści na dobre, wbrew zasadzie obowiązującej w tym kraju.

Jutro, też w środku nocy, opowiem Panu, jak w herbaciarni odebrałem lepsze wykształcenie, niżby mi mogła dać jakakolwiek szkoła. A teraz muszę przestać się gapić na żyrandol i wziąć się do roboty. Jest prawie trzecia rano. O tej porze Bangalur budzi się do życia. W Ameryce dzień pracy dobiega końca, a mój się dopiero na dobre zaczyna. Muszę być w pogotowiu, bo wszyscy z informacji telefonicznej wracają do domu. Wtedy trzeba być blisko telefonu.

Nie mam komórki, to oczywiste - bo wyżera mężczyźni mózg, powoduje, że kurczą mu się jaja i brakuje nasienia, o czym wszyscy wiemy - więc muszę siedzieć w biurze.

Na wypadek kłopotów.

To do mnie dzwonią ludzie, kiedy mają kłopot!

Zobaczmy szybko, co tam jeszcze zostało...

... każdy, kto może udzielić jakichkolwiek informacji o zaginionym lub naprowadzić na jego ślad, proszony jest o kontakt z Centralnym Biurem Śledczym (<http://cbi.nic.in>): e-mail diccbi@cbi.nic.in, faks 011-23011334, tel. 011-23014046 (bezp.), 011-23015229 i 23015218 wewn. 210. Można także dzwonić na numery podane poniżej lub wysłać list na adres podany poniżej.

DP 3687/05 SHO - Dhaula Kuan, New Delhi

Tel. 28653200, 27641000.

W tekst wmontowali fotografię, niewyraźną, ciemną, rozmazaną w jakiejś starej policyjnej drukarni, ledwie rozpoznawalną nawet na oryginalnym plakacie na murze stacji kolejowej, a tym bardziej teraz, zamienioną w piksele na ekranie komputera, w jakieś abstrakcyjne wyobrażenie męskiej twarzy: duże wyłupiaste oczy, krótkie gęste wąsy. Tak wygląda połowa mężczyzn w Indiach.

Żegnam dziś Pana uwagą o niedociągnięciach w pracy indyjskiej policji, Panie Premierze. W związku z badaniem okoliczności mojego zniknięcia z pewnością do

Laxmangarh przyjechał cały autobus mundurowych - w końcu to była sensacyjna sprawa. Obudzili nauczyciela, przepytawali sklepikarzy, dręczyli rykszarzy. Czy kradł jako dziecko? Czy chodził na dziwki? Rozwalili stragan albo dwa, na paru osobach wymusili „wyznania”.

Ale założę się, że przeoczyli najważniejszy trop, który mieli tuż pod nosem.

Myślę oczywiście o Czarnym Forcie.

Wiele razy prosiłem Kusum, żeby mnie zabrała na szczyt wzgórza, do środka fortu. Ale ona mówiła, że jestem tchórzem i gdybym tam poszedł, umarłbym ze strachu, bo w forcie mieszka ogromna jaszczurka, największa na świecie.

Więc mogłem tylko patrzeć z daleka. O świecie długie otwory strzelnicze zamieniały się w płonące różowe linie, o zachodzie płonęły złoto; rano przez szczeliny między kamieniami przeświecał błękit nieba, w nocy poszarpane wały obronne jaśniały w świetle księżyca. Na murach szalały małpy, piszcząc i atakując się nawzajem, jakby się w nie wcieliły duchy umarłych wojowników i odtwarzały dawne bitwy.

Też chciałem się tam znaleźć.

Iqbal, jeden z czterech najlepszych poetów na świecie - pozostali to Rumi, Mirza Ghalib i czwarty, też muzułmanin, którego nazwiska nie pamiętam - napisał wiersz, w którym tak mówi o niewolnikach:

„Pozostają niewolnikami, bo nie widzą, co jest piękne na tym świecie”.

Nikt nigdy nie powiedział nic prawdziwszego.

Wielki poeta z tego Iqbal, choć był muzułmaninem.

(Nawiasem mówiąc, czy Pan zauważył, Panie Premierze, że wszyscy czterej najlepsi poeci świata to muzułmanie, a spotyka się tylko takich, co albo są analfabetami, albo chodzą zakutani od stóp do głów w czarne burki, albo tylko patrzą, żeby wysadzić jakiś budynek? Zagadka, prawda?

Jeśli Pan to kiedyś rozgryzie, proszę mi przysłać e-mail).

Już jako dziecko widziałem, co jest piękne na świecie; nie był mi pisany niewolniczy stan.

Pewnego dnia Kusum odkryła, co mnie łączyło z fortem. Śledziła mnie od domu aż do stawu pod wzgórzem i widziała, co tam robiłem. Tego wieczoru powiedziała ojcu: „Stał tam i gapił się na fort - tak samo jak jego matka.

Nic dobrego z niego nie wyrośnie, ja ci to mówię”.

Kiedy miałem jakieś trzynaście lat, postanowiłem iść do fortu sam. Przeszedłem w bród na drugi brzeg stawu i wdrapałem się na wzgórze. Już kierowałem się do środka, gdy na ścieżce prowadzącej ku bramie nagle pojawiło się coś czarnego. Odwróciłem się na pięcie i pognałem w dół, tak przerażony, że nawet nie mogłem krzyczeć.

To była krowa. Zobaczyłem ją z daleka, ale czułem się zbyt roztrzęsiony, żeby wrócić.

Próbowałem jeszcze wiele razy, ale ilekroć wyruszyłem w drogę, siedzący we mnie tchórz odbierał mi odwagę i kazał zawracać.

W wieku dwudziestu czterech lat, kiedy mieszkałem w Dhanbadzie i pracowałem jako szofer pana Ashoka, przyjechałem do Laxmangarh, bo mój pan i jego żona wybrali się tam na wycieczkę. Była to dla mnie bardzo ważna podróż; gdy znajdę czas, opiszę ją dokładniej. Na razie powiem Panu tylko, że gdy pan Ashok i pani Pinky odpoczywali po lunchu, nie miałem nic do roboty, więc postanowiłem spróbować jeszcze raz. Przepląnąłem staw, wspiąłem się na wzgórze, przeszedłem przez bramę i po raz pierwszy znalazłem się w Czarnym Fortcie. Niewiele tam było do oglądania - popękane mury i stado małą, które patrzyły na mnie z daleka. Stałem na murze i spojrzałem w dół, na wioskę. Moje małe Laxmangarh. Widziałem świątynię, targowisko, błyszczący pasek rynsztoka, posiadłości Zwierzaków - i mój dom, a przed nim ciemną plamkę - bawolicę. Na oko najpiękniejszy widok na świecie.

Pochyliłem się w kierunku wioski... i zrobiłem coś tak paskudnego, że chyba nie powinienem Panu o tym mówić.

No dobrze, splunąłem. Kilka razy. A potem, pogwizdując i podśpiewując, zszedłem ze wzgórza.

Osiem miesięcy później poderżnąłem panu Ashokowi gardło.

NOC

DRUGA

Adresat:

Jego Ekscelencja Wen Jiabao teraz pewnie smacznie śpiący w Gabinetce Premiera w Chinach

Nadawca:

Jego nocny nauczyciel przedsiębiorczości

Biały Tygrys

No więc tak, Panie Premierze.

Jak brzmi mój śmiech?

Jak pachną moje pachy?

A kiedy się śmieję od ucha do ucha, to czy prawdą jest - jak Pan to sobie teraz bez wątpienia wyobraża - że moje wargi układają się w szatański grymas?

Och, mógłbym o sobie mówić i mówić, Panie Premierze. Mógłbym się chełpić, że nie jestem pierwszym lepszym mordercą, tylko takim, który zabił pracodawcę (a to jakby drugi ojciec), a także prawdopodobnie przyczynił się do śmierci wszystkich członków swojej rodziny. Kimś w rodzaju masowego mordercy.

Ale nie chcę. Za to niechby tak Pan posłuchał któregoś z tych początkujących bangalurskich przedsiębiorców: moja firma zawarła umowę z American Express, moja firma robi oprogramowanie dla szpitala w Londynie, i tak dalej, i tak dalej. Nie cierpię tego cholernego bangalurskiego pozerstwa, słowo daję.

(Ale jeśli już koniecznie musi Pan wiedzieć o mnie więcej, proszę wejść na www.whitetiger-technologydrivers.com. Tak, to jest strona mojej firmy!).

No więc mam dość mówienia o sobie, Panie Premierze.

Dziś chcę mówić o innej ważnej osobie z mojej historii.

O moim byłym szefie.

Oczyma duszy widzę teraz twarz pana Ashoka, jak ją widziałem codziennie w lusterku wstecznym, kiedy u niego służyłem. Był tak przystojny, że czasem nie mogłem od niego oderwać wzroku. Proszę sobie wyobrazić barczystego gościa metr osiemdziesiąt wzrostu, o

silnych karzących rękach właściciela ziemskiego, a jednocześnie łagodnego (prawie zawsze - chyba że bił po twarzy panią Pinky) i miłego dla otoczenia, nawet dla służących i kierowcy.

Obok niego pojawia się w zwierciadle mojej pamięci inna twarz - pani Pinky, jego żony. Tak samo pięknej jak jej mąż, niczym wizerunek bogini w świątyni Birla Hindu w New Delhi, i bóg, któremu jest poślubiona. Siadała z tyłu i rozmawiali, a ja ich wiozłem, dokąd chcieli, z takim samym oddaniem, z jakim bóg Hanuman służył Ramie i Sicie, swemu panu i swej pani.

Na myśl o panu Ashoku się wzruszam. Chyba mam tu gdzieś papierowe chusteczki.

Dziwna sprawa: mordujesz człowieka, a czujesz się odpowiedzialny za jego życie - i to wręcz zaborczo. Wiesz o nim więcej niż jego ojciec i matka; oni znali go jako płód, lecz ty znasz jego zwłoki. Tylko ty możesz dokończyć historię jego życia; tylko ty wiesz, dlaczego jego ciało musi być wepchnięte w ogień przedwcześnie i dlaczego jego palce się kurczą i walczą o jeszcze jedną godzinę na ziemi.

Chociaż go zabiłem, nie usłyszysz Pan o nim ode mnie złego słowa. Bronię jego dobrego imienia jako sługa i nie przestanę bronić teraz, kiedy jestem (w pewnym sensie) jego panem. Tyle mu zawdzięczam. On i pani Pinky siedzieli z tyłu, rozmawiali o życiu, o Indiach, o Ameryce - mieszając hindi z angielskim - a ja podsłuchiwałem i dużo się nauczyłem o życiu, o Indiach, o Ameryce - no i trochę angielskiego. (Może nawet odrobinę więcej, niż się do tej pory przyznawałem!). W gruncie rzeczy wiele z moich najlepszych pomysłów zapożyczyłem od byłego pracodawcy albo od jego brata, bądź jeszcze od kogoś innego, kogo wozilem. (Przyznaję, Panie Premierze, że nie jestem pomyslowym bystrzakiem - ale jestem pomyslowym słuchaczem).

Prawda, doszło kiedyś między panem Ashokiem i mną do sprzeczki, a może i dwóch, na temat angielskiego wyrażenia „podatek dochodowy” i nasze stosunki zaczęły się psuć, ale o tej przykrej sprawie opowiem później. W każdym razie teraz układa się między nami jak najlepiej i właśnie się spotkaliśmy w mieście Dhanbad, daleko od Delhi.

Przyjechałem do Dhanbadu po śmierci ojca. Chorował od jakiegoś czasu, ale w Laxmangarh nie ma szpitala, mimo że są trzy różne kamienie węgielne położone pod szpital przez trzech różnych polityków w trakcie trzech różnych kampanii wyborczych. Kiedy tamtego ranka ojciec zaczął pluć krwią, Kishan i ja przewieźliśmy go łódką na drugi brzeg. Zwilżaliśmy mu usta wodą z rzeki, ale była taka brudna, że wypluwał coraz więcej krwi.

Rykszarz na drugim brzegu znał ojca, więc zawiózł całą naszą trójkę do państwowego szpitala za darmo.

Na stopniach u wejścia do wielkiego białego budynku stały trzy czarne kozy, od strony otwartych drzwi dolatywał smród ich odchodów. Szyby w większości okien były wybite, z jednego patrzył na nas kot.

Na tabliczce przy wejściu było napisane:

Powszechny Bezpłatny Szpital im. Lohii, z dumą otwarty przez Wielkiego Socjalistę, święty dowód, że on dotrzymuje obietnic

Depcząc kozie bobki, które zaścielały ziemię niczym konstelacja czarnych gwiazd, wnieśliśmy ojca do środka. W szpitalu nie było lekarza. Salowy za dziesięć rupii powiedział, że może przyjdzie wieczorem. Wszystkie drzwi były otwarte na oścież; z materaców na łózkach wyłaziły sprężyny. Weszliśmy do jednej z sal; kot natychmiast zaczął syczeć.

- W salach nie jest bezpiecznie - ten kot poczuł krew.

Dwóch muzułmanów siedziało na rozpostartej na podłodze gazecie. Jeden, z otwartą raną nogi, zaprosił nas gestem, żebyśmy się przyłączyli. Położyliśmy ojca obok nich.

Czekaliśmy.

Weszły dwie dziewczynki i usiadły za nami. Miały żółte oczy.

- Żółtaczką. To ona mnie zaraziła.

- Nieprawda. Ona mnie. I teraz obie umrzemy!

Wszedł staruszek z opatrunkiem na oku i usiadł za dziewczynkami.

Muzułmanie rozkładali następne gazety; kolejka chorych oczu, otwartych ran, bredzących ust rosła.

- Dlaczego tu nie ma lekarza, wujku? - spytałem. - To jedyny szpital w tej okolicy.

- Widzisz, to wygląda tak - zaczął starszy z muzułmanów. - Jest główny inspektor medyczny, który powinien kontrolować, czy lekarze wizytują szpitale na wsi. Kiedy to stanowisko się zwalnia, Wielki Socjalista zawiadamia wszystkich ważnych doktorów, że otwiera licytację. Aktualna stawka wynosi około czterystu tysięcy rupii.

- Aż tyle? - Otworzyłem usta ze zdziwienia.

- Czemu nie? Służba państwowa to niezła forsa! A teraz wyobraź sobie, że ja jestem takim doktorem. Udaje mi się pożyczyć pieniądze i z pocałowaniem ręki daję je Wielkiemu Socjaliście. On za to mi daje tę posadę. Składam przysięgę na Allacha i konstytucję Indii, a potem kładę nogi na biurku w stolicy. - Udał, że unosi nogi na biurko. -

Następnie wzywam do gabinetu państwowych lekarzy niższej rangi, których mam nadzorować. Wyjmuję mój wielki państwowy rejestr. Wyczytuję: „Doktor Ram Padney”.

Pokazał na mnie palcem, a ja przyjąłem rolę aktora w przedstawieniu.

- Obecny! - Zasalutowałem.

Wyciągnął do mnie dłoń.

- Teraz ty - doktor Ram Padney - bądź łaskaw tu położyć jedną trzecią pensji. Grzeczny chłopiec. No to ja teraz robię to. - Postawił ptaszek w wymyślonym rejestrze. - Resztę państwowej pensji możesz zatrzymać i do końca tygodnia pracować w prywatnym szpitalu. O wsi zapomnij. Bo zgodnie z rejestrem już tam byłeś. Nogę mi opatrzyłeś. Dziewczynki z żółtaczki wyleczyłeś.

„Ach” - mruknęli pacjenci. Nawet salowi, którzy się zebrali wokół nas, żeby posłuchać, kiwali głowami z uznaniem.

Opowieści o zepsuciu i korupcji zawsze są najlepsze, czyż nie?

Kishan włożył ojcu trochę jedzenia do ust, ale on wypluł je razem z krwią. Chudym czarnym ciałem wstrząsnęły konwulsje, krew buchnęła z różnych miejsc. Dziewczynki o żółtych oczach zaczęły zawodzić. Wszyscy się odsunęli.

- Gruźlica? - zapytał starszy muzułmanin, spędzając muchy z rany na nodze.

- Nie wiemy, proszę pana. Kaszle od jakiegoś czasu, ale nie wiemy, co to jest.

- Gruźlica. Jak u wielu rykszarzy. Praca odbiera im siły. No cóż, może lekarz przyjdzie wieczorem.

Nie przyszedł. Około szóstej, jak to z pewnością precyzyjnie odnotowano w państwowym rejestrze, mój ojciec został definitywnie wyleczony z gruźlicy. Salowi kazali nam po nim posprzątać, dopiero wtedy mogliśmy zabrać ciało. Kiedy myliśmy podłogę, przyszła koza i zaczęła węszyć. Zmywaliśmy zakażoną krew ojca, a salowi karmili kozę grubą marchewką.

Miesiąc po kremacji odbył się ślub Kishana.

To był jeden z tych dobrych ślubów. Myśmy mieli chłopaka, więc nieźle wydoiliśmy rodzinę dziewczyny. Dokładnie pamiętam, co dostaliśmy w posagu od tamtej strony, a jak o tym myślę, jeszcze teraz robi mi się ciepło na sercu: pięć tysięcy rupii gotówką w nowiuteńkich szeleszczących banknotach prosto z banku plus rower Hero, plus gruby złoty naszyjnik dla Kishana.

Po weselu pięć tysięcy rupii, rower Hero i gruby złoty naszyjnik wzięła babcia Kusum, a Kishan dostał dwa tygodnie na moczenie dzioba. Później się spakował i pojechał do Dhanbadu, a z nim kuzyn Dilip i ja. We trójkę znaleźliśmy pracę w herbaciarni - właściciel słyszał o Kishanie, że dobrze sobie radził w herbaciarni w Laxmangarh.

Mieliśmy szczęście, że nic nie słyszał o mnie.

Niech Pan pójdzie do jakiejś herbaciarni nad Gangą i popatrzy na pracujących tam mężczyzn - mówię „mężczyzn”, ale to raczej pająki pełzające wśród stolików i pod nimi ze

ścierkami w rękach, zmiętoszone istoty ludzkie w zmiętoszonych uniformach, ospali, nieogoleni trzydziesto-, czterdziesto-, pięćdziesięcioletni „chłopcy”. Ale taki już twój los, jeśli dobrze wykonujesz swoje obowiązki - uczciwie, z poświęceniem i przekonaniem, jak by to z pewnością robił Gandhi.

Ja wykonywałem swoje prawie całkiem nieuczciwie, bez poświęcenia i bez przekonania - więc ta praca była dla mnie głęboko wzbogacającym doświadczeniem.

W herbaciarni w Laxmangarh nie marnowałem czasu.

Zamiast kruszyć węgiel i wycierać stoliki, szpiegowałem klientów i podsłuchiwałem każde wypowiedziane słowo. Postanowiłem, że to będzie dalszy ciąg mojej edukacji - przynajmniej tyle dobrego mogę o sobie powiedzieć. Zawsze byłem wielkim zwolennikiem edukacji, zwłaszcza własnej.

Właściciel siedział naprzeciw wejścia, pod wielkim zdjęciem Gandhiego, i mieszał bulgoczący syrop. Wiedział, co robię! Jak tylko zobaczył, że się kręcę koło któregoś stolika albo udaję, że ścieram gdzieś plamę, żeby móc lepiej podsłuchiwać, wrzeszczał: „Ty draniu!”, zrywał się, gonił mnie po herbaciarni i walił chochlą, którą mieszał syrop.

W miejscach uderzeń gorący syrop się do mnie przylepiał, a na uszach zostawił mi ślady, które ludzie czasem biorą za bielactwo albo inną chorobę skórą - archipelag różowych kropek, po których do dziś mnie można rozpoznać, choć policja, co było do przewidzenia, je przeoczyła.

W końcu właściciel odesłał mnie do domu. Potem nie było już mowy, żeby mnie ktoś w Laxmangarh zatrudnił, choćby do pracy w polu. Dlatego Kishan i Dilip głównie ze względu na mnie pojechali do Dhanbadu - żeby mi dać szansę rozpoczęcia kariery pająka w ludzkiej skórze jeszcze raz.

Na swej drodze z wioski do miasta, z Laxmangarh do

Delhi, człowiek przedsiębiorczy napotyka liczne prowincjonalne miasteczka, zanieczyszczone, hałaśliwe i zatłoczone jak wielkie miasta, lecz bez śladu historii, planowania, dostojeństwa. Niewyrobione miasta dla niewyrobionych ludzi.

W Dhanbadzie pieniądze czuć było w powietrzu. Budynki miały ściany od góry do dołu ze szkła, a ludzie - złote zęby. A całe to szkło i złoto brało się z kopalni węgla.

Niedaleko miasta był węgiel, więcej węgla niż gdziekolwiek indziej w Ciemności, może nawet więcej niż gdziekolwiek na świecie. Górnicy przychodzili jeść do herbaciarni, a ja ich zawsze obsługiwałem najlepiej jak potrafiłem, bo opowiadali najlepsze historie.

Mówili, że kopalnie ciągną się kilometrami. Że w niektórych miejscach pod ziemią się pali i bucha stamtąd czarny dym i że te pożary trwają nieprzerwanie od stu lat!

To właśnie w herbaciarni w tym mieście, zbudowanym na węglu, gdy ścierałem stół i się nachyliłem, żeby podsłuchać rozmowę, zmieniło się moje życie.

- Wiesz co, czasem myślę, że to był mój życiowy błąd, że zostałem górnikiem.

- Jak to? A kim jeszcze mogą być tacy ludzie jak my?

Politykami?

- W dzisiejszych czasach każdy dostaje samochód, a masz pojęcie, ile oni płacą kierowcom? Tysiąc siedemset rupii miesięcznie!

Rzuciłem ścierkę. Pobiegłem do Kishana, który czyścił piecyk.

Po śmierci ojca to Kishan się mną opiekował. Nie zamierzam ukrywać, jaki był jego udział w tym, że dziś jestem, kim jestem. Ale w ogóle nie miał żyłki przedsiębiorczości. Z radością pozwoliłby mi się pogрузić w błocie.

- Nic z tego - powiedział. - Babcia kazała się trzymać herbaciarni i będziemy się trzymać herbaciarni.

Obszedłem wszystkie postoje taksówek, na kolanach błagałem przypadkowych nieznajomych. Nikt się nie zgodził nauczyć mnie za darmo prowadzenia samochodu.

Miało mnie to kosztować trzysta rupii.

Trzysta rupii!

Dziś, w Bangalurze, nie mogę znaleźć dość pracowników dla firmy. Ludzie przychodzą i odchodzą. Dobrzy nigdy nie zostają. Już nawet myślę, żeby dać ogłoszenie do gazety:

Biznesmen z Bangaluru poszukuje bystrych pracowników do swojej firmy.

Zgłoś się, nie zwlekaj!

Atrakcyjne warunki zatrudnienia.

Nauka życia i przedsiębiorczości gratis!

W każdym barze i pubie w Bangalurze słycać to samo: nie mogę znaleźć dość pracowników do informacji telefonicznej, nie mogę znaleźć dość programistów, nie mogę znaleźć dość kierowników sprzedaży. Co tydzień w gazecie jest dwadzieścia, dwadzieścia pięć stron ogłoszeń o pracy.

Inaczej sprawy wyglądają w Ciemności. Tam każdego ranka dziesiątki tysięcy młodych ludzi czytają w herbaciarniach gazety albo leżą na łózkach i nuca, albo siedzą w swoich pokojach i gadają do zdjęć aktorek filmowych.

Nie mają tego dnia co robić. Wiedzą, że dziś nie znajdą żadnej pracy. Poddali się, nie walczą.

To są ci mądrzy.

Głupi zebrali się na placu w środku miasta. Od czasu do czasu przyjeżdża ciężarówka, wtedy biegną do niej z rozpostartymi rękami i wołają: „Weźcie mnie! Weźcie mnie!”.

Wszyscy mnie pchali, ja też się pchałem, ale ciężarówka zgarnęła tylko sześciu czy siedmiu. Pojechali na jakąś budowę albo robić wykopy - szczęściarze. Następne pół godziny czekania. Następna ciężarówka. Następna szamotanina. Za piątym czy szóstym razem wreszcie znalazłem się na czele, oko w oko z kierowcą. To był sikh w wielkim błękitnym turbanie. Machał grubym kijem, próbując powstrzymać napierający tłum.

- Wszyscy zdejmują koszule! - ryczał. - Zanim dam komuś pracę, muszę zobaczyć jego sutki! - Spojrzał na moją pierś, ścisnął mi sutki, zajrzał w oczy, klepnął mnie w tyłek, a potem szturchnął kijem w udo. - Za chudy! Spierdalaj!

- Niech mi pan da szansę, jestem mały, ale bojowy. Będę dla pana kopał, nosił cement, będę...

Machnął kijem, trafił mnie w lewe ucho. Przewróciłem się, na moim miejscu natychmiast stanął ktoś inny.

Siedziałem, rozcierałem ucho i patrzyłem, jak ciężarówka odjeżdża w wielkiej chmurze pyłu.

Bojowy duch uchodził mi z ciała. Wybuchnąłem płaczem.

- Biały Tygrysie!

Kishan i kuzyn Dilip podnieśli mnie z ziemi, uśmiechnięci od ucha do ucha. Wielka nowina! Babcia się zgodziła, żeby zainwestowali w moją naukę jazdy.

- Jest tylko jedno ale - powiedział Kishan. - Babcia mówi, że jesteś chciwą świnią. Chce, żebyś przysięgł na wszystkich bogów w niebiosach, że będziesz o niej pamiętał, kiedy się wzbogacisz.

- Przysięgam.

- Uszczypnij się w szyję i przysięgnij - co miesiąc każdą zarobioną rupię wyślesz babci.

Poszliśmy do domu, gdzie mieszkali taksówkarze. Stary człowiek w brązowym ubraniu przypominającym staroświecki mundur wojskowy palił nargile ogrzewane przez miskę z żarzącymi się węglami. Kishan wytłumaczył mu, o co nam chodzi..

- Z jakiej jesteś kasty? - zapytał stary szofer.

- Halwai.

- Cukiernicy. - Pokręcił głową. - Tym się zajmujecie, robieniem słodczy. Jak chcesz się nauczyć jeździć? To jakby kazać węglowi, żeby ci zrobił lodu. - Wskazał ustnikiem fajki miskę z węglem. - Opanować jazdę samochodem - poruszył niewidoczną dźwignią zmiany

biegów - to ujarzmić dzikiego ogiera. Poradzi z tym sobie tylko chłopak z kasty wojowników. Musisz mieć agresję we krwi. Muzułmanie, radżputowie, sikhowie - ci są waleczni, ci mogą być kierowcami. Myślisz, że cukiernik długo wytrzyma na czwartym biegu?

Następnego dnia o szóstej rano węgiel zaczął się uczyć robienia lodu. Dzięki trzystu rupiom i obietnicy premii.

Ćwiczyłem, jeżdżąc taksówką. Kiedy tylko myliłem biegi, natychmiast obrywałem po głowie i słyszałem: „Trzeba było zostać przy cukierkach i herbatce”.

Za każdą godzinę spędzoną w samochodzie dwie albo trzy musiałem spędzić pod nim - zostałem darmowym naprawiaczem wszystkich taksówek na postoju. Codziennie późnym wieczorem wylaniałem się spod podwozia jak świnia z rynsztoka, z twarzą czarną od smaru i rękami śliskimi od oleju.

Wkroczyłem w czerń Gangi - i wynurzyłem się jako kierowca.

- Słuchaj, mały - rzekł stary taksówkarz, kiedy mu dawałem sto rupii obiecane jako premię. - Nie wystarczy jeździć. Trzeba się stać kierowcą. Musisz się umieć zachować, rozumiesz? Jak cię ktoś próbuje wyprzedzić, robisz tak - potrząsnął zaciśniętą pięścią - i kilka razy nazywasz go skurwysynem. Droga to dżungla, kapujesz? Żeby się znaleźć na przedzie, dobry kierowca musi ryczeć. - Poklepał mnie po plecach. - Jesteś lepszy, niż myślałem - taki zestaw z niespodzianką. Mam dla ciebie nagrodę.

Ruszył przed siebie, a ja za nim. Był wieczór. Mijaliśmy mroczne ulice i targowiska. Szliśmy pół godziny, zrobiło się całkiem ciemno - i nagle wokół jakby zapłonęły fajerwerki.

Ulicę wypełniły kolorowe drzwi i kolorowe okna, a z każdych drzwi i z każdego okna posyłała mi uśmiech kobieta. Między dachami zwisały wstęgi z czerwonego papieru i srebrnej folii, na straganach bulgotały czajniki z herbatą. Od razu podbiegło do nas czterech mężczyzn.

Stary taksówkarz wyjaśnił, że ponieważ to mój pierwszy raz, powinni się trzymać z daleka.

- Niech się najpierw napatrzy. Przecież to najlepsze w tej zabawie - patrzeć!

- Jasne, że tak. I o to nam chodzi - żeby się dobrze bawił! - powiedzieli i odeszli.

Szedłem obok starego taksówkarza i z otwartymi ustami gapiłem się na te wszystkie wspaniałe kobiety, szydzące i wyśmiewające się ze mnie z zakratowanych okien - a każda pragnąca, żebym w niej zamoczył dziób!

Taksówkarz tłumaczył, jaki towar mamy do wyboru.

W jednym z domów siedziały wysoko na parapetach „Amerykanki” z rozkraczonymi, błyszczącymi ciemnymi nogami: dziewczyny w krótkich spódniczkach i butach na wysokich

koturnach, z różowymi torebkami, na których cekinami wyszyto angielskie imiona. Były szczupłe i wysportowane - dla mężczyzn lubiących zachodni styl. Na progu otwartych drzwi przycupnęły „tradycjonalistki”: grube, krępe, w sari - dla ceniących swoje pieniądze. W jednym z okien siedzieli eunuchowie, w innym nastolatki. Między nogami którejś z kobiet mignęła twarz małego chłopca.

Błysnęło jaskrawe światło: z otwartych niebieskich drzwi wyjrzały cztery jasnoskóre Nepalki w pięknych czerwonych halkach.

- Te! - wrzasnąłem. - Te! Te! Te!

- Dobrze - zgodził się stary taksówkarz. - Też mi się podobają, zawsze wołałem zagraniczne.

Weszliśmy, on wybrał, ja wybrałem i poszliśmy do pokoi. Kobieta, którą wybrałem, zamknęła za mną drzwi.

Mój pierwszy raz!

Godzinę później, pijani i zadowoleni, wróciliśmy chwiejnym krokiem do domu starego taksówkarza. Zapaliłem i podałem mu nargile. Patrzyłem, jak z przyjemnością ssie ustnik. Z nosa leciały mu smużki dymu.

- A teraz znowu co? Nauczyłem cię być kierowcą i mężczyzną, więc czego jeszcze chcesz?

- Może... może mógłby pan poprosić taksówkarzy, czy kogoś nie potrzebują? Na początek nawet bez zapłaty. Muszę mieć pracę.

Stary się zaśmiał.

- Nie pracuję od czterdziestu lat, głupku. Jak miałbym ci, kurwa, pomóc? A teraz zjeżdżaj.

Na drugi dzień rano ruszyłem od domu do domu. Pukałem do bram i drzwi bogaczy i pytałem, czy nie potrzebują kierowcy - dobrego kierowcy - doświadczonego kierowcy.

Wszyscy mówili, że nie. Tak się pracy nie dostawało.

Żeby dostać pracę, trzeba było znać kogoś z rodziny. A nie pukać do drzwi i pytać.

Mało gdzie w Indiach docenia się przedsiębiorczość,

Ekscelencjo. To smutna prawda.

Co wieczór wracałem do domu zmęczony i bliski łez, ale

Kishan powtarzał: „Próbuj dalej. Ktoś w końcu powie «tak»„.

Więc szukałem, dom po domu, dom po domu, dom po domu. Wreszcie po dwóch tygodniach pytania i wysłuchiwania, że mam zjeżdżać, stanąłem przed takim z żelaznymi kratami we wszystkich oknach, ogrodzonym trzymetrowym murem.

- Czego chcesz? - spytał przez pręty bramy skośnooki

Nepalczyk o przebiegłej minie i siwych wąsach.

Pytał tak, że ani trochę mi się to nie podobało, ale udało mi się szeroko uśmiechnąć.

- Może potrzebny kierowca, proszę pana? Mam cztery lata doświadczenia. Mój szef właśnie zmarł, więc...

- Spierdalaj. Już mamy kierowcę. - Nepalczyk pokręcił wielkim pękiem kluczy i wyszczerzył zęby.

Serce mi się ścisnęło i właśnie miałem się odwrócić i odejść, kiedy zobaczyłem jakąś postać na tarasie: mężczyznę w luźnym białym ubraniu, który chodził tam i z powrotem, zatopiony w myślach. Przysięgam na Boga, Ekscelencjo - na wszystkich 36 000 004 bogów - że kiedy tylko ujrzałem jego twarz, od razu wiedziałem: To jest pan dla mnie.

Jakieś fatum nas wtedy połączyło, bo dokładnie w tej samej chwili on spojrzał w moim kierunku.

Wiedziałem, że przyjdzie i mnie uratuje, bylebym tylko zagadał tego pieprzonego Nepalca.

- Jestem dobrym kierowcą, proszę pana. Nie palę, nie piję, nie kradnę.

- Spierdalaj, nie rozumiesz?

- Szanuję Boga, szanuję rodzinę.

- Spadaj, ale już...

- Nie plotkuję o szefach, nie kradnę, nie obmawiam.

I wtedy otworzyły się drzwi domu. Ale to nie był człowiek z tarasu, tylko stary mężczyzna z wielkimi siwymi wąsami, gęstymi, podkreconymi, o spiczastych końcach.

- Co się dzieje, Ramie Bahadurze? - spytał Nepalczyka.

- On żebrze, proszę pana. Prosi o pieniądze.

Chwyciłem się bramy.

- Jestem z pańskiej wioski, proszę pana. Z Laxmangarh! Z wioski niedaleko Czarnego Fortu! Pana wioski!

Tym starym mężczyzną był Bocian!

Patrzył na mnie przez długą chwilę, a potem powiedział do nepalskiego strażnika:

- Wpuść tego chłopca.

Szuuuu! Brama jeszcze się nie zdążyła dobrze otworzyć, a ja już klęczałem u stóp Bociana. Żaden olimpijski sprinter by mnie nie prześcignął; Nepalczyk nie miał szans, żeby mi przeszkodzić.

Trzeba było mnie wtedy widzieć! Dałem niezłe przedstawienie, z lamentowaniem, całowaniem i łzami. Pomyślałby Pan, że pochodzę z kasty aktorów! Czepiałem się

Bocianowych stóp, patrzyłem na jego wielkie, brudne, nieobcięte paznokcie i myślałem: „Co on robi w Dhanbadzie?

Dlaczego nie jest w domu, nie wydusza pieniędzy z biednych rybaków i nie pieprzy ich córek?”.

- Wstawaj, chłopcze - powiedział.

Wielkie nieobcięte paznokcie drapały mi policzki. Pan

Ashok - człowiek z tarasu - stał teraz obok Bociana.

- Naprawdę jesteś z Laxmangarh?

- Tak, proszę pana. Pracowałem w herbaciarni, tej z wielkim zdjęciem Gandhiego. Rozbijałem węgiel. Raz przyszedł pan na herbatę.

- Ach, stara wioska... - Zamknął oczy. - Czy ludzie jeszcze mnie pamiętają? To już trzy lata...

- Oczywiście, proszę pana. Ludzie mówią: „Ojca nie ma, Thakura Ramdeva nie ma, najlepszego z właścicieli nie ma, kto nas teraz obroni?”.

Bocianowi sprawiło to przyjemność.

- Zobaczmy, co potrafi - zwrócił się do pana Ashoka. -

Weźmy też Mukesha. Przejedziemy się.

Dopiero później zrozumiałem, ile miałem szczęścia. Pan

Ashok wrócił poprzedniego dnia z Ameryki, kupiono mu samochód, potrzebny był kierowca. I wtedy zjawilem sieja.

W garażu były dwa samochody. Zwykły maruti suzuki, białe autko, jakie się widzi wszędzie w Indiach, i honda city. Maruti to prosty wózek, który zawsze słucha kierowcy; przekręcasz kluczyk i samochód robi dokładnie to, czego chcesz. Honda city jest większa, bardziej wymyślna - wspomaganie, nowoczesny silnik - i ma swój rozum. Robi, co sama chce. Byłem wtedy taki zdenerwowany, że gdyby mi przyszło zdawać egzamin w hondzie, to byłoby po mnie, proszę Pana. Ale miałem szczęście.

Kazali mi prowadzić maruti suzuki.

Bocian i pan Ashok usiedli z tyłu; pan Mukesh, niski, śniady mężczyzna, drugi syn Bociana - z przodu, i on mi wydawał polecenia. Nepalczyk patrzył z pochmurną miną, jak wyjeżdżam z bramy i ruszam do miasta.

Kazali mi się wozić przez pół godziny, a potem wróciliśmy.

- Niezłe - orzekł Bocian, wysiadając z samochodu. -

Chłopak jeździ ostrożnie i sprawnie. Mówiłeś, że jak się nazywałeś?

Halwai.

- Halwai... - Odwrócił się do syna. - Co to za kasta?

Wysoka? Niska?

Wiedziałem, że od odpowiedzi na to pytanie zależy moja przyszłość.

Muszę tu wyjaśnić kilka spraw związanych z kastą. Nawet Hindusi się w tym gubią, szczególnie wykształceni, z dużych miast. Taki by Panu tłumaczył bez ładu i składu.

Ale to jest naprawdę proste.

Zacznijmy ode mnie.

Halwai, moje nazwisko, znaczy „cukiernik”.

To moja kasta - mój los. W Ciemności każdy, kto je słyszy, od razu wie o mnie wszystko. Dlatego Kishan i ja zawsze znajdowaliśmy pracę w jakiejś herbaciarni. Właściciel myślał:

„Ach, Halwai, oni robienie słodczy i herbaty mają we krwi”.

Ale skoro tak, to czemu w takim razie mój ojciec był rykszarzem? Dlaczego jako chłopak kruszyłem węgiel i ścierałem stoły, zamiast jeść gulab dżamun i słodkie ciastka, kiedy tylko miałem na to ochotę? Dlaczego byłem chudy, ciemny i ponury, a nie tłusty, kremowoskóry i uśmiechnięty, jaki powinien być chłopiec wychowany na słodczach?

Widzi Pan, ten kraj w latach swojej świetności, kiedy był najbogatszy na świecie, przypominał zoo. Czyste, dobrze utrzymane, uporządkowane zoo. Każdy na swoim miejscu, wszyscy szczęśliwi. Złotnicy tu. Pastuchowie tu.

Właściciele ziemi tu. Człowiek o nazwisku Halwai robił słodczyce. Pastuch doglądał krów. Niedotykalni uprzętałi odchody. Właściciele ziemscy byli dobrzy dla poddanych.

Kobiety okrywały głowy, a w rozmowie z obcymi mężczyznami patrzyły w ziemię.

A potem, dzięki tym wszystkim politykom z Delhi, piętnastego sierpnia 1947 roku - w dniu odejścia Brytyjczyków - klatki zostały otwarte. Zwierzęta zaczęły się atakować i rozrywać wzajem na strzępy i zamiast prawa zoo nastąpiło prawo dżungli. Najżarłoczniejsi, najłapczywsi zjadali pozostałych i hodowali wielkie brzuchy. Teraz tylko to się liczyło, wielkość brzucha. Nieważne, czy się było kobietą, czy muzułmaninem, czy niedotykalnym: każdy, kto miał brzuch, mógł awansować. Ojciec mojego ojca z pewnością był Halwai, cukiernikiem, ale kiedy odziedziczył sklep, członek jakiejś innej kasty musiał mu go z pomocą policji ukraść. Mój ojciec miał za mały brzuch, żeby go pokonać. Dlatego pogrążył się w błocie, spadł do poziomu rykszarza. I dlatego zostałem pozbawiony losu, który był mi pisany: pokaźnej tuszy, kremowej skóry, uśmiechu.

Krótko mówiąc - dawniej w Indiach było tysiąc kast i ludzkich losów, teraz są tylko dwie kasty: Wielkie Brzuchy i Małe Brzuchy. I tylko dwa możliwe losy: zjesz albo zostaniesz zjedzony.

Śniady mężczyzna - pan Mukesh, brat pana Ashoka - nie potrafił odpowiedzieć (mówiłem, że ludzie z dużych miast nic nie wiedzą o systemie kastowym), więc Bocian zwrócił się bezpośrednio do mnie.

- Jesteś z wysokiej kasty czy z niskiej, chłopcze?

Nie wiedziałem, jakiej odpowiedzi oczekiwał - może każda byłaby dobra - więc powiedziałem na chybił trafił:

- Z niskiej, proszę pana.

- Wszyscy nasi pracownicy są z wysokiej - zwrócił się teraz Bocian do pana Mukesha.

- Nie zaszkodzi, jak będziemy mieli kogoś z niskiej.

Pan Mukesh popatrzył na mnie, mrużąc oczy. Nie zaznał życia na wsi, ale podejrzliwość właścicieli ziemskich miał we krwi.

- Pijesz?

- Nie, proszę pana. W mojej kaście nigdy się nie pije.

- Halwai... - Pan Ashok się uśmiechnął. - Jesteś cukiernikiem? Możesz dla nas gotować, kiedy nie będziesz jeździł?

- Oczywiście, proszę pana. Gotuję bardzo dobrze. Robię pyszne słodycze. Gulab dżamun, laddu, co pan zechce.

Przez wiele lat pracowałem w herbaciarni.

Pan Ashok wyglądał na rozbawionego.

- Tylko w Indiach kierowca może ci też przyrzadzić deser - powiedział. - Tylko w Indiach. Zaczynasz od jutra.

- Zaraz, zaraz - odezwał się pan Mukesh. - Najpierw musimy go wypytać o rodzinę. Ile osób liczy, gdzie mieszkają, i tak dalej. I jeszcze jedno. Ile chcesz?

Kolejna próba.

- Zupełnie nic, proszę pana. Jesteście dla mnie jak ojciec i matka, a jak mógłbym żądać pieniędzy od rodziców?

- Osiemset rupii miesięcznie - powiedział.

- Nie, proszę pana, to za dużo. Proszę mi dać połowę.

Nawet połowa to za dużo.

- Jeśli cię nie zwolnimy w ciągu dwóch miesięcy, dostaniesz tysiąc pięćset.

Ze stosowną miną człowieka pokonanego przyjąłem propozycję.

Pan Mukesh wciąż miał wątpliwości. Zlustrował mnie od stóp do głów i rzucił pytanie:

- Czy nie lepszy byłby ktoś starszy?

Bocian pokręcił głową.

- Złapiesz ptaszka za młodu, masz go przez całe życie.

Kierowca po czterdziestce to jakieś, powiedzmy, dwadzieścia lat służby, potem mu wsiądą oczy. A ten chłopak wystarczy na trzydzieści, trzydzieści pięć. Zęby ma zdrowe, włosy gęste, jest w dobrej formie.

Siorbnął, bo betelowy sok wypełnił mu usta, odwrócił się i splunął w bok czerwoną strużką.

Kazał mi przyjść za dwa dni.

Na pewno zadzwonił do swojego człowieka w Laxmangarh. A ten pewnie poszedł porozmawiać z Kusum, wypytał o nas sąsiadów i zdał sprawozdanie: „Rodzinę ma w porządku. Nigdy nie było z nimi żadnych kłopotów. Ojciec umarł kilka lat temu na gruźlicę. Był rykszarzem. Brat też jest w Dhanbadzie, pracuje w herbaciarni. Nigdy nie popierali naksalów ani żadnych innych terrorystów. I nie wólczą się z miejsca na miejsce, zawsze dokładnie wiemy, gdzie są”.

Ta ostatnia informacja była bardzo ważna. Musieli w każdej chwili wiedzieć, gdzie jest moja rodzina.

Chyba nie powiedziałem Panu jeszcze, co Bawół zrobił swojemu służącemu. Temu, co miał pilnować jego małego synka, którego porwali naksale i torturowali, a wreszcie zabili. Ten służący był z mojej kasty, Halwai. Jak byłem dzieckiem, widziałem go parę razy.

On twierdził, że nie miał nic wspólnego z porwaniem, ale Bawół mu nie wierzył i kazał czterem wynajętym bandytom go torturować. Potem strzelili mu w głowę.

Zgoda, komuś, kto by pozwolił porwać mojego syna, zrobiłbym to samo.

Ale Bawół, ponieważ był pewien, że służący pozwolił porwać dziecko umyślnie, za pieniądze, odszukał jego rodzinę. Jednego z braci dopadli, jak pracował w polu, i pobili na śmierć. Żonę tego brata załatwiło trzech. Siostrę, jeszcze niezamężną, też wykończyli. Potem we czwórkę otoczyli dom tej rodziny i podpalili.

Kto by chciał, żeby coś takiego spotkało jego rodzinę, proszę Pana? Jakim potworem w ludzkiej skórze trzeba by być, żeby własną babcie i brata, i ciotkę, i bratanków, i bratanice skazać na śmierć?

Bocian i jego synowie mogli być pewni mojej lojalności.

Kiedy wróciłem, strażnik Nepalczyk bez słowa otworzył bramę. Znalazłem się na terenie zamkniętym.

Co do moich panów, to pan Ashok, pan Mukesh i Bocian byli lepsi niż dziewięciu na dziesięciu ludzi z ich sfery.

W domu zawsze było dość jedzenia dla służby. W niedziele dostawaliśmy nawet specjalną potrawę, ryż wymieszany z małymi czerwonymi kawałkami kurczaka bez kości.

Nigdy przedtem nie jadałem regularnie kurzego mięsa; czułem się jak król, jedząc w każdą niedzielę kurczaka, a potem oblizując palce. Do spania miałem pomieszczenie pod dachem. Co prawda musiałem je dzielić z innym kierowcą, ponurym gościem, który się nazywał Ram Persad, i on spał na dużym wygodnym łóżku, a ja na podłodze, ale za to pod dachem - dużo przyjemniej niż na ulicy, gdzie nocowaliśmy z Kishanem od przyjazdu do

Dhanbadu. Ale przede wszystkim dostałem coś, co my, którzyśmy dorastali w Ciemności, cenimy najbardziej.

Uniform. Khaki!

Następnego dnia poszedłem do banku - do tego, co ma ścianę ze szkła. Widziałem swoje odbicie w szklanych taflach - całe w khaki. Przeparadowałem tam i z powrotem z dziesięć razy, żeby się na siebie pogapić.

Gdybym jeszcze dostał srebrny gwizdek, czułbym się jak w raju!

Kishan przychodził raz w miesiącu. Kusum zdecydowała, że z każdej wypłaty mogę zatrzymać dla siebie dziewięćdziesiąt rupii. Resztę zabierał Kishan i posyłał jej na wieś. Podawałem mu pieniądze między czarnymi prętami tylnej bramy i przez parę minut rozmawialiśmy, dopóki Nepalczyk nie krzyknął: „Dość już tego, chłopak ma teraz robotę!”.

Robota kierowcy numer dwa była prosta. Jeżeli numer jeden, Ram Persad, woził panów po mieście hondą city, a ktoś w domu chciał pojechać na targ, do kopalni czy na stację kolejową, wsiadałem do maruti suzuki i go wiozłem.

Poza tym musiałem być pod ręką i robić w domu coś pożytecznego.

Mówię, że przyjęli mnie jako kierowcę. Nie wiem dokładnie, jak organizujecie pracę swojej służby w Chinach, ale w Indiach - a przynajmniej w Ciemności - bogaci nie mają kierowców, kucharzy, fryzjerów, krawców. Oni po prostu mają służących.

Chodzi mi o to, że jeśli tylko nie jeździłem samochodem, musiałem zamiatać podwórko, parzyć herbatę, zbierać pajęczyny długą miotłą albo wyganiać krowę za ogrodzenie. Jednego nie wolno mi było robić - dotykać hondy city. Tylko Ram Persad miał prawo ją prowadzić i myć.

Wieczorami patrzyłem, jak poleruje lśniąca karoserię miękką szmatką. I zżerała mnie zazdrość.

To było świetne nowoczesne auto ze wszystkimi niezbędnymi wygodami: głośnikami, klimatyzacją, pięknymi siedzeniami pokrytymi błyszczącą skórą, wielką spluwaczką z nierdzewnej stali z tyłu. Prowadzić taki samochód to musiała być rozkosz. A ja miałem tylko stare zdezelowane suzuki.

Któregoś wieczoru, kiedy tak się przyglądałem, przyszedł pan Ashok i zaczął wypytywać o samochód. Widać było, że jest bardzo dociekliwy.

- Co to jest, ta błyszcząca rzecz z tyłu?

- Spluwaczka, proszę pana.

- Co?

Ram Persad wyjaśnił. Spluwaczka była dla Bociana, który lubił zuć paan. Gdyby wypluwał go przez okno, mógłby pobrudzić karoserię, więc pluł blisko kolan, do spluwaczki, którą kierowca mył po każdej jeździe.

- Obrzydliwe - powiedział pan Ashok.

Jeszcze o coś pytał, ale przybiegł syn pana Mukesha,

Roshan, z plastikową rakietą i gumową piłką w rękach.

Ram Persad pstryknął na mnie palcami.

(Jeden z obowiązków kierowcy numer dwa: grać w krykieta z każdym domowym bachorem, który tylko ma na to ochotę - i pozwalać mu wysoko wygrać).

Pan Ashok się przyłączył do gry. Stał za bramką, a ja rzucałem do smarkacza.

- Jestem Azharuddin, kapitan Indii! - wrzeszczał mały, kiedy zdobył punkt.

- Lepiej Gavaskar. Azharuddin to muzułmanin.

To był Bocian. Wyszedł na podwórko popatrzeć.

- Jak można mówić takie głupstwa, ojcie! - zaprotestował pan Ashok. - Co za różnica, hindus czy muzułmanin?

- Och, wy młodzi i te wasze nowoczesne poglądy! - Bocian oparł mi ręce na ramionach. - Muszę ukraść kierowcę, Roshan. Przepraszam. Wróci za godzinę, dobrze?

Kierowca numer dwa wykonywał specjalne zadanie. Bocian chorował na nogi. Były pokryte niebieskimi żyłami i lekarz powiedział, żeby wieczorami siadał na podwórku ze stopami w gorącej wodzie i żeby mu nogi masował służący.

Musiałem podgrzewać wodę na piecu i przynosić na podwórko, a potem jedną po drugiej podnosić nogi starego, zanurzać w wiadrze i delikatnie masować. On wtedy zamykał oczy i jęczał.

Po półgodzinie mówił: „Wystygła”, ja jedną po drugiej wyjmowałem mu nogi z wody i zносиłem wiadro do toalety.

Woda była czarna - pływały w niej włosy i złuszczone skóra.

Napełniałem wiadro czystą gorącą wodą i niosłem z powrotem.

Kiedy masowałem Bocianowi nogi, synowie przysuwali krzesła i siadali obok ojca, żeby porozmawiać. Ram Persad przynosił butelkę ze złocistym płynem, nalewał go do trzech szklaneczek, wrzucał lód i wręczał je panom. Synowie czekali, aż ojciec pociągnie pierwszy łyk i powie:

„Ach, whisky. Jak byśmy przeżyli bez niej w tym kraju”, po czym zaczęła się rozmowa. Im więcej mówili, tym szybciej masowałem. Rozmawiali o polityce, węglu i Pana kraju - o Chinach. Te trzy rzeczy - polityka, węgiel, Chiny - miały jakiś związek z losem rodziny Bociana, a ponieważ byłem teraz jej częścią, niejasno rozumiałem, że też coś mnie z nimi łączy. Gadanina o węglu i Chinach mieszała się z zapachem whisky unoszącym się ze szklaneczek, smrodem rozgrzanych nóg Bociana zanurzonych w gorącej wodzie, łuskami sypiącymi się z jego skóry i lekkimi dźgnięciami obutych w sandały stóp pana Ashoka i Mangusty, którzy kopali mnie w plecy przy każdym poruszeniu. Znosiłem wszystko - i to właśnie zadziwia u ludzi przedsiębiorczych. Jesteśmy jak gąbka - chłoniemy i rośniemy.

Poczułem silne uderzenie w głowę.

Spojrzałem w górę i zobaczyłem patrzącego na mnie

Bociana z podniesioną ręką.

- Wiesz za co?

- Tak, proszę pana - potwierdziłem i uśmiechnąłem się od ucha do ucha.

- Dobrze.

Minutę później uderzył mnie jeszcze raz.

- Powiedz mu za co, ojciec. Myślę, że on nie wie. Masujesz za mocno, chłopie. Za bardzo się podniecasz. Ojciec się złości. Przyhamuj trochę.

- Tak, proszę pana.

- Musisz bić służących, ojciec?

- To nie Ameryka. Nie zadawaj takich pytań.

- Dlaczego?

- Oni tego od nas oczekują, za to nas szanują - zapamiętaj sobie.

Pani Pinky nigdy w tych rozmowach nie uczestniczyła.

Wychodziła ze swojego pokoju tylko po to, żeby zagrać z Ramem Persadem w badminton. Wkładała wtedy ciemne okulary. Zastanawiałem się, co się z nią dzieje. Klóci się z mężem? On jej za słabo wsadza w łóżku?

Kiedy Bocian drugi raz mówił: „Wystygła” i wyjmował stopy z wiadra, moja praca była skończona.

Wylewałem wodę do zlewu.

Myłem ręce przez dziesięć minut, wycierałem i znów myłem, ale to nic nie pomagało. Choćby się nie wiem jak długo myło ręce po masowaniu stóp starego mężczyzny, przez cały dzień będzie je czuć jego łuszczącą się starą skórą.

Kierowca numer jeden i kierowca numer dwa tylko jedną rzecz robili wspólnie. Co najmniej raz w tygodniu około szóstej Ram Persad i ja wychodziliśmy z domu i szliśmy główną ulicą do sklepu, na którego szyldzie było napisane:

JACKPOT

Sklep z angielskim alkoholem

W sprzedaży zagraniczny alkohol produkcji indyjskiej

Muszę w tym miejscu wyjaśnić, Panie Jiabao, że w naszym kraju mamy dwa rodzaje mężczyzn: tych od alkoholu „indyjskiego” i tych od „angielskiego”. Alkohol „indyjski” jest dla chłopaków ze wsi, jak ja - grog, arak, bumber.

Alkohol „angielski” jest oczywiście dla bogatych. Rum, whisky, piwo, dżin - wszystko, co pozostawili po sobie Anglicy. (Czy istnieje alkohol „chiński”, Panie Premierze?

Z przyjemnością wypiłbym łyk).

Jednym z najważniejszych obowiązków kierowcy numer jeden było chodzenie raz na tydzień do Jackpota i kupowanie dla Bociana i jego synów butelki najdroższej whisky. Protokół regulujący działanie służby mówił też - lecz proszę mnie nie pytać dlaczego - że towarzyszy mu młodszy kierowca. Przypuszczam, że miałem zapobiec jego ucieczce z butelką.

Półki w Jackpocie ugięły się pod kolorowymi butelkami różnej wielkości, a dwóch nastolatków za ladą usiłowało obsłużyć krzyczących do nich mężczyzn. Z boku na białej ścianie wypisano kapiącą czerwoną farbą setki nazw alkoholi podzielonych na pięć grup: piwo, rum, whisky, dżin i wódka.

JACKPOT

Sklep z angielskim alkoholem

Cennik

NASZA WHISKY

WHISKY PIERWSZEGO GATUNKU

Ćwierć Pół Pełna butelka

BLACK DOG - 1330

TEACHER'S 530 1230

VAT 69 - 1210

WHISKY DRUGIEGO GATUNKU Ćwierć Pół Pełna butelka

ROYAL CHALLENGE 110 220 380

ROYALSTAG 110 219 380

BAGPIPER 84 200 288

WHISKY TRZECIEGO GATUNKU Ćwierć Pół Pełna butelka

ROYAL CHOICE 61 110 200

WILD HORSE 64 120 200

(MAMY TEŻ WHISKY JESZCZE TAŃSZĄ - PYTAĆ PRZY LADZIE)

NASZA WÓDKA

WÓDKA PIERWSZEGO GATUNKU.

To był mały sklep, a na paru metrach kwadratowych przed ladą tłoczyło się co najmniej pięćdziesięciu mężczyzn, wymachujących banknotami o dużych nominałach i wrzeszczących na całe gardło:

„Litr kingfishera strong!”.

„Butelka old monka!”.

„Thunderbolt! Thunderbolt!”.

Nie mieli zamiaru tego pić. Po ich podartych, brudnych koszulach poznawałem, że są służącymi jak Ram Persad i ja, wysłanymi po alkohol dla panów. Jeśli przychodziliśmy po ósmej w weekendowy wieczór, przed ladą toczyła się istna wojna. Musiałem blokować innych, a Ram Persad przepychał się do lady i krzyczał:

„Black dog! Pełna butelka!”.

Ta marka była na pierwszym miejscu w grupie whisky pierwszego gatunku. Bocian i jego synowie nic innego nie pili.

Kiedy Ram Persad już miał, co chciał, odpychałem innych służących, żebyśmy się mogli stamtąd wydostać, a on tulił butelkę w ramionach. Tylko wtedy działaliśmy razem.

W drodze powrotnej Ram Persad zawsze przystawał na chwilę i wysuwał black doga z tekturowego pudełka. Mówił, że sprawdza, czy Jackpot nas nie oszukał. Wiedziałem, że kłamie. Chciał potrzymać butelkę, poczuć w ręce pełną, dziewiczą butelkę whisky pierwszego gatunku. Chciał sobie wyobrazić, że ją kupił dla siebie. Potem wsuwał butelkę z powrotem do

pudełka i szedł do domu, a ja za nim, wciąż olśniony widokiem takiej ilości angielskiego alkoholu.

W nocy, gdy Ram Persad chrapał na łóżku, leżałem na podłodze z rękami pod głową. Patrzyłem w sufit.

Myślałem o tym, że synowie Bociana różnią się od siebie jak dzień i noc.

Pan Mukesh był niski, ciemny i brzydki, i bardzo przebiegły. Na wsi nazywaliśmy go Mangustą. Od kilku lat był żonaty z prostą kobietą, która po urodzeniu dwóch chłopców przepisowo tyła. Mangusta nie odziedziczył po ojcu ciała, ale miał jego rozum. Gdy tylko widział, że zmitrężyłem choćby minutę, krzyczał: „Kierowca, nie objaj się!

Oczyść samochód!”.

„Już oczyściłem, proszę pana”.

„To weź miotłę i zamieć podwórze”.

Pan Ashok miał ciało ojca: był wysoki, przystojny i dobrze zbudowany, jak przystało na syna właściciela ziemskiego. Wieczorami widywałem, jak grał z żoną w badmintona. Ona nosiła spodnie; ja się gapiłem. Bo czy kto widział kiedyś kobietę w spodniach? Chyba że w filmie. Od razu uznałem, że jest Amerykanką, jedną z tych magicznych rzeczy przywiezionych przez niego z Nowego Jorku, jak akcent i perfumy o owocowym zapachu, którymi nacierał sobie twarz po goleniu.

Dwa dni później Ram Persad i skośnooki Nepalczyk plotkowali. Wziąłem miotłę, zacząłem zamiatać podwórko i podchodziłem do nich coraz bliżej.

- To chrześcijanka. Wiedziałeś?

- Niemożliwe.

- Tak!

- I on się z nią ożenił?

- Pobrali się w Ameryce. Kiedy my, Hindusi, tam jedziemy, tracimy cały szacunek dla kasty - powiedział Nepalczyk.

- Stary był temu małżeństwu absolutnie przeciwny. Jej rodzina też nie wydawała się zadowolona.

- Więc jak do tego doszło?

- Hej, podsłuchujesz? - Nepalczyk spiorunował mnie wzrokiem.

- Nie, proszę pana.

Pewnego ranka ktoś zapukał do drzwi pomieszczenia kierowców. Otworzyłem i zobaczyłem panią Pinky z raketkami w rękach.

Między słupkami w rogu podwórka była rozwieszona siatka; pani Pinky stanęła po jednej stronie, ja po drugiej. Uderzyła lotkę, a ona wzniosła się w górę i spadła mi do stóp.

- Hej! Rusz się! Teraz ty!

- Przepraszam panią. Bardzo przepraszam.

Nigdy przedtem w to nie grałem. Uderzyłem lotkę i trafiłem prosto w siatkę.

- Och, jesteś do niczego. Gdzie tamten kierowca?

Ram Persad pojawił się natychmiast, jak wystrzelony z procy. Wcześniej przyglądał się nam z daleka. Grał w badmintona doskonale.

Patrzyłem, jak precyzyjnie posyła lotkę i dotrzymuje pola pani Pinky, a w brzuchu czułem ogień.

Czy ktoś komuś na świecie tak zazdrości jak kierowca numer dwa kierowcy numer jeden?

Chociaż spaliśmy w tym samym pokoju, o krok jeden od drugiego, nigdy się do siebie nie odzywaliśmy - żadnego „Cześć!” albo „Jak się czuje twoja matka?”, nic. W nocy czułem promieniujące od Rama gorąco - wiedziałem, że mnie we śnie przeklina i rzuca na mnie uroki. Każdy dzień zaczynał, składając pokłon przed co najmniej dwudziestoma wizerunkami różnych bogów, które miał po swojej stronie pokoju, i mamrocząc: „Om, om, om”. Zerkał przy tym na mnie kątem oka, jakby pytał: „Nie modlisz się? A ty kto? Naksal?”.

Któregoś wieczoru poszedłem na targ, kupiłem dwa tuziny podobizn Hanumana i Ramy, najtańszych, jakie mi się udało znaleźć, i upchnąłem je w pokoju. Teraz mieliśmy po tyle samo bogów i rano zagłuszaliśmy się nawzajem, modląc się każdy do swoich.

Nepalczyk trzymał z Ramem Persadem. Pewnego dnia wpadł do pokoju i z łomotem postawił na podłodze wielkie plastikowe wiadro.

- Lubisz psy, wsioku? - zapytał z promiennym uśmiechem.

W domu były dwa białe szpice - Cuddles i Puddles. Bogaci chcą, żeby ich psy traktować jak ludzi: karmić smakołykami, zabierać na spacer, pieścić, a nawet myć! Jak Pan myśli, kto je musiał umyć? Klęknąłem i szorowałem, namydlałem, splukiwałem, a potem wysuszyłem je suszarką.

Później oprowadziłem na smyczy wokół podwórka, a król

Nepalu siedział w rogu i krzyczał:

- Nie ciągnij tak mocno! Są warte więcej od ciebie!

Skończyłem z psami i poszedłem do pokoju, wachając sobie po drodze ręce. Jedyna rzecz, jaka może zabić zapach psiej skóry na rękach służącego, to zapach skóry jego pana.

Przed wejściem stał pan Ashok.

Podbiegłem do niego i nisko się ukloniłem. Wszedł do pokoju, a ja za nim, wciąż skulony w ukłonie. W drzwiach musiał się schylić - były dla niedożywionych służących, nie dla wysokich, dobrze karmionych panów jak on. Spojrzał niepewnie na sufit.

- Okropność - powiedział.

Przedtem w ogóle nie zauważałem, że farba na suficie łuszczy się płatami, a we wszystkich kątach wiszą pajęczyny. Do tej pory byłem w tym pokoju bardzo szczęśliwy.

- Co tu tak śmierdzi? Otwórz okna.

Usiadł na łóżku Rama Persada i wcisnął w nie końce palców. Wyglądało na twarde. Natychmiast przestałem Ramowi zazdrościć.

(Teraz już patrzyłem oczami pana Ashoka, wąchałem jego nosem, dotykałem jego palcami - zaczynałem myśleć jak mój pan!).

Spoglądał w moim kierunku, ale unikał mego wzroku, jakby się czuł winny.

- Ty i Ram Persad dostaniecie lepszy pokój do spania.

I dwa łóżka. I trochę prywatności.

- Proszę tego nie robić, proszę pana. To miejsce jest dla nas jak pałac.

To mu poprawiło nastrój. Spojrzał na mnie.

- Jesteś z Laxmangarh, prawda?

- Tak, proszę pana.

- Urodziłem się w Laxmangarh. Ale później już tam nie byłem. Ty też się tam urodziłeś?

- Tak, proszę pana. Urodziłem i wychowałem.

- Jak tam jest? - Zanim zdążyłem odpowiedzieć, dodał:

- Na pewno pięknie.

- Jak w raju, proszę pana.

Przyjrzał mi się uważnie, zlustrował mnie od stóp do głów, tak jak ja patrzyłem na niego, od kiedy przyszedłem do ich domu.

W jego oczach widać było zdumienie: Jakim cudem ta sama ziemia, woda, to samo światło słońca mogły zrodzić dwa tak różne okazy rodzaju ludzkiego?

- A więc chcę tam dzisiaj pojechać - powiedział, wstając z łóżka. - Chcę zobaczyć swoje miejsce urodzenia. Ty mnie zawieziesz.

- Tak, proszę pana!

Jadę do domu! W uniformie, za kierownicą samochodu

Bociana, gawędząc z jego synem i synową!

Byłem gotów upaść mu do stóp i je ucałować!

Bocian chciał pojechać razem z nami, więc byłby to naprawdę mój wjazd triumfalny do wioski, ale w ostatniej chwili się rozmyślił. W rezultacie jechałem do Laxmangarh honda city, wioząc pana Ashoka i panią Pinky.

Wiozłem ich pierwszy raz - do tej pory był to przywilej

Rama Persada. Nie byłem przyzwyczajony do honda city, która, jak już mówiłem, jest autem kapryśnym, mającym swój rozum. Modliłem się więc do bogów - wszystkich - żeby mnie uchronili przed błędem.

Przez pół godziny nikt się nie odzywał. Czasem kierowca potrafi wyczuć, że w samochodzie panuje napięcie - wtedy w środku rośnie temperatura. Kobieta, którą wiozłem, była wściekła.

- Dlaczego jedziemy do tej dziury, Ashoky? - rozległ się w ciszy jej głos.

- To moja rodzinna wioska, Pinky. Nie chcesz jej zobaczyć? Tam przyszedłem na świat, ale jeszcze jako chłopiec wyjechałem, bo ojciec tak zdecydował. Wtedy były tam jakieś problemy z komunistyczną partyzantką. Myślałem, że moglibyśmy...

- Czy już postanowiłeś, kiedy wracamy? - spytała niespodziewanie. - Myślę o Nowym Jorku.

- Nie. Jeszcze nie. Niedługo ustalimy.

Przez chwilę milczała, a ja strzygłem uszami. Jeśli wrócą do Ameryki, to czy będzie jeszcze potrzebny drugi kierowca?

Nic nie mówiła, ale mógłbym przysiąc, że słyszałem zgrzytanie zębów.

Pan Ashok niczego jednak nie wyczuł - zaczął nucić jakąś filmową piosenkę.

- What a fucking joke - powiedziała.

- O co ci chodzi?

- Kłamałeś, że wrócimy do Ameryki, prawda, Ashoky?

Nie masz zamiaru wracać?

- Pinky, później ci wszystko wytłumaczę. W samochodzie jest kierowca.

I co z tego? To tylko kierowca. Znowu zmieniasz temat!

- Wnętrze samochodu wypełnił przyjemny zapach - musiała się właśnie poruszyć i poprawić ubranie. - Po co nam w ogóle kierowca? Nie możesz sam prowadzić, jak przedtem?

- Pinky, to był Nowy Jork. W Indiach nie da się jeździć, spójrz, jaki ruch. Ludzie przebiegają przez jezdnię jak wariaci, nikt nie przestrzega żadnych zasad. O, zobacz, zobacz...

- Drogą pędził traktor, wyrzucając z rury wydechowej pióropusz gęstego czarnego oleju. - Jedzie pod prąd!

A jego kierowca nawet tego nie zauważył!

Ja też nie zauważyłem. No, chyba powinno się jeździć lewą stroną, ale wcześniej nie znałem nikogo, kto by się tą zasadą przejmował.

- I popatrz, jak pluje olejem. Jakbym tu jeździł, chyba bym zwariował, Pinky.

Jechaliśmy wzdłuż rzeki, potem asfalt się skończył i wiozłem ich po wybojach, a później przez małe targowisko z trzema mniej więcej takimi samymi sklepami, które sprzedawały mniej więcej to samo: naftę, kadzidło i ryż.

Wszyscy na nas patrzyli. Kilkoro dzieci biegło obok samochodu. Pan Ashok im pomachał i próbował nakłonić do tego panią Pinky.

Dzieci zniknęły; przekroczyliśmy linię, poza którą nie miały wstępu. Byliśmy na terenie posiadaczy.

Przed bramą rezydencji Bociana czekał dozorca. Otworzył drzwi samochodu, gdy ten się jeszcze toczył, i dotknął stóp pana Ashoka.

- Nareszcie jesteś, mały księżę! Nareszcie jesteś!

Zjawił się Dzik, żeby z panem Ashokiem i panią Pinky zjeść lunch - w końcu był ich wujem. Jak tylko usłyszałem, że będą jeść, poszedłem do kuchni i powiedziałem dozorczy:

„Tak kocham pana Ashoka, że musicie mi pozwolić usługiwać mu przy lunchu!”. Kucharz się zgodził i mogłem się przyjrzeć Dzikowi pierwszy raz od lat. Postarzał się, był bardziej zgarbiony, ale zęby miał jak dawniej: ostre, poczerniałe, a dwa wyraźnie dłuższe i zakrzywione. Siedzieli w jadalni - imponującym pokoju z wysokim sufitem, ciężkimi staroświeckimi meblami i olbrzymim żyrandolem.

- Uroczy stary dom - powiedział pan Ashok. - Wszystko tu jest wspaniałe.

- Oprócz żyrandola - uściśliła ona. - Jest trochę tandetny.

- Twój ojciec kocha żyrandole - oświadczył Dzik. -

Chciał tu nawet powiesić żyrandol w łazience, wiedziałś?

Poważnie!

Kiedy dozorca wniósł dania i postawił je na stole, pan

Ashok rzucił na nie okiem i spytał:

- Nie macie nic wegetariańskiego? Nie jadam mięsa.

- Pierwszy raz słyszę, żeby ktoś z naszych był wegetarianinem - odezwał się Dzik. - To nienormalne. Trzeba jeść mięso, bo daje siłę. - Rozchylił wargi, ukazując krzywe zęby.

- Nie jestem zwolennikiem zabijania zwierząt bez potrzeby. Poznałem wegetarian w Ameryce i uważam, że mają rację.

- Wy, młodzi, zarażacie się zwariowanymi pomysłami - zauważył Dzik. - Jesteś właścicielem ziemskim, nie braminem. To oni są wegetarianami.

Po lunchu umyłem naczynia i pomogłem dozorczy zrobić herbatę. Zadbalem o pana, teraz mogłem się zobaczyć z rodziną. Wyszedłem z rezydencji.

Prawdę mówiąc, zmusili mnie do tego. Stali gromadą wokół hondy, wpatrzeni w nią z dumą, ale zbyt wystraszeni, żeby jej dotknąć.

Kishan podniósł rękę. Nie widziałem go, odkąd wyjechał z Dhanbadu i wrócił na wieś do pracy w polu. To było przed trzema miesiącami. Nachyliłem mu się do stóp i dotykałem ich kilka sekund dłużej, niż było trzeba, bo wiedziałem, że jak tylko się wyprostuję, strasznie mnie zbeszta - od dwóch miesięcy nie przysłałem do domu ani rupii.

- Ach, więc jednak przypomniał sobie wreszcie o rodzinie! - powiedział, usuwając stopy. - Czy on w ogóle o nas myśli?

- Wybacz, bracie.

- Od miesięcy nie przysyłasz pieniędzy. Zapomniałeś, jak się umówiliśmy?

- Wybacz, wybacz.

W rzeczywistości się nie złościł. Po raz pierwszy, odkąd sięgałem pamięcią, wzbudzałem więcej zainteresowania niż bawolica. Najhojniej okazywała je oczywiście chyba stara

Kusum, śmiejąc się do mnie bezustannie i pocierając przedramiona.

- Och, pamiętam, jak ci napychałam usta słodyczami, kiedy byłeś mały - powiedziała, próbując uszczypnąć mnie w policzek. Za bardzo się bała mojego uniformu, żeby mnie dotknąć gdzie indziej.

Do starego domu prawie mnie zanieśli, powiadam Panu. Sąsiedzi czekali, żeby zobaczyć uniform.

Pokazano mi dzieci, które się pojawiły w rodzinie, odkąd wyjechałem. Wszystkie musiałem pocałować w czoło.

Kiedy mnie nie było, ciotka Laila urodziła dwoje, a Leela, żona kuzyna Pappu, jedno. Rodzina się powiększyła. Potrzeby też. Wszyscy mi wypominali, że nie przysyłałem pieniędzy co miesiąc.

Kusum zawodziła, bijąc się pięścią w głowę, odwrócona w stronę domu sąsiadów.

- Mój wnuk ma posadę, a mimo to mnie zmusza do pracy. Taki już los starej kobiety na tym świecie.

- Ozeńcie go! - odrzyknęli sąsiedzi. - To jedyny sposób, żeby poskromić takiego dzikusa!

- Słusznie - przyznała Kusum. - To dobry pomysł. -

Uśmiechnęła się od ucha do ucha i potarła ręce. - Bardzo dobry.

Kishan miał dla mnie mnóstwo wiadomości - samych złych, bo to była Ciemność. Wielki Socjalista dawał się korumpować jak zawsze. Walki między terrorystami naksalami i właścicielami ziemskimi stawały się coraz krwawsze. Zwykli ludzie jak my znaleźli się po prostu w pułapce. Obie strony miały swoje armie, które torturowały i mordowały podejrzanych o sprzyjanie przeciwnikom.

- Życie tutaj to piekło - powiedział mój brat. - Bardzo się cieszymy, że się z tego bagna wyrwałeś - masz uniform i dobrego pana.

Kishan się zmienił. Schudł i pociemniał. Nad sterczącymi obojczykami szyję znaczyły mu wyraźnie widoczne ściągnięcia. Niespodziewanie stał się moim ojcem.

Kusum szczyrzyła zęby, tarła ręce i mówiła o moim ożenku. Sama podawała mi lunch. Nałożyła na talerz curry z kurczaka - przyrządzone specjalnie dla mnie - i powiedziała:

- Ślub będzie gdzieś pod koniec roku, zgoda? Już kogoś dla ciebie znaleźliśmy - ładną, tłuściutką kacuzzkę. Jak tylko zaczniesz miesiączkować, może tu przyjść.

Miałem przed sobą kość z czerwonym od przypraw mięsem, a wydawało mi się, że dostałem na talerzu ciało

Kishana.

- Babciu - powiedziałem, spoglądając na kawałek czerwonego mięsa - daj mi trochę więcej czasu. Jeszcze nie jestem gotów do małżeństwa.

Szczęka jej opadła ze zdziwienia.

- Co to znaczy jeszcze nie? Zrobisz, jak chcemy. -

Uśmiechnęła się. - A teraz jedz, kochanie. Przyrządziłam kurczaka specjalnie dla ciebie.

- Nie.

- Jedz. - Pchnęła talerz w moim kierunku, a cały dom przerwał swoje zajęcia, żeby się przyjrzeć naszej przepychance. - Bramin jesteś czy co? - Spojrzała na mnie zezem.

- No jedz.

- Nie! - Odepchnąłem talerz tak mocno, że poleciał w róg pokoju i uderzył w ścianę, a czerwone curry spadło na podłogę. - Nie ożenię się! Powiedziałem!

Babcia osłupiała. Nawet nie krzyknęła. Kishan wstał i usiłował mnie zatrzymać, ale go odepchnąłem. Upadł ciężko, a ja wyszedłem z domu.

Za mną wybiegły dzieci, małe brudne bachory ciotki, których imion nie chciałem znać, których włosów nie chciałem dotykać. Po chwili to do nich dotarło i zawróciły.

Minąłem świątynię, targowisko, świnie i rynsztok. Nad stawem znalazłem się sam - na wzgórzu przede mną był

Czarny Fort.

Usiadłem nad wodą, zgrzytając zębami.

Nie mogłem przestać myśleć o ciele Kishana. Oni go tam zjadali żywcem! Zrobią mu to samo, co zrobili ojcu - wyrwą z niego, co się da, i zostawią słabego i bezbronnego, aż dostanie gruźlicy i umrze na podłodze w państwowym szpitalu, czekając na lekarza, plując krwią to na tę ścianę, to na inną!

Usłyszałem plusk. Pasący się w stawie bawół uniósł łeb pokryty liliami wodnymi i zerknął w moim kierunku. Żuraw stał na jednej nodze i mnie obserwował.

Szedłem, aż woda sięgnęła mi karku, a potem popłynąłem - obok lotosów i lilii, obok bawołu, obok kijanek i ryb, i potężnych kawałów muru, które się stoczyły z fortu.

Na poszarpanym wale obronnym zgromadziły się małpy i na mnie patrzyły. Zacząłem się wspinać na wzgórze.

Jak już Pan wie, kocham poezję, a zwłaszcza dzieła czterech muzułmańskich poetów, którzy są uznawani za największych w dziejach. Jeden z tej czwórki, ląbal, napisał niezwykle wiersz, w którym sobie wyobraża, że jest diabłem broniącym swych praw, gdy Bóg próbuje go dręczyć.

Według muzułmanów diabeł był kiedyś pomocnikiem Boga, dopóki się z nim nie pokłócił i nie poszedł własną drogą. Od tamtej pory między Bogiem a diabłem trwa walka intelektualna. O tym właśnie pisze ląbal. Wiersza dokładnie nie pamiętam, ale to było mniej więcej tak:

Bóg mówi: „Jestem silny. Jestem wielki. Zostań znowu moim sługą”.

Diabeł mówi: „Ha!”.

Kiedy, jak to się często zdarza, myślę o ląbalowym diable, leżąc tu, pod żyrandolem, widzę małą czarną postać w mokrym uniformie khaki wspinającą się ku wejściu do

Czarnego Fortu.

Oto stoi tam teraz, z jedną nogą na wale, otoczona przez stado zdumionych małp.

Na błękitnym niebie Bóg rozpościera dłoń nad leżącą w dole równiną i pokazuje temu małemu człowiekowi Laxmangarh i dopływ Gangi, i wszystko wokół: milion takich wiosek, miliard takich ludzi. I Bóg go pyta:

„Czy to wszystko nie jest cudowne? Czy nie jest wspaniałe? Czy nie zostaniesz moim sługą z wdzięczności?”.

I wtedy widzę, jak ten mały czarny człowiek w uniformie khaki zaczyna drzeć, jakby oszalał z gniewu, a potem posyła Wszechmogącemu podziękowanie za stworzenie świata w ten szczególnie sposób, a nie w żaden inny spośród wszystkich możliwych.

Obserwuję czarne łopatki miniaturowego wentylatora, tnące raz za razem światło wysyłane przez żyrandol, i widzę, jak mały człowiek w uniformie khaki raz za razem pluje na Boga.

Pół godziny później wróciłem do wioski i poszedłem do rezydencji Bociana. Pan Ashok i pani Pinky stali koło hondy.

- Gdzieś ty był, do cholery? - krzyknęła pani Pinky. -

Czekamy i czekamy.

- Przepraszam panią - powiedziałem, szczerząc zęby w uśmiechu. - Bardzo przepraszam.

- Miej serce, Pinky. Odwiedził rodzinę. Wiesz, jak mocne są więzi rodzinne w Ciemności.

Kusum, ciocia Luttu i reszta kobiet stały obok drogi, którą odjeżdżaliśmy. Patrzyły na mnie, nie pojmując, jak mogłem nie wrócić i nie przeprosić. Kusum pogroziła mi zaciśniętą sękatą pięścią.

Nacisnąłem pedał gazu i zostały za nami.

Przejeżdżając przez targowisko, spojrzałem na herbaciarnię: ludzie pająki uwijali się koło stołów, z boku w rzędzie czekały ryksze, rowerzysta z plakatem filmu pornograficznego wyświetlanego po drugiej stronie rzeki właśnie ruszał na trasę.

Jechałem przez zieloność, wśród pnączy, krzaków i drzew, wśród bawolic rozwalonych leniwie w błotnistych stawach; mijałem ryżowiska, palmy kokosowe, bananowce, miodle i figowce, łąny traw, spośród których wyłaniały się bawole pyski. Skrajem drogi szedł bawół z półnagim chłopcem na grzbiecie; dzieciak, ujrawszy nas, uniósł w górę pięści i wydał okrzyk radości - a ja miałem ochotę mu odkrzyknąć: „Też się tak czuję! Już nigdy tu nie wrócę!”.

- Możemy teraz porozmawiać, Ashoky? Odpowiesz na moje pytanie?

- Dobrze, Pinky. Widzisz, kiedy wróciłem, naprawdę myślałem, że to będą dwa miesiące. Ale... tyle się w Indiach zmieniło. Teraz mógłbym tu robić dużo więcej rzeczy niż w Nowym Jorku.

- Bzdury pleciesz, Ashoky.

- To nie bzdury. Naprawdę. Przy takich zmianach, jakie teraz zachodzą w Indiach, za dziesięć lat będzie tu Ameryka. A poza tym bardziej mi się tu podoba. Mamy ludzi, którzy się nami zajmują - kierowców, ochroniarzy, masażyстів.

Gdzie w Nowym Jorku znajdziesz kogoś, kto ci przyniesie herbatę i ciasteczka do łóżka, jak to robi Ram Bahadur? On jest u nas od trzydziestu lat. Mówimy o nim „służący”,

ale jest częścią rodziny. Pewnego dnia tata spotkał tego Nepalczyka, jak się szwendał po Dhanbadzie z bronią w rękę, i powiedział... - Nagle przerwał. - Widziałaś, Pinky?

- Co?

- Widziałaś, co zrobił kierowca? - Serce zabiło mi mocniej. Nie miałem pojęcia, co zrobiłem. Pan Ashok nachylił się do mnie i zapytał: - Dotknąłeś palcem oka, prawda?

- Tak, proszę pana.

- Nie zauważyłaś, Pinky? Właśnie przejechaliśmy obok świątyni - pan Ashok pokazał wysoką, stożkową budowlę, pomalowaną ze wszystkich stron w czarne splecione węże, która została za nami - więc kierowca... - Położył mi dłoń na ramieniu. - Jak ci na imię?

- Balram.

- No więc Balram dotknął oka na znak szacunku.

Mieszkańcy wsi są w Ciemności tacy religijni.

Ponieważ wydawali się tym bardzo przejęci, po chwili jeszcze raz przyłożyłem palec do oka.

- A to po co? Nie widzę tu żadnych świątyń.

- Ee... mijaliśmy święte drzewo, proszę pana. Okazałem mu szacunek.

- Słyszałaś? Czczą przyrodę. To piękne, prawda?

Teraz oboje wypatrywali po drodze drzew i świątyń i czekali na moje pobożne reakcje, których im oczywiście nie żałowałem i które były coraz bardziej wyszukane: najpierw dotykałem oka, potem szyi, potem obojczyka, a potem nawet sutek.

Byli przekonani, że jestem najbardziej religijnym służącym na świecie. (Musisz się z tym pogodzić, Ramie Persadzie!).

Dalsza droga do Dhanbadu była zablokowana. W poprzek jezdni stała ciężarówka pełna mężczyzn w czerwonych opaskach na głowach, którzy wznosili okrzyki:

„Zbuntujcie się przeciw bogatym! Popierajcie Wielkiego Socjalistę! Nie głosujcie na posiadaczy!”.

Niebawem nadjechały nowe ciężarówki, z mężczyznami w zielonych opaskach, którzy zaczęli krzyczeć do tych w czerwonych. Bójka wisiała na włosku.

- Co tu się dzieje? - W głosie pani Pinky słychać było niepokój.

- Spokojnie. Zbliżają się wybory, nic więcej.

Żeby Panu wytłumaczyć, o co chodziło w tych okrzykach z ciężarówek, będę musiał opowiedzieć wszystko o demokracji - z czym, jak wiem, wy, Chińczycy, nie jesteście zbyt dobrze obeznani. Ale to już jutro, Ekscelencjo.

Jest 2.44 nad ranem.

Pora zboczeńców, narkomanów - i bangalurskich przedsiębiorców.

PORANEK

CZWARTY

Adresat...

Ale chyba już nie potrzebujemy tych formalności, Panie

Jiabao, prawda? Zdążyliśmy się poznać. No i obawiam się, że na formalności nie mamy czasu.

Dzisiejsza sesja będzie krótka, Panie Premierze. Słuchałem audycji o człowieku nazwiskiem Castro, który wyrzucił bogatych z kraju i wyzwolił naród - uwielbiam audycje o wielkich ludziach - i zanim się zorientowałem, była druga rano! Chciałem jeszcze o tym Castro posłuchać, ale ze względu na Pana wyłączyłem radio. Zacznę dokładnie tam, gdzieśmy przerwali.

Demokracja!

W broszurce, którą Pan dostanie od naszego premiera,

Panie Premierze, będzie z pewnością bardzo długi ustęp o świetności demokracji w Indiach - o tym budzącym podziw spektaklu, kiedy miliard ludzi mających pełne prawa wyborcze oddaje głos, by zdecydować o swojej przyszłości, i tak dalej, i tak dalej.

Rozumiem, że wy, żółtoskórzy, pomimo sukcesów w dziedzinie kanalizacji, wody pitnej i złotych medali olimpijskich, demokracji nie macie. Jakiś polityk mówił w radiu, że dlatego was pokonamy: może i nie mamy kanalizacji, wody pitnej ani złotych medali olimpijskich, ale przecież mamy demokrację.

Gdybym to ja miał stworzyć państwo, najpierw bym zdobył rury kanalizacyjne, potem demokrację, a dopiero na końcu wziąłbym się do rozdawania broszurek i posążków

Gandhiego, ale co ja tam wiem? Jestem tylko mordercą!

Nie mam nic przeciwko demokracji, Panie Jiabao. Bynajmniej. Wiele jej zawdzięczam - prawdę mówiąc, nawet urodziny. To było w tym okresie, kiedy rozbijałem węgiel i ścierałem stoły w herbaciarni w Laxmangarh. Któregoś dnia spod portretu Gandhiego rozległo się klaskanie i stary zaczął krzyczeć, że wszyscy pracownicy mają przerwać swoje zajęcia i pomaszerować do szkoły.

W klasie za biurkiem nauczyciela stał mężczyzna w rządowym uniformie, z grubym rejestrem i czarnym piórem w rękach, i każdemu zadawał dwa pytania.

- Nazwisko?

- Baham Halwai.

- Wiek?

- Nieznany.

- Nie masz daty urodzenia?

- Nie, proszę pana. Rodzice nie zanotowali.

Popatrzył na mnie i powiedział:

- Myślę, że osiemnaście. Że dziś skończyłeś osiemnaście lat. Po prostu o tym zapomniałeś, prawda?

- Ma pan rację. - Skłoniłem głowę. - Zapomniałem.

Moje urodziny są dzisiaj.

- Mądry chłopak.

Zapisał datę i kazał mi iść. No więc urodziny dostałem od rządu.

Musiałem mieć osiemnaście lat. Wszyscyśmy w herbaciarni musieli - żeby głosować. Zbliżały się wybory i właściciel już nas sprzedał. To znaczy sprzedał nasze odciski palców - atramentowe plamy, jakimi niepiśmienni potwierdzają, że głosowali. Dowiedziałem się o tym z podsłuchanej rozmowy. Zanosilo się na wyrównaną walkę wyborczą, więc dostał za nas niezłą cenę od partii Wielkiego Socjalisty.

W okresie tamtych wyborów Wielki Socjalista już od dziesięciu lat był panem Ciemności. Na murach wszystkich urzędów znajdował się namalowany za pomocą szablonu czarny symbol jego partii - ręce zrywające kajdany - oznaczający uwalnianie się biednych spod władzy bogatych. Niektórzy klienci herbaciarni mówili, że Wielki Socjalista zaczynał jako dobry człowiek; że przyszedł zrobić porządek, ale wessał go muł Matki Gangi. Inni mówili, że od początku był brudny, tylko wszystkich omamił i dopiero teraz widać, jaki jest naprawdę. Jak było, tak było, w każdym razie nie wyglądało na to, żeby ktoś mógł mu odebrać władzę w wyborach. Rządził Ciemnością, wygrywając jedne po drugich, ale teraz jego władza słabła.

W tej chwili toczą się przeciw Wielkiemu Socjaliście i jego ministrom dziewięćdziesiąt trzy sprawy karne - o morderstwo, gwałt, zagarnięcie mienia, przemyt broni, stręczycielstwo i wiele innych przestępstw. Niełatwo o skazanie, gdy sędziowie sądzą w Ciemności, ale wydano trzy wyroki skazujące i trzech ministrów trafiło do więzienia, choć nadal są ministrami. Sam Wielki Socjalista podobno zdefraudował miliard rupii i umieścił tę kwotę w banku w ślicznym, małym europejskim kraju, pełnym białych ludzi i czarnych pieniędzy.

Kiedy ustalono i ogłoszono w radiu datę wyborów, zaczęła się na nowo szerzyć gorączka wyborcza. Bo, proszę

Pana, trzy główne choroby w tym kraju to tyfus, cholera i gorączka wyborcza; i ta ostatnia jest najgorsza - każe ludziom w kółko rozmawiać o rzeczach, na które nie mają wpływu. Wrogowie Wielkiego Socjalisty chyba byli teraz silniejsi niż w poprzednich wyborach. Mieli broszury i mikrofony, jeździli autobusami i ciężarówkami i ogłaszali, że go obalą, a Gangę i wszystkich nad nią żyjących wyciągną z Ciemności w Jasność.

Herbaciarnia trzęsła się od plotek. Ludzie popijali herbatę i rozmawiali wciąż o tych samych sprawach.

Czy tym razem im się uda? Czy wrogowie Wielkiego

Socjalisty go pokonają i wygrają wybory? Czy zebrali dość pieniędzy, przekupili dość policjantów, kupili dość odcisków palców? W Laxmangarh wyborcy dyskutują o wyborach niczym eunuchy o Kamasutrze.

Któregoś ranka widziałem, jak na murze koło świątyni policjant malował czerwoną farbą hasło:

Chcesz dobrych dróg, czystej wody, dobrych szpitali?

Nie głosuj na Wielkiego Socjalistę!

Od lat właściciele ziemscy i Wielki Socjalista się dogadywali - we wsi każdy o tym wiedział - ale tym razem chyba coś poszło źle, bo cztery Zwierzaki połączyły siły i założyły własną partię.

Poniżej hasła policjant napisał:

Wszehindyjski Społeczny Front Postępowy (Fracja Leninowska)

Tak się nazywała partia właścicieli.

Przez kilka tygodni poprzedzających wybory po brudnej ulicy Laxmangarh tłukły się w tę i we w tę ciężarówki pełne młodych ludzi z mikrofonami.

„Powstrzymać bogatych!”.

Na jednej z ciężarówek zawsze jechał Vijay - już nie konduktor, bo rzucił dawną pracę i zajął się polityką.

Taki był: za każdym razem lepiej ustawiony, niż kiedy się go widziało poprzednio. Urodzony polityk. Czerwona opaska na głowie oznaczała, że popiera Wielkiego

Socjalistę. Co rano Vijay wygłaszał przed herbaciarnią przemowę. W odwecie właściciele ziemscy sprowadzili ciężarówki ze swoimi poplecznikami. Ci krzyczeli: „Drogi! Woda! Szpitale! Nie głosujcie na Wielkiego Socjalistę!”.

Tydzień przed wyborami ciężarówki przestały przyjeżdżać. Dlaczego, dowiedziałem się, ścierając ze stołu.

Blef Zwierzaków odniósł skutek. Wielki Socjalista zgodził się na porozumienie.

Na wielkim wiecu przed herbaciarnią Vijay zgiął się i dotknął stóp Bociana. Różnice widać zniknęły. Bocian został przewodniczącym laxmangarskiego oddziału partii

Wielkiego Socjalisty, a Vijay miał być zastępcą.

Wiece się skończyły. Kapłan odprawił specjalną pudzę za zwycięstwo Wielkiego Socjalisty, przed świątynią rozdano na papierowych talerzach birjani z baraniną, a wieczorem każdy mógł się za darmo napić gorzały.

Na drugi dzień rano we wsi pojawiło się mnóstwo kurzu i policji. Na targowisku jeden z funkcjonariuszy odczytał na głos instrukcję głosowania.

Cokolwiek robiono, robiono to dla naszego dobra.

Wrogowie Wielkiego Socjalisty będą się starali wygrać wybory, nam, biedakom, odebrać władzę, na nowo zakuć ręce w kajdany, z których on, Wielki Socjalista, w swej miłości nas uwolnił. Czyśmy zrozumieli? I w kłębach kurzu policja odjechała.

„Zawsze to samo - powiedział wieczorem ojciec. -

Dwanaście razy widziałem wybory - pięć razy krajowe, pięć razy stanowe i dwa razy lokalne - i dwanaście razy głosował za mnie ktoś inny. Słyszałem, że w tych drugich

Indiach ludzie mogą głosować sami za siebie. To jest coś, prawda?”.

W dniu wyborów pewien człowiek zwariował.

W Ciemności tak bywa podczas każdego wyborów.

To był kolega ojca, rykszarz, niezwracający wcześniej niczyjej uwagi niski, ciemnoskóry mężczyzna. Pozostali rykszarze go otoczyli i coś mu odradzali, ale bez przekonania.

Widzieli takie rzeczy już wcześniej. Wiedzieli, że go nie powstrzymają.

Od czasu do czasu promień słońca dotrze nawet do takiego miejsca jak Laxmangarh. Te wszystkie plakaty, przemowy i hasła na ścianach trafią do czyjejś głowy. I ten człowiek oświadczy, że jest obywatelem demokratycznych

Indii i chce oddać głos. Tak było właśnie z owym rykszarzem. Uznał się za wolnego od Ciemności - tamtego dnia miał swój Benares.

Ruszył prosto do szkoły, do kabiny do głosowania.

„Mam wystąpić przeciw bogatym, prawda? - krzyczał. -

Przecież to się nam ciągle mówi!”.

Kiedy dotarł na miejsce, zwolennicy Wielkiego Socjalisty już napisali wynik na tablicy wystawionej na zewnątrz.

W tym lokalu wyborczym naliczyli 2341 głosów. Wszystkie oddano na Wielkiego Socjalistę. Były konduktor Vijay stał na drabinie, zamierzając przybić do ściany plakat z symbolem Wielkiego Socjalisty (rękami zrywającymi kajdany) i hasłem:

Jednogłośnie zwycięstwa gratuluje Wielkiemu Socjaliście Laxmangarh! ale kiedy zobaczył rykszarza, rzucił młotek, gwoździe i plakat i wrzasnął:

- Co tu robisz?

- Głosuję! - odrzyknął rykszarz. - Przecież dziś wybory.

Nie mam pewności, co się działo potem, chociaż stałem tylko parę kroków za nim. Z pewnej odległości przyglądał się wszystkiemu wielki tłum, ale gdy rzucił się ku nam policjant, uciekliśmy w popłochu. Więc nie widziałem, co zrobili temu odważnemu wariatowi.

Usłyszałem o tym następnego dnia, kiedy udawałem, że zeszkrobuję plamę ze stołu. Vijay i policjant przewrócili rykszarza i zaczęli go bić. Walili kijami, a kiedy próbował ich uderzyć, kopali. Potem się podzielili: Vijay bił, a policjant skakał rykszarzowi na twarz, i tak na zmianę. Po jakimś czasie rykszarz przestał się wić i bronić, ale oni dalej po nim skakali, aż go wgnietli w ziemię.

Jeśli Ekscelencja pozwoli, wrócę teraz na chwilę do mojego plakatu. Zostałem nazwany mordercą: w porządku, nie mam zastrzeżeń. Jestem grzesznikiem, człowiekiem upadłym, to fakt. Ale żeby mnie nazwała mordercą policja!

What a fucking joke.

Oto drobna pamiątka dla Pana z odwiedzin w Indiach.

Balram Halwai jest człowiekiem zaginionym, ściganym, o miejscu pobytu nieznanym policji, prawda?

Ha!

Policja doskonale wie, gdzie mnie można znaleźć. Znajdzie mnie w szkole w Laxmangarh w dystrykcie Gaja, w dniu wyborów, kiedy będę posłusznie głosował, jak to robię podczas wyborów krajowych, stanowych i lokalnych od ukończenia osiemnastu lat.

Jestem najwierniejszym wyborcą w Indiach, a jeszcze nie widziałem kabiny do głosowania od środka.

Chociaż w Dhanbadzie wkrótce miały być wybory, za wysokim murem otaczającym dom Bociana życie toczyło się jak zwykle. Właściciel wzdychał, kiedy mu masowałem zanurzone w gorącej wodzie nogi; grano w krykieta i badmintona; posłusznie szczotkowałem i myłem dwa szpice.

Któregoś dnia za bramą pojawiła się znajoma twarz.

Vijay, konduktor autobusu z Laxmangarh. Teraz bohater mojego dzieciństwa nosił inny uniform. Cały był ubrany na biało, na głowie miał białą furazerkę a la Nehru, a na ośmiu palcach sygnety z litego złota!

W służbie państwowej dobrze mu się działo.

Stałem koło bramy i patrzyłem. Sam Bocian wyszedł go powitać i w pas mu się uklonił. Właściciel ziemski synowi świniarza! Cuda demokracji!

Dwa dni później przyjechał Wielki Socjalista.

Z powodu tej wizyty w domu aż huczało. Pan Ashok czekał przy bramie z girlandą z jaśminu. Towarzyszyli mu ojciec i brat.

Podjechał samochód, otworzyły się drzwi i ukazała się twarz, którą od dzieciństwa oglądałem na milionach plakatów wyborczych - pulchne policzki, nastroszone siwe włosy, grube złote kolczyki.

Vijay tym razem był w swojej czerwonej opasce i trzymał flagę z rysunkiem rąk w kajdanach. Krzyknął: „Niech żyje Wielki Socjalista!”.

Wielki człowiek złożył dłonie i kłaniał się dookoła. Jak wszyscy znani indyjscy politycy miał twarz z rodzaju „albo - albo”: na której w tej chwili widać spokój i obietnicę, że ty też go możesz mieć, jeśli tylko podążysz za jej właścicielem - ale wystarczy lekki grymas i ta sama twarz może mówić, że zna także przeciwieństwo spokoju i że jeśli tylko zechce, ono również może się stać twoim udziałem.

Pan Ashok włożył girlandę na byczy kark wielkiego człowieka.

- Mój syn - powiedział Bocian. - Niedawno wrócił z Ameryki.

- Świetnie. - Wielki Socjalista uszczypnął pana Ashoka w policzek. - Trzeba nam więcej chłopców, którzy wrócą i zrobią z Indii supermocarstwo.

Weszli do domu, wszystkie okna i drzwi zamknięto. Po jakimś czasie na podwórze wyszedł Wielki Socjalista, a za nim stary, Mangusta i pan Ashok.

Chciałem podsłuchać, o czym mówią, więc udawałem, że zamiatam, i powoli podchodziłem coraz bliżej. Już zaczynałem ich słyszeć, kiedy Wielki Socjalista klepnął mnie w plecy.

- Jak ci na imię, synu? - spytał, a potem powiedział:

- Twoi pracodawcy próbują zrobić ze mnie głupka. Co ty na to?

Pan Ashok stał osłupiały, Bocian się przymilnie uśmiechał.

- Półtora miliona to dużo, proszę pana. Bardzo byśmy chcieli dojść do porozumienia.

- Bzdura. - Wielki Socjalista machnął ręką. - Robisz tu niezły szwindel - za darmo wydobywasz węgiel z państwowych kopalń. To się kręci, bo ja się na to godzę. Kiedy cię

znalazłem, byłeś drobnym wsiowym właścicielem ziemskim. Sprowadziłem cię tutaj, zrobiłem, kim dziś jesteś, a ty mi się sprzeciwiasz. Jak Boga kocham, wrócisz na wieś.

Kiedy mówię półtora, to, kurwa, znaczy, że półtora...

Musiał przerwać, bo żuł paan i właśnie czerwona ślina wypełniła mu usta i zaczęła kapać z ich kącika. Odwrócił się do mnie i złożył dłonie w kształt miski. Pobiegłem do hondy po spluwaczkę.

Kiedy wróciłem, spojrzał na Mangustę i chłodnym głosem zapytał:

- Synu, przytrzymasz mi spluwaczkę? - Gdy ten się nie ruszył, zabrał ją z moich rąk i mu podał. - Trzymaj, synu.

Mangusta ją wziął.

Wtedy Wielki Socjalista trzykrotnie napluł do spluwaczki.

Manguście trzęsły się ręce, twarz mu poczerniała ze wstydu.

- Dziękuję ci, synu. - Wielki Socjalista wytarł usta, odwrócił się w moją stronę i podrapał w czoło. - Na czym to ja stanąłem?

Tak to właśnie wyglądało. Ta dobra strona Wielkiego

Socjalisty. Poniział wszystkich naszych panów - dlatego za każdym razem na nowo na niego głosowaliśmy.

Wieczorem, też pod pretekstem zmiatania podwórza, podszedłem blisko do Bociana i jego synów. Ze szklaneczkami złocistego płynu w rękach siedzieli na ławce i rozmawiali.

Mukesh właśnie skończył mówić i stary pokręcił głową.

- Nie możemy tego zrobić. Jest nam potrzebny.

- Już nie, ojczu. Możemy iść prosto do Delhi. Znamy tam odpowiednich ludzi.

- Zgadzasz się z Mukeshem, ojczu. Nie powinniśmy mu więcej pozwalać, żeby nas traktował jak niewolników.

- Cicho, Ashok. Muszę to omówić z Mukeshem.

Słuchałem. Zamiotłem podwórze drugi raz, a potem, żeby nadal być blisko nich, zacząłem naprężać zwisającą siatkę do badmintona.

Dostrzegły to podejrzliwe nepalskie oczy.

- Nie wałęsaj się po podwórku. Idź do pokoju i czekaj, aż cię panowie zawołają.

- Dobrze. Dobrze, proszę pana - powtórzyłem, bo

Ram Bahadur spiorunował mnie wzrokiem.

(Nawiasem mówiąc, proszę Pana, służący mają na tym punkcie obsesję - żeby inni służący zwracali się do nich per pan).

Na drugi dzień rano, kiedy suszyłem Puddlesa i Cuddlesa po myciu szamponem, podszedł do mnie Ram Bahadur.

- Byłeś kiedyś w Delhi? - zapytał. Pokręciłem głową. -

Bo oni za tydzień jadą do Delhi. Pan Ashok i pani Pinky.

Mają tam zostać na trzy miesiące.

Uklęknąłem. Dmuchałem suszarką na łapy Puddlesa i udawałem brak zainteresowania.

- Po co? - spytałem, najobojętniej jak umiałem.

Nepalczyk wzruszył ramionami. Bo to wiadomo? Jesteśmy tylko służącymi. Ale trochę jednak wiedział.

- Zabierają tylko jednego kierowcę. I ten kierowca dostanie trzy tysiące rupii miesięcznie - tyle mu będą płacić w Delhi.

- Poważnie? - Suszarka wypadła mi z rąk. - Trzy tysiące?

- Tak.

- A wezmą mnie, proszę pana? - zapytałem prosząco, wstając z klęczek. - Może ich pan namówić, żeby mnie wzięli?

- Wezmą Rama Persada - oświadczył z szyderczym uśmiechem na swych nepalskich ustach. - Chyba że...

- Że?

Zrobił gest liczenia pieniędzy.

Pięć tysięcy rupii - i powie Bocianowi, że to ja powinienem pojechać do Delhi.

- Pięć tysięcy? Skąd wezmę tyle pieniędzy? Całą pensję zabiera mi rodzina.

- No cóż, w takim razie pojedzie Ram Persad. A ty pewnie będziesz do końca życia kąpał psy. - Wskazał Cuddlesa i Puddlesa.

Obudziłem się i poczułem ostry zapach.

Jeszcze było ciemno.

Ram Persad nie spał. Siedział na łóżku i siekał cebulę: ciach, ciach, ciach - słyszałem uderzenia noża o deskę.

„Po cholere sieka cebulę tak wcześnie?” - pomyślałem, odwracając się do ściany, i zamknąłem oczy. Chciałem zasnąć, ale ciach, ciach, ciach uparcie mi przypominało: Ten człowiek coś ukrywa.

Siekał, a ja już nie mogłem spać.

Co to może być? Co zauważyłem w ostatnich dniach?

Choćby to, że jego oddech zrobił się nieświeży. Już i pani Pinky się na to skarżyła. I że nagle przestał z nami jeść, w domu i poza domem. Nawet w niedziele, kiedy był kurczak, też mówił, że jadł wcześniej albo że nie jest głodny.

Siekanie nie ustawało, a ja w ciemnościach dodawałem myśl do myśli.

Przez cały dzień go obserwowałem. Jak oczekiwałem, pod wieczór skierował się ku bramie.

Wiedziałem od kucharza, że Ram Persad co wieczór o tej samej porze wychodzi z domu. Szedłem za nim w pewnej odległości. Udał się do tej części miasta, gdzie nigdy wcześniej nie byłem, i przemierzył kilka uliczek.

W pewnym momencie się odwrócił, jakby się chciał upewnić, że nikt go nie śledzi, a potem ruszył pędem.

Zatrzymał się przed jednopiętrowym budynkiem, na którego ścianie znajdowała się duża metalowa krata, składająca się z kwadratowych przegródek. Pod nią sterczały rzędem małe czarne krany. Nachylił się do jednego z nich, obmył twarz, wypłukał gardło i splunął. Później zdjął sandały. Z przegródek wystawały powciskane tam parami buty - ze swoimi zrobił to samo. Wszedł do budynku i zamknął za sobą drzwi.

Uderzyłem się w czoło.

Ale ze mnie idiota! To ramadan! W dzień nie wolno im jeść ani pić.

Biegiem wróciłem do domu. Nepalczyk stał w bramie i pocierał sobie zęby kawałkiem gałązki miodli - tak w moim kraju robi wielu biedaków, kiedy chcą mieć czyste zęby,

Panie Premierze.

- Właśnie widziałem film, proszę pana.

- Spierdalaj.

- Świetny film, proszę pana. Z mnóstwem tańca. Bohater był muzułmaninem. Nazywał się Mohammad Mohammad.

- Nie zabieraj mi czasu, mały. Jak nie masz nic do roboty, idź umyj samochód.

- Mohammad Mohammad był ubogim, uczciwym, pracowitym muzułmaninem, ale chciał pracować w domu niedobrego, nietolerancyjnego pana, który nie lubił muzułmanów. Więc żeby dostać tę pracę i nakarmić głodującą rodzinę, zaczął udawać hindusa! Jako Ram Persad! - Gałązka wypadła Nepalczykowi z ust. - A jak mu się udało tego dokonać? Bo chroniący ten dom Nepalczyk, cieszący się całkowitym zaufaniem swoich panów, który miał i sprawdzić przeszłość Rama Persada, był z nim w zмовie!

Zanim zdążył się ruszyć, złapałem go za kołnierz. Formalnie rzecz biorąc, w tego rodzaju incydentach między służącymi to wystarcza, żeby dać do zrozumienia: „Wygrałem”.

Ale jak już się człowiek do tego bierze, to lepiej pokazać styl, prawda? No więc mu jeszcze przyłożyłem.

Od tamtej pory byłem w tym domu służącym numer jeden.

Pobiegłem z powrotem do meczetu. Namaz musiał się już skończyć. Rzeczywiście, Ram Persad - czy Mohammad, czy jakie tam było jego prawdziwe imię - wyszedł z meczetu, wyjął sandały z przegródki, rzucił na ziemię i wsunął w nie stopy. I wtedy mnie zobaczył. Puściłem do niego oko, a on już wiedział, że gra skończona.

W paru precyzyjnie dobranych słowach załatwiłem resztę.

Poszedłem do domu. Nepalczyk patrzył zza czarnych prętów ogrodzenia. Zabrałem mu łańcuszek z kluczami i schowałem do kieszeni.

- Przynieś mi herbaty. I trochę ciasteczek. - Dotknąłem jego koszuli. - Daj mi też swój uniform. Mój już jest stary.

Tej nocy spałem w łóżku.

Rano ktoś przyszedł do pokoju. To był były kierowca numer jeden. Bez słowa zaczął się pakować. Wszystkie jego rzeczy zmieściły się w jednej małej torbie.

„Jakie to okropne życie, tak musieć ukrywać religię, nazwisko, żeby mieć posadę kierowcy - pomyślałem. - A on jest dobrym kierowcą, bez dwóch zdań. Dużo lepszym, niż będę kiedykolwiek ja”. Część mnie chciała od razu wstać z łóżka, przeprosić, powiedzieć: „Idź i jedź z nimi do Delhi.

Nie zrobiłeś mi nic złego. Wybacz, bracie”.

Przewróciłem się na drugi bok, pierdnąłem i zasnąłem.

Kiedy się obudziłem, już go nie było. Zostawił wszystkie wizerunki bogów, więc je zebrałem i schowałem. Nigdy nie wiadomo, kiedy coś takiego może się przydać.

Wieczorem przyszedł Nepalczyk. Z uśmiechem na twarzy - takim samym fałszywym uśmiechem służącego, jaki od rana do wieczora pokazywał Bocianowi. Powiedział mi, że ponieważ Ram Persad porzucił służbę, ja zawiozę pana

Ashoka i panią Pinky do Delhi. On, Ram Bahadur, osobiście - i przekonująco - polecił mnie Bocianowi.

Położyłem się na łóżku - już całkiem moim - wyciągnąłem jak długi i powiedziałem:

- Wspaniale. To teraz zmieć te pajęczyny z sufitu, co?

Spojrzał na mnie wściekłym wzrokiem, ale się nie odezwał, tylko poszedł po miotłę.

- ...proszę pana! - wrzasnąłem.

Od tamtej pory co rano była gorąca nepalska herbata i trochę smacznych słodkich ciasteczek na porcelanowym talerzu.

W niedzielę przyszedł pod bramę Kishan i usłyszał ode mnie nowinę. Myślałem, że będzie mnie opieprzał za bezceremonialny wyjazd ze wsi, ale on był wniebowzięty - oczy miał pełne łez. Ktoś z jego rodziny wydostał się z Ciemności i trafił do New Delhi!

- Nasza matka zawsze to mówiła. Wiedziała, że dasz sobie radę.

Dwa dni później hondą city wiozłem pana Ashoka,

Mangustę i panią Pinky do Delhi. Kierunek znalazłem łatwo; wystarczyło, że ruszyłem za autobusami. Bo drogą jechał sznur autobusów i dżipów - pękających od pasażerów, obwieszonych pasażerami, z pasażerami na dachach.

Wszyscy zmierzali z Ciemności do Delhi. Można by pomyśleć, że cały świat się przenosi.

Za każdym razem, kiedy mijaliśmy autobus, po prostu musiałem wyszczerzyć zęby w uśmiechu. Żałowałem, że nie mogę opuścić szyby i krzyknąć do pasażerów: „Jadę do

Delhi autem - kli-ma-ty-zo-wa-nym!”.

Ale i tak na pewno mogli te słowa wyczytać mi z oczu.

Koło południa pan Ashok klepnął mnie w ramię.

Od samego początku, proszę Pana, w jakiś sposób wyczuwałem, czego ode mnie chce, tak jak psy rozumieją swoich właścicieli. Więc zatrzymałem samochód i przesunąłem się w lewo, a on się przesunął w prawo, i nasze ciała się minęły (tak blisko, że szorstki zarost na jego twarzy przejechał mi po policzku jak pędzel do golenia, którego używam co rano; zapach wody kolońskiej z jego skóry - cudowny, mocny, owocowy - na jedną podniecającą chwilę wypełnił mi nozdrza, a jemu został na twarzy zapach potu służącego). Od tej chwili on był kierowcą, a ja pasażerem.

Włączył silnik.

Mangusta, który przez cały czas czytał gazetę, teraz zobaczył, co się stało.

- Nie rób tego, Ashok.

Mangusta był panem starej daty. Wiedział, co dobre, a co złe.

- Masz rację, to by było dziwne - powiedział pan

Ashok.

Samochód się zatrzymał. Nasze ciała znów się minęły, jeszcze raz wymieniliśmy się zapachami i ja znowu byłem służącym i kierowcą, a pan Ashok pasażerem i moim panem.

Do Delhi dotarliśmy późną nocą.

Dopiero dochodzi trzecia, mógłbym mówić jeszcze trochę dłużej. Ale wolę na razie skończyć, bo teraz będę musiał Panu opowiedzieć historię innego rodzaju.

Czy pamięta Pan, Panie Premierze, jak po raz pierwszy, pewnie jako chłopiec, otworzył Pan maskę samochodu i zobaczył jego wnętrze? Pamięta Pan te kolorowe przewody wijące się od jednej części silnika do drugiej, czarne pudło z żółtymi zakrętkami, tajemnicze rurki z sykiem wypuszczające parę, olej, smar - pamięta Pan, jakie to wszystko wydawało się zagadkowe, magiczne? Kiedy patrzę na delhijski wątek mych dziejów, też się tak czuję. Jeśli

Pan zechce, żebym wyjaśnił, jak jedno wydarzenie łączy się z innym albo jak jeden motyw wzmacnia albo osłabia następny, albo jak to się stało, że najpierw myślałem o swoim panu tak, a potem tak - to powiem, że sam tego nie rozumiem. Nie jestem pewien, czy ta historia, tak jak ją opowiem, jest prawdziwa. Nie jestem pewien, czy dokładnie wiem, dlaczego umarł pan Ashok.

Lepiej już skończę.

Kiedy się znowu spotkamy, o północy, proszę mi przypomnieć, żebym trochę rozjaśnił żyrandol. Dalszy ciąg opowieści będzie dużo bardziej mroczny.

NOC

CZWARTA

Powinienem opowiedzieć trochę więcej o tym żyrandolu.

Bo czemu nie? Rodziny już nie mam. Wszystko, co mam, to żyrandole.

Żyrandol mam tutaj, nad głową, w biurze. I dwa w mieszkaniu w Raj Mahal Villas Phase Two. Jeden w salonie i mniejszy w toalecie. To pewnie jedyna toaleta z żyrandolem w Bangalurze!

Pewnego dnia zobaczyłem te żyrandole przywiązane do gałęzi wielkiego figowca koło parku Lalbagh. Sprzedawał je wiejski chłopak; od razu kupiłem wszystkie. Zapłaciłem wozakowi, żeby mi je zawiózł do domu, więc jechaliśmy przez Bangalur, ja, on i trzy żyrandole, limuzyną ciągniętą przez woły!

Widok żyrandola mnie cieszy. A co, jestem wolnym człowiekiem, mogę sobie kupować tyle żyrandoli, ile zechcę. Choćby dlatego, że odstrasza ją jaszczurki. Naprawdę, proszę Pana. Jaszczurki nie lubią światła, więc od żyrandola trzymają się z daleka.

Nie rozumiem, czemu ludzie nie kupują żyrandoli ciągle i nie zawieszają ich wszędzie. Wolni ludzie nie doceniają wolności, w tym rzecz.

Czasem w domu włączam żyrandole, kładę się, pławię w ich świetle i wybucham śmiechem. Człowiek, który się ukrywa wśród zapalonych żyrandoli!

Właśnie wyjawilem sekret udanej ucieczki. Policja szukała mnie w ciemności, ale ja się schowałem tam, gdzie było jasno.

W Bangalurze!

Jednym z licznych pożytków płynących z posiadania żyrandola, tego najbardziej niedocenianego i nie lubianego przedmiotu, jest to, że jak się coś zapomni, to wystarczy się wpatrzeć w jego szkiełka błyszczące pod sufitem i najdalej po pięciu minutach to się przypomina.

No właśnie, zapomniałem, na czymśmy wczoraj stanęli, więc musiałem zająć Pana przez chwilę gadaniem o żyrandolach, ale teraz już pamiętam, co to było.

Delhi - wczoraj w nocy przerwałem, kiedy powiedziałem, że dojechaliśmy do Delhi.

Do stolicy naszego wspianego państwa. Siedziby parlamentu, prezydenta, wszystkich ministrów i premierów.

Dumy naszego planowania przestrzennego. Wizytówki republiki.

Tak mówią oni.

Kierowca powie Panu prawdę. A prawda jest taka: Delhi to zwariowane miasto.

Weźmy to. Bogaci mieszkają na dużych osiedlach, jak

Defence Colony, Greater Kailash czy Vasant Kunj, gdzie domy są oznaczone cyframi i literami, ale nie ma w tym żadnej logiki. W angielskim alfabecie A sąsiaduje z B, o czym wiedzą wszyscy, nawet ja, chociaż nie znam angielskiego, ale na osiedlu obok domu A 231 stoi na przykład F

378. Pewnego razu pani Pinky kazała się zawieźć na

Greater Kailash do E 231. Dojechałem do E 200 i już myślałem, że prawie jesteśmy na miejscu, a tu nagle domy z literą E zniknęły bez śladu. Następny był S coś tam. Pani

Pinky zaczęła się drzeć: „A mówiłam, żebyś nie brał tego wsioka!”.

Albo taka rzecz. Każda ulica w Delhi ma nazwę: Aurangzeb Road, Humayun Road, Archbishop Makarios

Road, ale nikt, czy to pan, czy służący, tych nazw nie zna.

Jak się kogoś zapyta o Nikolai Copernicus Marg, to choćby tam mieszkał od urodzenia, otworzy usta i po chwili powie: „Co?”. Albo powie „prosto i w lewo”, mimo że nie ma pojęcia, gdzie jest Nikolai Copernicus Marg.

Wszystkie ulice wyglądają tak samo, wszystkie okrążają połacie trawy, na których mężczyźni śpią, jedzą albo grają w karty, a z każdego z tych trawiastych kręgów wystrzelają cztery inne ulice, więc się jedzie jedną z nich i trafia na kolejny trawiasty krąg, na którym mężczyźni śpią, jedzą albo grają w karty i od którego odchodzą cztery następne ulice. I tak się człowiek w Delhi gubi, gubi, gubi.

Tysiące ludzi żyje w Delhi na ulicy. Wśród nich także przybyli z Ciemności - można ich poznać po chudych ciałach, zarośniętych brudem twarzach, po tym, że niczym zwierzęta mieszkają pod wielkimi mostami i wiaduktami, tam rozpalają ogniska, myją się, iskają, a obok z hukiem pędzą samochody. Ci bezdomni szczególnie przeszkadzają kierowcom. Nigdy nie zwracają uwagi na światła - po prostu wpadają na jezdnię pod wpływem impulsu. A każde moje nadeptnięcie na hamulec, żeby nie rąbnąć w któregoś z nich, wywołuje wrzaski na tylnym siedzeniu.

Pytam się: Kto zbudował Delhi w tak idiotyczny sposób? Co za geniusz odpowiada za to, że po kwartale A jest kwartał F, a po domu numer 12 dom numer 69? Kto był tak zajęty chodzeniem na przyjęcia i piciem angielskich trunków, spacerami i szamponami swoich szpiców, że musiał nadać ulicom nazwy, których nikt nie może zapamiętać?

- Hej, kierowco, znowu się zgubiłeś? - To Mangusta.

- Daj mu spokój.

- Czemu ty go zawsze bronisz, Ashok?

- Nie mamy ważniejszych problemów? Dlaczego ciągle rozmawiamy o kierowcy?

- Dobrze, w takim razie pomówmy o innych rzeczach.

Zacznijmy od twojej żony i jej humorów.

- Naprawdę uważasz, że to jest ważniejsze niż sprawa podatku? Ile razy pytam, co z tym robimy, zawsze zmieniasz temat. Moim zdaniem to chore kazać nam tyle płacić.

- Mówiłem ci, że to kwestia polityczna. Nękają nas, bo twój ojciec próbuje się odsunąć od Wielkiego Socjalisty.

- Nie rozumiem, czemu w ogóle wdał się w konszachty z tym typem.

- Wszedł w politykę, bo musiał. W Ciemności nie ma wyboru. A ty nie wpadaj w panikę, Ashok. Z podatkiem sobie poradzimy. Jesteśmy w Indiach, nie w Ameryce. Zawsze się znajdzie jakieś wyjście. Mówiłem ci, że mamy tu kogoś, kto dla nas pracuje. Ramanathan wszystko potrafi załatwić.

- Ramanathan to podejrzany służalczy kretyn. Potrzebujemy prawnika, specjalisty od podatków, Mukesh! Musimy iść do gazet, opowiedzieć, jak nas ci politycy gwałcą.

- Słuchaj - Mangusta podniósł głos - dopiero co wróciłeś z Ameryki. Nawet ten kierowca wie dziś o Indiach więcej niż ty. Potrzebujemy kogoś z doświadczeniem, kto nam załatwi spotkanie z odpowiednim ministrem. Tak działa Delhi.

- Pochylił się do przodu i położył mi rękę na ramieniu. -

Znowu się zgubiłeś? Może chociaż raz uda ci się znaleźć drogę do domu bez ciągłego błądzenia? - Westchnął i oparł się wygodnie. - Nie powinniśmy byli go zabierać, jest do niczego. Ram Bahadur kompletnie źle go ocenił, Ashok.

- Hm...

- Oderwij się na chwilę od tego telefonu. Powiedziałeś Pinky, że zostajecie tutaj na dobre?

Hm... Owszem.

- I co królowa na to?

- Nie nazywaj jej tak. To twoja szwagierka, Mukesh.

Będzie zadowolona z Gurgaonu, to najbardziej amerykańska część miasta.

Pan Ashok dobrze to wymyślił. Podobno jeszcze dziesięć lat wcześniej w Gurgaonie nie było nic oprócz bawołów i grubych pendzabskich rolników, a dziś jest to najnowocześniejsze przedmieście Delhi. American

Express, Microsoft, wszystkie wielkie amerykańskie firmy mają tu przedstawicielstwa. Przy głównej ulicy jest mnóstwo centrów handlowych - i w każdym kino! Więc jeśli pani Pinky tęskniła za Ameryką, to było to najlepsze miejsce.

- Co za debil - odezwał się Mangusta. - Znowu zablądził. - Wyciągnął rękę i uderzył mnie w głowę. - Przy fontannie w lewo, idioto! Nie wiesz, jak stąd trafić do domu?

Zacząłem przeproszać, ale głos zza moich pleców powiedział:

- W porządku, Balram. Zawieź nas do domu.

- No widzisz? Znowu go bronisz.

- Wczuj się w jego sytuację, Mukesh. Wyobrażasz sobie, jakie zagmatwane musi być dla niego Delhi? Pewnie jak Nowy Jork na początku dla mnie.

Mangusta przeszedł na angielski i nie rozumiałem, co mówił, ale pan Ashok odpowiedział w hindi.

- Pinky też tak uważa. To jedyna rzecz, co do której jesteście zgodni, Mukesh, ale ja na to nie pozwolę. Licho wie, na kogo się trafi w Delhi. A jemu możemy ufać. On jest swój.

W tym momencie spojrzałem w lusterko i uchwyciłem spojrzenie pana Ashoka. W jego oczach dostrzegłem uczucie, jakiego bym się nigdy nie spodziewał.

Litość.

- Ile ci płacą, wsioku?

- Tyle, że jestem zadowolony.

- Nie chcesz powiedzieć, co? Grzeczny chłopczyk.

Wierny sługa. Podoba ci się Delhi, wsioku?

- Tak.

- Akurat. Kłamiesz, skurwielu! Wiem, że się nie możesz połapać w tym mieście. Na pewno go nienawidzisz.

Chciał mnie dotknąć, ale się cofnąłem. Jego wargi, jaskraworóżowe z powodu bielactwa, które dotyka tak wielu biedaków w tym kraju, odcinały się od czarnej jak smoła twarzy. Nie wiem, skąd się ono bierze, ale jak już je ktoś złapie, jego skóra zmienia kolor z brązowego na różowy.

W dziewięciu przypadkach na dziesięć chłopcu nagle wykwitają na policzku czy nosie jasnoróżowe plamki albo różowość pokrywa przedramię, jakby ktoś je oblał wrznięciem, lecz czasem kolor zmienia całe ciało, tak że mijając takiego, myślisz: Amerykanin!, zatrzymujesz się, żeby się pogapić, i masz ochotę podejść bliżej i go dotknąć. A potem dostrzegasz, że to jeden z naszych, tyle że chory na to okropieństwo.

Ten kierowca, ponieważ plama rózu zmieniła mu tylko kolor ust, wyglądał jak cyrkowy błazen. Na widok jego twarzy żołądek podchodził mi do gardła. Ale spośród wszystkich kierowców żaden inny nie był dla mnie miły, więc utrzymywałem z nim znajomość.

Czekaliśmy pod centrum handlowym. My, to znaczy dziesiątki szoferów, których panowie robili zakupy. Nie wolno nam było wchodzić do środka, to się rozumiało samo przez się. Siedzieliśmy kręgiem na skraju parkingu, paliliśmy i gadali; od czasu do czasu któryś strzyknął czerwoną strużką paanu.

Przez wzgląd na to, że też był z Ciemności - naturalnie moje pochodzenie odgadł od razu - szofer z chorymi wargami udzielił mi wskazówek, jak przetrwać w Delhi i nie zostać odesłanym na dachu autobusu z powrotem w Ciemność.

- Przede wszystkim musisz wiedzieć, że w Delhi drogi są dobre, a ludzie źli. Policja - istna zgnilizna. Jak zobaczą, że nie zapiąłeś pasa, musisz dać sto rupii łapówki. Naszym panom też nic nie brakuje. Te ich nocne przyjęcia to dla nas udręka. Śpisz w samochodzie, a komary zżerają cię żywcem. Pół biedy, jeśli są malaryczne; pobredzisz w gorączce przez parę tygodni i po sprawie. Ale jak trafisz na te od dengi, masz przesrane - umrzesz na sto procent. Pan wraca o drugiej nad ranem, wali w szybę i się na ciebie drze, śmierdzi piwem i pierdzi przez całą drogę do domu.

W styczniu robi się naprawdę zimno. Jeśli wiesz, że szykuje się nocne party, weź koc, żebyś miał się czym okryć. Koc chroni też przed komarami. Jak tak siedzisz i czekasz, zaczynasz się nudzić - jeden kierowca od tego czekania zwariował - więc musisz mieć coś do czytania. Umiesz czytać?

To dobrze. Czytanie to najlepsze, co można wtedy robić w samochodzie.

Dał mi kolorowy magazyn z przyciągającą oko okładką - kobieta w bieliźnie skulona na łóżku, a obok niej męski cień.

„TYGODNIK O MORDERSTWACH”

CENA 4,50 RUPII

PRAWDZIWA HISTORIA! TYLKO U NAS!

„DOBRE CIAŁO NIGDY SIĘ NIE MARNUJE”

MORDERSTWO - GWAŁT - ZEMSTA

Nasz premier z pewnością o „Tygodniku o Morderstwach” nie powie Panu ani słowa, więc muszę ja to zrobić.

Można go kupić na każdym rogu, razem z tanimi powieściami. Jest bardzo popularny wśród służących - kucharzy, nianieek, ogrodników. Wśród kierowców też. Kiedy wychodzi nowy numer, z okładką, na której kobieta kuli się ze strachu, któryś z nas go kupuje i przekazuje innym.

Tylko proszę nie wpadać w panikę, Panie Premierze - nie ma powodu, żeby po Pana żółtym czole nagle zaczęły płynąć krople zimnego potu. To, że w Delhi kierowcy i kucharze czytają „Tygodnik o Morderstwach”, nie znaczy, że wszyscy mają zamiar poderżnąć swoim panom gardła. Oczywiście chcieliby to zrobić. Ma się rozumieć, miliony służących marzą skrycie o uduszeniu swych panów - i dlatego rząd Indii wydaje to czasopismo i sprzedaje na ulicach za marne cztery i pół rupii, żeby nawet biedak mógł je kupić. Bo wie Pan, morderca w tym piśmie jest tak niezrównoważony psychicznie, tak zboczony seksualnie, że żaden czytelnik nie chciałby taki być - no i w końcu zawsze go łapią uczciwi, pracownicy funkcjonariusze policji (cha, cha!) albo wariuje i wiesz się na prześcieradle, napisawszy uprzednio czuły list do matki bądź nauczyciela ze szkoły podstawowej, albo przestępcę ściga, bije, gwałci i dusi brat zamordowanej kobiety. Więc jeśli Pana kierowca kartkuje

„Tygodnik o Morderstwach”, proszę zachować spokój.

Nic Panu nie grozi. Wręcz przeciwnie.

Robić w portki trzeba wtedy, Panie Jiabao, gdy kierowca zaczyna czytać o Gandhim albo o Buddzie.

Różowowargi zabrał mi magazyn i rzucił siedzącym w kółku kierowcom, a ci się rzucili na pismo jak psy na kość. Ziewnął i spojrzał na mnie.

- Z czego żyje twój szef, wsioku?

- Nie wiem.

- Jesteś lojalny czy głupi? Skąd przyjechał?

- Z Dhanbadu.

- No to robi w węglu. A tu pewnie przekupuje ministrów. Węgiel to śmierdzący biznes. - Znów ziewnął. - Kiedyś woziłem człowieka, który handlował węglem. Niedobry biznes. Ale mój obecny szef robi w stali i ci od węgla to przy nim anioły. Gdzie mieszka?

Powiedziałem mu, jak się nazywa nasze osiedle.

- Mój pan też tam mieszka! Jesteśmy sąsiadami!

Przysunął się do mnie, a ja, nie ruszając się z miejsca, bo to by było niegrzeczne, starałem się odchylić ciało jak najdalej od jego warg.

- Wsioku, czy twój szef - rozejrzał się i zniżył głos do szeptu - czegoś nie potrzebuje?

- To znaczy?

- Czy lubi zagraniczne wino. Mój kolega pracuje w pewnej ambasadzie jako kierowca i ma tam kontakty.

Słyszałeś o przekręcie z zagranicznym winem i z ambasadami?

Pokręciłem głową.

- Zagraniczne wino jest w Delhi bardzo drogie, bo obłożone podatkiem. Ale ambasady sprowadzają je bez podatku. Powinny to wino wypijać, lecz sprzedają je na czarnym rynku. Inne rzeczy też mógłbym dla niego zdobyć.

Może mu potrzebne piłeczki golfowe? Mam w konsulacie amerykańskim ludzi, którzy mi je sprzedają. A kobiet nie potrzebuje? Bo też mogę załatwić. Jeśli lubi chłopców, żaden problem.

- Mój pan nie jest taki. To uczciwy człowiek.

Jego chore wargi ułożyły się w uśmiech.

- Jak wszyscy oni, co?

Zagwizdał melodię z hinduskiego filmu. Któryś z kierowców zaczął czytać na głos opowiadanie z czasopisma, pozostali ucichli. Przez chwilę patrzyłem na centrum handlowe.

Odwróciłem się do kierowcy z okropnymi różowymi ustami i powiedziałem:

- Mam pytanie.

- Dobra. Pytaj. Wiesz, że wszystko dla ciebie zrobię, wsioku.

- Ten budynek - ten mail, na którym wiszą plakaty z kobietami - to miejsce do robienia zakupów, prawda?

- Prawda.

- A tamten - wskazałem błyszczący szklany budynek na lewo od nas - to też mail? Nie ma na nim żadnych plakatów.

- To nie mail, wsioku, tylko biurowiec. Stamtąd rozmawiają przez telefony z Ameryką.

- O czym?

- Nie mam pojęcia. Córka mojego pana też pracuje w jednym z takich budynków. Zawożę ją wieczorem na ósmą, wraca o drugiej nad ranem. Wiem, że zarabia tam krocie, bo potrafi przez cały dzień szastać forszą w mailach.

- Nachylił się i jego różowe wargi znalazły się o centymetry od moich. - A tak między nami, to czy to nie dziwne, że dziewczyny wchodzą do tych budynków późnym wieczorem i wychodzą rano z kupą kasy? - Puścił do mnie oko. -

Coś jeszcze, wsioku? Ciekawski z ciebie gość.

Pokazałem palcem dziewczynę wychodzącą z maila.

- Co takiego, wsioku? Podoba ci się?

- Powiedz mi - poczułem, że się czerwienię - czy miejskie kobiety, takie jak ona, mają włosy pod pachami i na nogach jak kobiety u nas na wsi?

Pół godziny później pan Mukesh, pan Ashok i pani

Pinky wyszli obładowani z maila. Pobiegłem do nich, wziąłem torby z zakupami, włożyłem do bagażnika hondy, zamknąłem go, wskoczyłem na miejsce kierowcy i zawiozłem ich do domu, który się mieścił na dwunastym piętrze molocha o nazwie Buckingham Towers B Block. Obok stał drugi wielki blok, zbudowany przez tę samą firmę, który się nazywał Buckingham Towers A block. Dalej był Windsor Manor A Block i - jak okiem sięgnąć - kolejne podobne bloki, wszystkie lśniące i nowe, o miłych dla ucha angielskich nazwach. Buckingham Towers B Block należał do najlepszych - miał piękny wielki hol, z którego wjechaliśmy windą na dwunaste piętro.

Mnie osobiście mieszkanie nie bardzo się podobało - całe by się zmieściło w kuchni w Dhanbadzie. W środku były ładne, białe, miękkie sofy, a na ścianie nad nimi ogromne zdjęcie Cuddlesa i Puddlesa, oprawione w ramki.

Bocian się nie zgodził, żebyśmy zabrali psy do miasta.

Nie znosiłem widoku tych stworzeń nawet na fotografii, więc kiedy byłem w pokoju, cały czas patrzyłem na dywan - co miało tę dodatkową zaletę, że wyglądałem jak wzorowy służący.

- Postaw gdzieś te torby, Balram. Wszystko jedno gdzie.

- Nie. Postaw koło stołu. Właśnie tam - odezwał się Mangusta.

Postawiłem torby i poszedłem do kuchni zobaczyć, czy nie trzeba czegoś posprzątać, bo choć mieli służącego, który się zajmował tylko mieszkaniem, to facet był niechlujny, a poza tym, o czym już mówiłem, tak naprawdę traktowali mnie nie jak kierowcę, tylko jak służącego, który czasem prowadzi samochód. Nikt mi nie musiał mówić, że mam się też troszczyć o mieszkanie. Jeśli trzeba było coś posprzątać, sprzątałem, a potem czekałem koło drzwi ze skrzyżowanymi rękami, aż pan Mukesh powie: „Możesz już iść. Bądź gotów o ósmej.

I żadnego bara-bara, chociaż jesteś w mieście. Jasne?”.

Nie wiem, jak się projektuje budynki w Pana kraju, ale w Indiach każdy blok, każdy dom, każdy hotel ma pomieszczenia dla służby - czasem z tyłu, a czasem, jak w Buckingham Towers B Block, pod ziemią. Labirynt pokoi, w których wszyscy kierowcy, kucharze, zmiatacze, pokojówki mogą odpoczywać, spać i czekać. Kiedy nasi państwo nas potrzebowali, słychać było elektryczny dzwonek i biegliśmy do tablicy, gdzie przy numerze mieszkania, do którego byliśmy wzywani, migotała czerwona lampka.

Zjechałem na dół, zszedłem dwa piętra pod ziemię i pchnąłem drzwi do kwatery dla służby.

Kiedy tylko znalazłem się w środku, zebrani tam mężczyźni ryknęli śmiechem.

Najgłośniejszy ryczał siedzący wśród nich różowowargi kierowca, który zdążył im już powiedzieć, o co go zapytałem. Nie mogli się powstrzymać od okazywania rozbawienia. Podchodzili, wicherzyli mi włosy, mówili „wsiowy głupek”, klepali mnie po plecach.

Służący mają potrzebę obrażania innych służących. To nasza cecha, tak jak cechą wilczurów jest atakowanie obcych. My atakujemy tych, których znamy.

Wtedy postanowiłem, że już nigdy nikomu w Delhi nie powiem, o czym myślę. Zwłaszcza innemu służącemu.

Czepiali się mnie przez cały wieczór, a nawet w nocy, kiedy wszyscyśmy poszli do sali sypialnej. Coś w mojej twarzy, nosie, zębach, sam nie wiem, działało im na nerwy.

Czepiali się nawet z powodu mojego uniformu. Bo wie

Pan, w miastach kierowcy nie noszą uniformów. Mówili, że wyglądam jak małpa. Więc się przebrałem w brudną koszulę i stare spodnie, ale i tak przez całą noc nie dawali mi spokoju.

Rano salę zmiatał sprzątac.

- Jest tu gdzieś jakieś miejsce, gdzie człowiek może być sam? - spytałem go.

- Pusty pokój po drugiej stronie, ale nikt go nie chce.

No bo kto lubi mieszkać sam?

Pokój był okropny. Podłoga niewykończona, na ścianach szary tynk z odciskami dłoni, które go kładły. Liche wąskie łóżko, za małe nawet dla mnie; na nim moskitiera.

Więcej nie potrzebowałem.

Następnej nocy nie spałem we wspólnej sali, poszedłem do pokoju. Zamiotłem podłogę, przymocowałem moskitierę do gwoździ w ścianie i się położyłem. W środku nocy zrozumiałem, po co tam była moskitiera. Obudził mnie jakiś monotony odgłos. Ściana była pokryta karaluchami, które przyszły się najeść minerałów albo wapienia z tynku, a ten niekończący się dźwięk wydawały ich szczęki. W każdym punkcie na ścianie podrygiwały karaluchowe czułki.

Niektóre karaluchy spadały na moskitierę; widziałem ich ciemne ciała na jej jasnych splotach. Zgniotłem jednego przez siatkę, pozostałe nie zareagowały. Wciąż spadały nowe, a ja je gniołem. „Może każdy, kto mieszka w mieście, staje się taki ospały i głupi” - pomyślałem, uśmiechnąłem się i ułożyłem do snu.

„Jak ci się spało z karaluchami?” - kpili sobie, kiedy poszedłem do ubikacji.

Jeśli jeszcze myślałem o powrocie do wspólnej sali, to w tym momencie mi to przeszło. W pokoju roilo się od karaluchów, ale on był mój i nikt mnie nie zaczepiał. Jego wadą było to, że nie dochodził tam dźwięk dzwonka, ale jak się później okazało, była to też swego rodzaju zaleta.

Rano, kiedy już odczekałem swoje w kolejce do wspólnej ubikacji, potem do wspólnej umywalki i na koniec do wspólnego prysznica, wszedłem piętro wyżej, pchnąłem drzwi prowadzące na podziemny parking i znalazłem hondę city. Musiałem przetrzeć samochód miękką wilgotną szmatką z zewnątrz i w środku oraz umieścić kadzidełko w posążku Lakszmi, bogini bogactwa, stojącym nad deską rozdzielczą, z czego był podwójny pożytek: uciekały komary, które się wkradły nocą, i wewnątrz samochodu wypełniał aromat religii. Przetarłem siedzenia - piękne, kosztowne, skórzane siedzenia; przetarłem szybki wskaźników; podniosłem z podłogi wycieraczki i strzepnąłem z nich kurz. Do deski rozdzielczej były przyłączone za pomocą magnesów trzy obrazki przedstawiające boginię Kali - sam je tam umieściłem, wyrzuciwszy te, które zostały po

Ramie Persadzie. Też je przetarłem. Pod lusterkiem wstecznym wisiał na łańcuszku puchaty potworek, wystawiający czerwony język. Miał przynosić szczęście, a Bocian lubił mu się przyglądać, kiedy się kołysał w czasie jazdy. Walnąłem go w nos, a potem porządnie wytrzepałem.

Teraz pudełko z papierowymi chusteczkami - misternie rzeźbione, pozłacane, jakby należało do kogoś z królewskiego rodu, choć było tekturowe. Sprawdziłem, czy w środku są

chusteczki. Pani Pinky zużywała ich dziesiątki w czasie każdego wyjazdu - „bo w Delhi takie zanieczyszczone powietrze”, mówiła. Pogniecione chusteczki zostawiała obok pudełka, a ja musiałem je pozbierać i wyrzucić.

Na parkingu rozległ się dźwięk dzwonka i z głośnika popłynęły słowa wypowiedane do mikrofonu w holu:

„Kierowca Balram jest proszony o podjechanie samochodem do głównego wejścia do Buckingham B Block”.

Wsiadłem do hondy, wjechałem na podjazd i po chwili pierwszy raz tego dnia zobaczyłem światło słoneczne.

Bracia, ubrani w eleganckie garnitury, stali przed drzwiami do budynku i gawędzili. W samochodzie Mangusta powiedział:

- Do głównej siedziby Partii Kongresowej, Balram. Już tam niedawno byliśmy, więc mam nadzieję, że pamiętasz drogę i tym razem nie będziesz błędził.

„Nie zamierzam pana dziś zawieść” - powinienem był odpowiedzieć.

Godzina szczytu w Delhi. Samochody, skutery, motocykle, ryksze motorowe, czarne taksówki - walczące o miejsce na drodze. Powietrze tak zanieczyszczone, że ludzie na motocyklach i skuterach mają twarze obwiązane chustkami. Kiedy się staje na czerwonym świetle, widzi się rząd zamaskowanych mężczyzn w ciemnych okularach, jakby całe miasto jechało zrobić skok na bank.

Obwiązują twarze nie bez powodu. Podobno zanieczyszczone powietrze skraca życie mieszkańców Delhi o dziesięć lat. Oczywiście ci w samochodach nie muszą nim oddychać - mają powietrze chłodne, czyste, przefiltrowane.

Szczelnie zamknięte samochody bogatych, z przydymionymi szybami, jeżdżą ulicami Delhi niczym ciemne jaja. Od czasu do czasu jajo pęka, z otwartego okna wylania się kobieca ręka ozdobiona złotymi bransoletami i wyrzuca na jezdnię pustą butelkę po wodzie mineralnej, po czym szyba wędruje w górę i jajo znów jest szczelne.

Jajo, którym kierowałem ja, jechało do samego centrum. Po lewej widziałem kopuły Domu Prezydenta, gdzie są załatwiane wszystkie ważne państwowe sprawy.

Kiedy powietrze jest naprawdę mocno zanieczyszczone, budynek widać z drogi jak za mgłą, dziś jednak pięknie błyszczał.

Po dziesięciu minutach byliśmy pod siedzibą Partii

Kongresowej. Łatwo tam trafić, bo obok zawsze stoją dwa albo trzy ogromne billboardy z twarzą Soni Gandhi.

Zatrzymałem samochód, wyskoczyłem i otworzyłem drzwi panu Ashokowi i Manguście. Pan Ashok wysiadł i powiedział:

- Będziemy z powrotem za pół godziny.

Zaskoczył mnie. W Dhanbadzie nigdy nie mówili, kiedy wrócą. Oczywiście to nic nie znaczyło. Mogli wrócić za dwie godziny albo za trzy. Jednak była to uprzejmość, którą widocznie musieli mi okazać ze względu na Delhi.

Do siedziby partii przyszła grupa rolników, ale ich nie wpuszczono, więc pokrzyczeli i poszli. Przyjechała furgonetka z telewizji, zatrąbiła - wpuścili ją od razu.

Ziewnąłem. Rąbnąłem czarnego potworka w czerwone usta, a on się gwałtownie zakołysał. Pokręciłem głową w jedną stronę, w drugą.

Spojrzałem na wielki plakat z Sonią Gandhi. Trzymała rękę w górze, jakby do mnie machała - odmachnąłem.

Ziewnąłem, zamknąłem oczy i ułożyłem się wygodnie na siedzeniu. Uchyliłem jedno oko i zerknąłem na obrazek z podobizną Kali - która jest bardzo groźną czarnoskórą boginią z mieczem w ręku i girlandą czaszek na szyi. Pomyślałem, że muszę ten obrazek zmienić. Kali za bardzo przypominała babcię.

Bracia wrócili po dwóch godzinach.

- Jedziemy do Domu Prezydenta, Balram. Na wzgórze.

Wiesz, gdzie to jest?

- Tak, proszę pana. Widziałem to miejsce.

Widziałem już większość słynnych miejsc w Delhi - Parlament, Jantar Mantar, Qutub - ale w tym jednym, najważniejszym, jeszcze nie byłem. Pojechałem w kierunku

Raisina Hill i potem aż na sam szczyt, przystając po drodze na wezwanie wartowników, którzy chcieli zajrzeć do samochodu. Zatrzymaliśmy się przed jednym z wielkich budynków przykrytych kopulastymi dachami, otaczających Dom Prezydenta.

- Czekaj w samochodzie, Balram. Wrócimy za pół godziny.

Przez pierwsze pół godziny za bardzo się bałem, żeby wysiąść. Potem otworzyłem drzwi - wychyliłem się - dałem krok. Gdzieś tam wśród tych kopuł i wież wielcy tego kraju - premier, prezydent, najważniejsi ministrowie i biurokraci - dyskutowali o różnych sprawach, zapisywali je na papierze, opatrywali dokumenty pieczęciami. Ktoś mówił:

„No to pięćset milionów rupii na tę zaporę!”, ktoś inny:

„Świetnie, w takim razie atakujemy Pakistan!”.

Miałem ochotę biegać w kółko i krzyczeć: „Balram też tu jest! Balram też tu jest!”.

Wróciłem do środka, żeby czasem nie zrobić czegoś głupiego i nie trafić do aresztu.

Już się ściemniało, gdy bracia wyszli z budynku. Razem z nimi wyszedł jakiś grubas. Przez chwilę rozmawiali koło samochodu, potem uściskał im ręce i pomachał na pożegnanie.

Pan Ashok miał ponurą minę. Mangusta kazał mi wracać do domu - „bez żadnego błądzenia, jasne?”.

- Tak, proszę pana.

Siedzieli, nic nie mówiąc, co było dla mnie niezrozumiałe. Gdybym to ja właśnie wyszedł z Domu Prezydenta, opuściłbym wszystkie szyby i krzyczał o tym na całą ulicę!

- Popatrz.

- Na co?

- Na ten pomnik.

Spojrzałem przez okno i zobaczyłem duży pomnik z brązu przedstawiający grupę ludzi. To znany pomnik, który Pan też na pewno zobaczy, będąc w Delhi. Na czele kroczy Mahatma Gandhi z laską, a za nim lud Indii, prowadzony z mroku w jasność.

Mangusta rzucił okiem na pomnik.

- I co? Już go widziałem.

- Przejeżdżamy obok Gandhiego, a przed chwilą daliśmy łapówkę ministrowi. Fucking joke.

- Mówisz jak twoja żona. Nie lubię przeklinania, to wbrew naszej tradycji.

- To jest fucking joke - ten system polityczny - i będę tak mówił, kiedy zechcę.

- W Indiach nic nie jest proste, Ashok. To nie Ameryka. Pohamuj się, proszę.

Na drodze do Gurgaonu był wściekły korek. Co pięć minut sznur nieruchomych samochodów ogarniała drżączka - posuwaliśmy się o metr - nadzieja rosła - ale po chwili rozbłyskiwały przede mną czerwone światła hamowania i znów tkwiliśmy w miejscu. Wszyscy trąbili. Od czasu do czasu dźwięki różnych klaksonów, każdy o innej tonacji, łączyły się w jeden lament przypominający beczenie cielęcia oderwanego od matki. Powietrze było pełne spalin. Błękitne pasma połyskujące w światłach reflektorów, tak gęste, że nie mogły się unieść, układały się poziomo, snuły leniwie wokół nas jak mgła. Bez przerwy błyskały ogieńki zapalek - to kierowcy ryksz motorowych zapalali papierosy i jeszcze bardziej zanieczyszczali powietrze.

Przed nami stał wóz zaprzężony w bawołu. Na wozie piętrzył się kilkumetrowy stos puszek po oleju silnikowym, przywiązany liną. Nieszczęsny bawół! Ciągnąć taki ciężar, wdychając takie powietrze!

Kierowca rykszy stojącej obok nas zaczął gwałtownie kaszleć, odwrócił głowę w bok i trzy razy splunął. Trochę plwociny splamiło karoserię hondy. Rzuciłem mu wściekle spojrzenie, podniosłem pięść. Skulił się i zrobił przeproszające namaste.

- Jakby pluł na pokaz! - powiedział pan Ashok, spoglądając na rykszarza.

„Gdybyś wdychał to żrące powietrze, też byś tak pluł”

- pomyślałem.

Samochody ruszyły - posunęliśmy się o metr - ale po chwili zabłyśły czerwone światła i wszystko znowu stanęło.

- W Pekinie jest podobno tuzin obwodnic. Tu jedna.

Nic dziwnego, że ciągle są korki. A planu żadnego. I my mielibyśmy dorównać Chińczykom?

(Tuzin obwodnic, panie Jiabao? No, no!).

Na chodniki po obu stronach jezdni padało słabe światło ulicznych latarni. W pomarańczowym półmroku widziałem tłumy małych, chudych, ponurych ludzi, którzy siedzieli w kucki w oczekiwaniu na autobus albo, nie mając gdzie się podziać, zaczęli rozwijać materace i układać się do snu na ulicy. Ci biedacy przyjechali z Ciemności do Delhi po trochę światła, ale wciąż tkwili w ciemnościach. Na chodnikach były ich setki, tak to wyglądało, a korek na jezdni nie miał dla ich życia absolutnie żadnego znaczenia. Czy w ogóle zdawali sobie sprawę z jego istnienia? Tworzyliśmy dwa osobne miasta - wewnątrz i na zewnątrz ciemnego jaja. Wiedziałem, że jestem we właściwym. Ale gdyby żył mój ojciec, siedziałby na chodniku, gotował ryżową papkę na kolację i szykował się do snu pod latarnią. Nie mogłem przestać o tym myśleć i wciąż widziałem u mijanych żebraków jego rysy twarzy. Choć prowadziłem samochód, w pewnym sensie też byłem na zewnątrz.

Po godzinie przepychania się przez korki dotarliśmy w końcu do bloku Buckingham B. Tortury jednak jeszcze się nie skończyły.

Mangusta wysiadł z samochodu i poklepał się po kieszeniach. Przez chwilę miał zdziwioną minę.

- Zgubiłem rupię - powiedział i pstryknął na mnie palcami. - Poszukaj na podłodze w samochodzie. - Klęknąłem i w poszukiwaniu jednej rupii zacząłem niczym pies węszyć między wycieraczkami. - Jak to nie ma? Nie myśl, że możesz nas okradać, bo jesteś w mieście. Ma się znaleźć.

- Mukesh, właśnie daliśmy pół miliona łąpówki, a teraz męczymy tego człowieka z powodu jednej rupii. Chodźmy na górę i napijmy się szkockiej.

- Oto jak się psuje służbę. Zaczyna się od jednej rupii.

Nie wprowadzaj tu amerykańskich zwyczajów.

Do dziś nie mam pojęcia, gdzie się podziła ta moneta,

Panie Premierze. W końcu wyjąłem rupię z kieszeni koszuli, upuściłem na podłogę samochodu, podniosłem i dałem

Manguście.

- Jest, proszę pana. Przepraszam, że tak długo nie mogłem jej znaleźć.

Jego ciemna władcza twarz przybrała wyraz dziecinnego zadowolenia. Trzymał monetę w dłoni i cmokał, jakby to była najlepsza rzecz, jaka mu się zdarzyła tamtego dnia.

Wjechałem z braćmi na górę, żeby sprawdzić, czy nie trzeba czegoś zrobić w mieszkaniu.

Pani Pinky siedziała na sofie i oglądała telewizję. Kiedy tylko się pojawiliśmy, wyłączyła telewizor, powiedziała:

„Już jadłam” i wyszła do drugiego pokoju. Mangusta oznajmił, że nie chce kolacji, więc pan Ashok musiał jeść sam. Poprosił, żebym mu podgrzał trochę warzyw. Poszedłem do kuchni.

Otwierając lodówkę, zerknąłem na niego przez ramię.

Był bliski łez.

Jak się jest kierowcą, nigdy się nie zna całości obrazu.

Tylko błyski, migawki, strzępy rozmów. A kiedy panowie dochodzą do najważniejszej części rozmowy, zawsze się zdarza to samo.

Kretyn w białym dżipie o mało się z tobą nie zderza, próbując wyprzedzić inny samochód po niewłaściwej stronie drogi. Gwałtownie skręcasz w bok, rzucasz mu wściekle spojrzenie, klniesz (pod nosem) - a gdy znowu podsłuchujesz, na tylnym siedzeniu toczy się już rozmowa o czym innym i nigdy się nie dowiesz, jaki był dalszy ciąg tamtego zdania.

Wiedziałem, że coś jest nie w porządku, ale nie zdawałem sobie sprawy, że aż tak, dopóki któregoś rana pan

Ashok nie powiedział:

- Balram, dziś zawieziesz pana Mukesha na dworzec kolejowy.

- Tak, proszę pana - odparłem, ale miałem ochotę zapytać: „Tylko jego?”.

Czy to oznaczało, że wraca na stałe? Że trzaskanie drzwiami i cierpkie uwagi pani Pinky odniosły skutek i wreszcie udało jej się go pozbyć?

O szóstej czekałem w samochodzie przy wejściu. Zawiozłem braci na dworzec. Pani Pinky się nie pojawiła.

Zaniosłem torby do wagonu i poszedłem do kiosku kupić dla Mangusty dosy zawinięte w papier. Zawsze lubił to jeść w pociągu. Ale ziemniaki wyrzuciłem na tory, bo po ziemniakach pierdział, a tego nie lubił. Służący ma okazję poznać przewód pokarmowy swojego pana od początku do końca - od ust po odbyt.

- Zaczekaj. Mam dla ciebie instrukcje - powiedział

Mangusta, więc przykucnąłem w kącie wagonu. - Nie jesteś już w Ciemności, Balram.

- Tak, proszę pana.

- W Delhi obowiązuje prawo.

- Tak, proszę pana.

- Wszędzie stoją pomniki Gandhiego i Nehru, prawda? Policja umieściła w ich oczach kamery do obserwowania samochodów. Widzą wszystko, co robisz, rozumiesz?

- Tak, proszę pana.

Zmarszczył brwi, jakby się zastanawiał, co by tu jeszcze dodać.

- Jak będziesz sam, klimatyzacja ma być wyłączona.

- Tak, proszę pana.

- I nie wolno ci słuchać muzyki.

- Tak, proszę pana.

- Codziennie wieczorem masz podawać stan licznika, żeby było wiadomo, że sam gdzieś nie jeździsz.

- Tak, proszę pana.

Odwrócił się do pana Ashoka i dotknął jego ręki.

- Miej to na uwadze, bracie Ashok. Podczas mojej nieobecności będziesz musiał kontrolować kierowcę.

Pan Ashok bawił się telefonem. Teraz przestał na chwilę i powiedział:

- Kierowca jest uczciwy. Pochodzi z Laxmangarh. Kiedy tam pojechałem, widziałem jego rodzinę. - Znów zajął się telefonem.

- Nie mów tak. Nie obracaj moich słów w żart.

Ale pan Ashok nie zwracał uwagi na brata, tylko naciskał klawisze.

- Zaraz, zaraz, rozmawiam ze znajomym z Nowego

Jorku.

O ludziach pewnego typu kierowcy mawiają, że to pierwszobiegowcy. Pan Ashok był klasycznym pierwszobiegowcem. Lubiał coś zacząć, ale nic nie przyciągało jego uwagi na dłużej.

Patrząc na niego, niemal w jednej chwili odkryłem dwie rzeczy i każda wprawiła mnie w zdumienie. Po pierwsze, że można „rozmawiać” przez telefon komórkowy - z kimś w Nowym Jorku - tylko naciskając klawisze. Cuda dzisiejszej techniki nie przestają mnie zadziwiać!

Po drugie, zdałem sobie sprawę, że ten dobrze zbudowany, przystojny, kształcony za granicą mężczyzna, już za parę minut - kiedy rozlegnie się przeciągły gwizd i pociąg ruszy do Dhanbadu - mój jedyny pan, że ten mężczyzna jest słaby, bezradny, roztargniony i zupełnie pozbawiony instynktu obronnego, który każdy właściciel ziemski ma we krwi.

„Gdybyś wrócił do Laxmangarh, mówilibyśmy na ciebie Jagnię”.

- Co tak szczerzysz zęby? - warknął Mangusta, a ja w zapale przepraszania omal się nie przewróciłem.

O ósmej wieczorem pan Ashok przysłał mi przez innego służącego wiadomość: „Bądź gotów za pół godziny,

Balram. Pani Pinky i ja wychodzimy”.

Zjawili się na dole po dwóch godzinach i kwadransie.

„Jak tylko Mangusta wyjechał, spódnice stały się jeszcze krótsze, słowo daję”.

Kiedy patrzyłem w lusterko wsteczne, za każdym razem widziałem jej odsłonięte do połowy cycki.

Znalazłem się w bardzo złej sytuacji, proszę Pana.

Dziób mi stwardniał, co u młodego, zdrowego mężczyzny, jakim byłem, jest naturalne. Ale z drugiej strony, jak Pan wie, państwo są dla służącego niczym ojciec i matka, więc czy można się podniecać widokiem pani?

Starłem się unikać patrzenia w lusterko. Gdyby doszło do kraksy, to nie przeze mnie.

Pewnie tak bywało, Panie Premierze, że prowadził Pan samochód, zatrzymywał się w korku, opuszczał szybę i czuł na twarzy gorące ziajanie rury wydechowej ciężarówki stojącej obok. No to proszę sobie wyobrazić, Panie Premierze, że ma Pan teraz takiego rozgrzanego, dyszącego diesla tuż przed sobą.

Mnie.

Za każdym razem, kiedy była w tej swojej czarnej wydekoltowanej sukience, dziób robił mi się wielki. Nienawidziłem jej za to, że nosi taką sukienkę; ale jeszcze większą nienawiść czułem do mojego dzioba - za to, że się taki robi.

Ostatniego dnia miesiąca poszedłem do ich mieszkania.

Siedział na kanapie, sam, pod oprawioną w ramki fotografią szpiców.

- Proszę pana...

- O co chodzi, Balram?

- Minął miesiąc...

- I co?

- Moja pensja, proszę pana.

- Ach, tak. Trzy tysiące? - Szybko wyjął gruby portfel i rzucił na stół trzy banknoty.

Wziąłem je i się ukloniłem. Widocznie zapamiętał coś z tego, co mówił jego brat, bo powiedział:

- Trochę wysyłasz do domu, prawda?

- Prawie wszystko, proszę pana. Zostawiam sobie tyle, ile muszę mieć na jedzenie i picie, a reszta idzie do domu.

- To dobrze, Balram. Dobrze. Rodzina to ważna rzecz.

O dziesiątej wieczorem poszedłem na targowisko za rogiem, tuż obok bloku Buckingham Towers B. Sklep znajdował się na końcu targowiska; na dachu miał banner, na którym wielkimi czarnymi literami było napisane w hindi:

ACTION

SKLEP Z ANGIELSKIMI ALKOHOLAMI

SPRZEDAJEMY ZAGRANICZNE ALKOHOLE

WYPRODUKOWANE W INDIACH

W sklepie, jak o tej porze w każdym sklepie z alkoholem, panowała istna wojna: mężczyźni przepychali się z wyciągniętymi rękami do lady i krzyczeli na całe gardło, a chłopcy za ladą niczego w tym hałasie nie mogli zrozumieć i wszystko im się mieszało, co wywoływało jeszcze więcej krzyków i przepychania się. Przedostałem się przez tłum, rąbnąłem pięścią w ladę i wrzasnąłem: „Whisky!

Najtańsza! Natychmiast, albo ktoś oberwie, przysięgam!”.

Dostałem butelkę po piętnastu minutach. Wsadziłem ją sobie w spodnie, bo nie miałem gdzie jej schować, i wróciłem do Buckingham.

- Nie śpieszyłeś się, Balram.

- Przepraszam, proszę pani.

- Wyglądasz, jakbyś był chory. Wszystko w porządku?

- Tak, proszę pani. Tylko boli mnie głowa. Źle spałem.

- To zaparz herbatę. Mam nadzieję, że w kuchni radzisz sobie lepiej niż za kierownicą.

- Tak, proszę pani.

- Słyszałam, że jesteś Halwai i twoja rodzina to cukiernicy, kucharze. Umiesz robić jakąś tradycyjną herbatę z imbirem?

- Tak, proszę pani.

- To zrób.

Nie miałem pojęcia, o co chodzi pani Pinky, ale przynajmniej miała zakryte cycki - to mi przyniosło ulgę.

Wziąłem czajnik i zabrałem się do robienia herbaty.

Woda właśnie się zagotowała, kiedy kuchnię wypełnił zapach perfum. Pani Pinky stała w progu i patrzyła.

W głowie jeszcze mi się kręciło od whisky. Całe rano zułem anyż, żeby nikt nie poczuł gorzały w moim oddechu, ale wciąż się tego bałem, więc się odwróciłem do zlewu i zacząłem myć kawałek imbiru.

- Co robisz!?! - krzyknęła.

- Myję imbir, proszę pani.

- Prawą ręką. A lewą?

- Słucham?

Spojrzałem w dół.

- Przestań się drapać w kroku!

- Niech się pani nie gniewa. Już nie będę.

Ale to nic nie dało. Nadal krzyczała:

- Jesteś ohydny! Popatrz na siebie, na swoje zęby, na ubranie! Zęby czerwone od paanu, na koszuli czerwone plamy. Obrzydliwość! Wynoś się! Sprzątnij bałagan, którego narobiłeś w kuchni, i się wynoś.

Schowałem imbir z powrotem do lodówki, wyłączyłem gaz pod czajnikiem i poszedłem na dół.

Stanąłem przed lustrem i otworzyłem usta. Zęby były czerwone, poczerwiałe, próchniejące. Umyłem usta, ale wargi nadal były czerwone.

Miała rację. Paan - który zułem od lat, jak ojciec, jak

Kishan i wszyscy, których znałem - przebarwiał mi zęby i niszczył dziąsła.

Następnego wieczoru pan Ashok i pani Pinky kłócili się, wychodząc z windy, kłócili się, wsiadając do samochodu, i kłócili się, kiedy jechaliśmy hondą z Buckingham Towers do głównej ulicy.

- Do mailu, proszę pana? - spytałem, gdy przez chwilę byli cicho.

Pani Pinky zachichotała.

U niej takie rzeczy mnie nie dziwiły, ale to samo zrobił on.

- To nie maal, tylko mail - powiedział. - Powtórz.

Wciąż mówiłem „maal”, a oni wciąż prosili, żebym powtarzał, i za każdym razem śmiali się histerycznie. W końcu coś robili zgodnie, więc z mojego upokorzenia był jakiś pożytek - chociaż to mnie cieszyło.

Wysiedli i skierowali się do mailu. Strażnik przy wejściu zasalutował i połknęły ich drzwi, które się same przed nimi otworzyły.

Zostałem w samochodzie; tu się mogłem lepiej skoncentrować. Zamknąłem oczy.

„Mooool”.

Nie, to nie to.

„Moul”.

„Mail”.

- Wsioku! Wyłaż z samochodu i chodź tutaj!

Grupka kierowców przykucnęła na skraju parkingu. Jeden krzyczał do mnie i wymachiwał jakimś czasopismem.

To był kierowca z chorymi wargami. Uśmiechnąłem się szeroko i podszedłem do niego.

- Masz jeszcze pytania na temat życia w mieście, wsioku? - spytał, a pozostali wybuchnęli śmiechem. Położył mi rękę na ramieniu i szepnął: - Myślałeś o tym, co ci wcześniej mówiłem, słoneczko? Czy twój pan czegoś nie potrzebuje? Dziewczynek? Chłopców? Piłeczek golfowych - dobrej jakości, amerykańskich, bez cła?

- Nie proponuj mu teraz tego wszystkiego - odezwał się inny kierowca, który klęczał i jak chłopiec bawił się pękiem kluczy od samochodu swojego pana. - Jest niedoświadczony, prosto ze wsi, jeszcze niewinny. Niech go najpierw miasto zepsuje.

Chwycił czasopismo - oczywiście „Tygodnik o Morderstwach” - i zaczął głośno czytać. Kierowcy przestali plotkować i skupili się wokół niego.

Był deszczowy wieczór. Vishal leżał w łóżku. Oddech śmierdział mu wódką. Spojrzał w okno. Kobieta z naprzeciwka właśnie wróciła do domu i zaczynała zdejmować...

Kierowca z różowymi wargami krzyknął:

- Patrzcie! Dzisiaj znów to samo...

Ten z tygodnikiem, zły, że mu przerywa, czytał dalej, ale inni wstali i spoglądali w kierunku mailu.

Co się działo? To był jeden z tych incydentów, Panie

Premierze, które dziś, w czasach maili, zdarzają się powszechnie i są często opisywane w gazetach, pod tytułami w rodzaju: „Czy w mailach nowych Indii nie ma już miejsca dla ubogich?”.

Szklane drzwi się otworzyły, ale człowiek, który chciał wejść, nie mógł tego zrobić. Zatrzymał go strażnik. Pokazał pałką na jego stopy i pokręcił głową - tamten był w sandałach. My, kierowcy, też mieliśmy na nogach sandały. Wszyscy wpuszczani do mailu byli w butach zakrywających stopy.

Mężczyzna w sandałach, zamiast ustąpić i odejść - jak by na jego miejscu zrobiło dziewięciu na dziesięciu innych - wybuchnął: „Czyja nie jestem człowiekiem?!”.

Krzyczał z taką pasją, że ślina tryskała mu z ust jak z fontanny, a kolana się trzęsły. Jeden z kierowców zagwizdał. Sprzątac z zamiatający chodnik przed mailem oparł się na miotle i patrzył.

Przez chwilę wydawało się, że mężczyzna przy drzwiach uderzy strażnika, ale odwrócił się i odszedł.

- Facet z jajami - pochwalił któryś kierowca. - Gdybyśmy my wszyscy byli tacy, rządilibyśmy Indiami, a tamci by nam czyścili buty.

Kierowcy wrócili do swojego kółka. Zaczęło się dalsze czytanie tygodnika.

Przyglądałem się kluczom wirującym na łańcuszku.

Obserwowałem dym unoszący się z papierosów. Patrzyłem, jak paan plami ziemię czerwonymi kreskami.

Najgorsze w życiu kierowcy jest to, że godzinami czeka na pracodawcę. Może wtedy plotkować i drapać się po przyrodzeniu. Może czytać magazyny o morderstwach i gwałtach. Może nabrać szoferskiego zwyczaju - to coś w rodzaju jogi, naprawdę - wtykania palca w nos i robienia sobie na całe godziny pustki w głowie (to się powinno nazywać „asana znudzonego kierowcy”). Może potajemnie trzymać w samochodzie butelkę wódki - z niejednego solidnego kierowcy nuda robi pijaka.

Ale gdy kierowca traktuje wolny czas jako szansę, gdy wykorzystuje go na myślenie, wtedy to, co w jego pracy najgorsze, staje się najlepsze.

Tamtego wieczoru, wracając do domu, spojrziałem w lusterko. Pan Ashok miał na sobie T-shirt.

To był T-shirt, jakiego bym nigdy nie kupił. Cały biały, tylko pośrodku miał mały wzorek. Ja bym wybrał coś kolorowego, z mnóstwem słów i rysunków. Coś bardziej wartego swojej ceny.

Któregoś następnego wieczoru, kiedy pan Ashok i pani Pinky wjechali na górę, poszedłem na targowisko. Sprzedawcy siedzący w kucki w żółtym świetle gołych żarówek mieli przed sobą koszyki pełne szklanych wisiorków, stalowych bransoletek, zabawek, chustek na głowę, długopisów i łańcuszków do kluczy. Znalazłem tego, który sprzedawał

T-shirty.

„Nie” - powtarzałem, kiedy mi pokazywał kolejne, aż znalazł cały biały z krótkim angielskim słowem pośrodku.

Potem poszedłem szukać tego, który sprzedawał czarne buty.

Kupiłem wtedy swoją pierwszą pastę do zębów. Od człowieka, który mi zwykle sprzedawał paan; jego dodatkowy biznes to były pasty do zębów likwidujące skutki paanu.

WYBIELACZ SHAKTI

Z WĘGLEM DRZEWNYM I GOŹDZIKAMI

TYLKO RUPIA PIĘĆDZIESIĄT!

Szorując zęby palcem, zaobserwowałem, co robiła moja lewa ręka: sama z siebie wędrowała ku pachwinie - jak jaszczurka po murze - i już miała zacząć drapanie.

Poczekalem. Gdy tylko się poruszyła, chwyciłem ją prawą ręką.

Uszczypnąłem grubą skórę między kciukiem i palcem wskazującym, gdzie boli najbardziej, i trzymałem tak dobrą minutę. Kiedy puściłem, na skórze został czerwony ślad.

„No i dobrze”.

„Od tej pory to będzie dla ciebie kara za drapanie się w kroku”.

Pasta zamieniła się w mleczną pianę i zaczęła mi kapać z kącików ust. Splunąłem.

Szoru, szoru. Tfu.

Szoru, szoru. Tfu.

Dlaczego ojciec nigdy mi nie powiedział, żebym się nie drapał w kroku? Dlaczego mnie nie nauczył myć zębów mleczną pianą? Dlaczego wychował mnie jak zwierzę?

Dlaczego wszyscy biedni żyją w takim brudzie, wśród takiej brzydoty?

Szoru, szoru. Tfu.

Szoru, szoru. Tfu.

Szkoda, że człowiek nie może tak łatwo wypluć przeszłości.

Rano, wioząc panią Pinky do mailu, dotykałem obutą stopą małego pakunku. Wysiadła, trzasnęła drzwiami. Oczekałem dziesięć minut i się przebrałem.

W moim nowym białym T-shircie poszedłem w kierunku wejścia, ale kiedy zobaczyłem strażnika, zrobiłem w tył zwrot i wróciłem do hondy. Wsiadłem i trzy razy uderzyłem potworka. Dotknąłem podobizny bogini Kali z długim czerwonym językiem. To na szczęście.

Tym razem poszedłem do tylnego wejścia.

Byłem pewien, że pomimo czarnych butów i T-shirtu prawie całego białego, z jednym angielskim słowem, strażnik stojący przed drzwiami zatrzyma mnie i powie: „Nie, nie możesz

wejść”. Do ostatniej chwili byłem pewien, że ktoś krzyknie, że mam wracać; że mnie złapie, spoliczkuje, upokorzy.

Nawet kiedy już się znalazłem w środku, byłem pewien, że ktoś powie: „Hej! To jest szofer! Co on tu robi?”. Na każdym piętrze byli strażnicy w szarych mundurach i wydawało mi się, że wszyscy mnie obserwują. Wtedy po raz pierwszy poczułem, jak smakuje życie człowieka ściganego.

Chłonałem zapach perfum w chłodnym, klimatyzowanym powietrzu, blask złocistego światła, obecność ludzi w T-shirtach i dżinsach, którzy dziwnie na mnie patrzyli.

Widziałem windę jeżdżącą do góry i na dół, która wyglądała, jakby była zrobiona ze złotego szkła. Widziałem sklepy o szklanych ścianach i wiszące wszędzie wielkie zdjęcia przystojnych Europejczyków i Europejek. Żeby tak mogli mnie teraz zobaczyć inni kierowcy!

Wyjść było mi równie trudno jak wejść, ale i tym razem strażnik nie odezwał się ani słowem. Poszedłem na parking, wsiadłem do samochodu i przebrałem się w swoją zwykłą różnokolorową koszulę. Skromny T-shirt bogatego człowieka zwinąłem w kłębek i położyłem na podłodze.

Pobiegłem na miejsce, gdzie siedzieli inni kierowcy. Żaden nie zauważył, jak wchodziłem i wychodziłem. Byli zbyt zajęci czym innym. Jeden z nich - ten, który bezustannie kręcił pękiem kluczy na łańcuszku - miał ze sobą telefon komórkowy. Zmusił mnie, żebym go wziął do ręki i obejrzał.

- Rozmawiasz przez to z żoną?

- Z tego nie można dzwonić do każdego, ty głupi - on jest jednokierunkowy.

- Jaki sens ma telefon, przez który nie możesz porozmawiać z rodziną?

- Taki, że mój pan może do mnie zadzwonić i powiedzieć, dokąd mam po niego przyjechać. Muszę zawsze mieć telefon przy sobie.

Odebrał mi telefon, wytarł i schował do kieszeni. Wcześniej nie cieszył się wśród kierowców wysokim poważaniem: jego pan miał tylko małego maruti suzuki zen. Dziś był ważny, jak tego chciał. Jego telefon przechodził z ręki do ręki i kierowcy oglądali go niczym mały badający znaleziony błyszczący przedmiot. Poczulem odór amoniaku - jeden z kierowców sikał niedaleko nas.

Różowowargi spojrzal na mnie spod oka.

- Wyglądasz, jakbyś chciał coś powiedzieć, wsioku.

Pokręciłem głową.

Z dnia na dzień jeździło się coraz trudniej. Co wieczór miałem wrażenie, że poprzedniego było mniej samochodów. Korki robiły się coraz gorsze, humor pani Pinky też.

Któregoś wieczoru, gdy się wleliśmy ulicą Mahatmy Gandhiego w kierunku Gurgaonu, straciła humor zupełnie i zaczęła krzyczeć:

- Pieprzony korek! Teraz już co drugi dzień tak jest!

Dlaczego nie możemy wrócić, Ashoky?

- Nie zaczynaj znowu tego tematu. Proszę.

- Czemu nie? Obiecałeś, że będziemy w Delhi trzy miesiące, załatwimy formalności i wrócimy. Ale zaczynam myśleć, że przyjechałeś tu tylko w sprawie kłopotów z podatkiem dochodowym. Od początku mnie okłamywałeś?

Żle się między nimi działo, ale nie z jego winy - potwierdzą to choćby przed sądem. Był dobrym mężem, zawsze się starał ją rozweselić. Na przykład w dniu jej urodzin kazał mi się przebrać za maharadżę - czerwony turban, ciemne okulary - i w tym przebraniu podawać im jedzenie. Ale nie zwykłe domowe jedzenie. Podawałem to śmierdzące coś w tekturowym pudełku, na punkcie czego wszyscy bogaci mają bzika.

Uśmieła się do łez, kiedy mnie zobaczyła w przebraniu, kłaniającego się z pudełkiem w rękach. Obsłużyłem ich, a potem, jak mi kazał pan Ashok, stanąłem z założonymi rękami pod portretem Cuddlesa i Puddlesa i czekałem.

- Słuchaj teraz, Ashok - powiedziała. - Balram, cośmy jedli?

Wiedziałem, że to pułapka, ale co mogłem zrobić? Odpowiedziałem.

Oboje zaczęli chichotać.

- Powtórz, Balram.

Znowu się roześmiali.

- To nie jest piZZa, tylko piCCa. Powiedz poprawnie.

- Czekaj, ty też źle wymawiasz. W środku jest „t”. Pit.

Za.

- Nie poprawiaj mojej angielszczyzny, Ashok. Nie ma żadnego „t”. Spójrz na pudełko. Musiałem wstrzymać oddech, kiedy tak stałem i czekałem, aż skończą. Śmierdziało okropnie.

- Bardzo źle pokroił tę pizzę. Nie chce mi się wierzyć, że pochodzi z kasty kucharzy.

- Dopiero co zwolniłaś kucharza. Nie wyrzuć czasem i jego - to porządny chłopak.

Kiedy zjedli, zeszkrobałem resztki z talerzy i poszedłem je umyć. Z okna w kuchni było widać jasną od świateł maili główną ulicę Gurgaonu. Na jej końcu właśnie otworzyli nowy mail i samochody strumieniem wjeżdżały na parking. Spuściłem żaluzję i zabrałem się do zmywania.

„Psitsa”.

„Pissa”.

„Zipca”.

„Pizca”.

Wytarłem zlew dłonią i zgasilem światło.

Zamknęli się w sypialni. Słysząc było krzyki. Na palcach podszedłem do drzwi i przyłożyłem ucho do drewna.

Krzyczały obie strony - potem był wrzask - potem odgłos, jaki wydaje męska ręka uderzająca kobiece ciało.

Najwyższy czas. Wreszcie jagnię zrodzone z posiadacza pokazało, kto tu rządzi. Wyszedłem z mieszkania i zjechałem na dół.

Pół godziny później, kiedy już prawie zasypiałem, wpadł z krzykiem inny służący. „Dzwonek dzwoni!”. Włożyłem spodnie, pod kranem kilka razy umyłem ręce i podjechałem pod wejście do budynku.

- Zawieź nas do miasta.

- Tak, proszę pana. A w mieście?

- Chcesz gdzieś pójść, Pinky?

Cisza.

- Do Connaught Place, Balram.

Wciąż miałem na sobie strój maharadzy. Małżonkowie nic nie mówili. Pan Ashok spoglądał nerwowo na panią

Pinky.

- Masz rację, Pinky - odezwał się w końcu ochryłym głosem. - Nie chodziło mi o kwestionowanie twojej opinii.

Ale jak powiedziałem, tu jest tylko jedna rzecz zła - ten nasz popieprzony system zwany demokracją parlamentarną. Gdyby nie to, bylibyśmy jak Chiny...

- Ashok, proszę... Głowa mnie boli.

- Będzie przyjemnie. Tu jest dobry T.G.I. Friday.

Spodoba ci się.

Kiedy dojechaliśmy do Connaught Place, kazał mi się zatrzymać przed wielkim czerwonym neonem.

- Czekaj tu na nas, Balram. Wrócimy za dwadzieścia minut.

Minęła godzina, a ja wciąż siedziałem w samochodzie i obserwowałem światła Connaught Place.

Z dziesięć razy walnąłem czarnego puchatego potworka. Popatrzyłem na wizerunki Kali z jej czaszkami i długim czerwonym językiem - pokazałem starej czarownicy swój. Ziewnąłem.

Dawno minęła północ. Było zimno.

Chętnie bym posłuchał muzyki - czas by szybciej płynął. Ale przecież Mangusta zakazał.

Otworzyłem drzwi samochodu i poczułem gryzący smród. Kierowcy rozpalili ognisko. Żeby nie zgasło, wrzucali do niego kawałki plastiku.

Zimą w Delhi bogaci używają grzejników, elektrycznych albo gazowych, a nawet mają kominki, w których palą drewnem. Kiedy chcą się ogrzać bezdomni albo służący, na przykład nocni strażnicy czy kierowcy, którzy muszą przebywać zimą pod gołym niebem, robią ognisko ze wszystkiego, co się nawinie. Jedną z rzeczy, które się do tego nadają najlepiej, jest celofan, taki do pakowania owoców, warzyw i książek o biznesie. W płomieniach się topi i zamienia w czyste paliwo. Jest z nim jeden kłopot: paląc się, wytwarza biały dym, od którego żołądek podchodzi człowiekowi do gardła.

Różowo wargi wrzucał celofanowe torby w ogień. Pomachał mi wolną ręką.

- Nie siedź tam sam, wsioku! Z tego się biorą złe myśli!

Ciepło było bardzo kuszące.

„Nie. Jak do nich pójde, nie wytrzymam i poproszę o paan”.

- Patrzcie na tego snoba! Dzisiaj się nawet przebrał za maharadzę!

- Chodź do nas, maharadzo z Buckingham!

Dalej od ciepła, dalej od pokusy. Szedłem ścieżkami

Connaught Place, aż poczułem w powietrzu zapach zaprawy murarskiej.

Gdziekolwiek w Delhi spojrzeć, wszędzie coś się buduje. Rosną szklane ściany maili i biurowców; pną się w górę przypominające kowadła w kształcie litery T gigantyczne betonowe podpory nowych mostów i wiaduktów; pod fundamenty nowych rezydencji bogaczy kopie się istne kratery. Budowa trwała także tutaj, w sercu Connaught

Place, w środku nocy, w blasku potężnych reflektorów.

Drażono ogromną jamę. Z jej wnętrza dobiegało dudnienie maszyn.

Słyszałem już o tej budowie. Wpuszczali kolej pod ziemię. Wykop zrobili tak wielki, jak te, które widziałem w kopalniach Dhanbadu. Razem ze mną patrzył w głąb niego ktoś jeszcze - dobrze ubrany mężczyzna w koszuli, krawacie i spodniach z eleganckimi zaszewkami. Normalnie ktoś taki nigdy by się do mnie nie odezwał, ale pewnie zmyliła go tunika maharadzy.

- Za pięć lat to miasto będzie jak Dubaj, czyż nie?
- Pięć? - powiedziałem lekceważąco. - Za dwa!
- Niech pan spojrzy na ten żółty dźwig. Istny potwór.

To rzeczywiście był potwór. Siedział na krawędzi jamy, a jego potężna stalowa paszcza na przemian pochłaniała i wypluwała wielkie kęsy zaprawy. Jak stworzenia, które muszą mu być posłuszne, krążyli wokół niego mężczyźni z pojemnikami z zaprawą na głowach. Wydawali się niewiele więksi niż myszy. Chociaż była zimowa noc, mokre od potu koszule przyklejały się do ich połyskujących czarnych ciał.

Wróciłem do samochodu. Było strasznie zimno. Inni kierowcy zniknęli. Moi państwo się nie pokazywali.

Zamknąłem oczy i spróbowałem sobie przypomnieć, co jadłem na kolację.

Gorące curry z soczystymi kawałkami ciemnego mięsa.

W sosie wielkie oka czerwonego oleju.

Smaczne.

Obudziło mnie walenie w okno. Wygramoliłem się z samochodu i otworzyłem im drzwi. Oboje byli rozochoceni i zadowoleni, śmierdzący jakimś angielskim alkoholem.

Nie wiem, co to było, jeszcze tego nie kupowałem w sklepie.

Napaleni byli jak zwierzęta, mówię Panu. Kiedy wyjeżdżaliśmy z Connaught Place, wpychał jej rękę między uda, a ona chichotała. Patrzyłem o sekundę za długo. Zauważył to w lusterku.

Poczułem się jak dziecko podglądające rodziców przez szparę w drzwiach sypialni. Serce zaczęło mi walić - spodziewałem się, że złapie mnie za kołnierz, rzuci na ziemię i skopie, jak to robił jego ojciec z rybakami w Laxmangarh.

Ale jak już Panu mówiłem, on był inny - wszystko wskazywało na to, że stanie się kimś lepszym niż ojciec.

Moje spojrzenie dotarło do jego sumienia. Szturchnął panią Pinky i powiedział:

- Wiesz, że nie jesteśmy sami.

Zrobiła naburmuszoną minę i odwróciła głowę. Po pięciu minutach ciszy nachyliła się w moją stronę, zionąc angielską wódką.

- Teraz ja poprowadzę.

- Nie, Pinky. Jesteś pijana. Niech...

- What a fucking joke! Wszyscy w Indiach piją i jeżdżą, a mnie nie pozwolisz?

- Och, nie znoszę tego. - Opadł na siedzenie. - Pamiętaj, Balram, nigdy się nie żeń.

- Czy on się zatrzymuje na światłach? Balram, dlaczego stajesz? Jedź!

- To skrzyżowanie, Pinky. Musi się zatrzymać. Balram, przestrzegaj przepisów. Rób, co ci każe.

- A ja ci każe jechać, Balram! No jedź!

Kompletnie skołowany, wybrałem kompromis: wyjechałem metr za białą linię i zatrzymałem samochód.

- Widzisz, co zrobił? Spryciarz.

- Widzę, Ashok. Cholerny geniusz.

Zegar koło czerwonego światła pokazał, że za trzydzieści sekund będzie zielone. Obserwowałem cyfry, gdy z prawej strony pojawił się za szybą ogromny Budda. Do hondy podszedł mały żebrak ze wspaniałym gipsowym posągiem.

W nocy w Delhi żebracy zawsze sprzedają różne rzeczy na skraju drogi - książki, statuetki, truskawki w pudełkach - ale z jakiegoś powodu, może dlatego, że nerwy miałem w złym stanie, patrzyłem na Buddę dłużej, niż powinienem.

... To był tylko ruch głowy, trwał pewnie ułamek sekundy, ale ona go zauważyła.

- Balramowi ten posąg się podoba.

Pan Ashok zachichotał.

- Jasne, zna się na sztuce.

Jajo pękło - pani Pinky opuściła szybę.

- Pokaż no to - powiedziała.

Żebrak - chłopiec albo dziewczynka; wszystkie żebrzące dzieci wyglądają jednakowo - wepchnął Buddę do hondy.

- Kierowco, chcesz kupić tę rzeźbę?

- Przepraszam, ale nie, proszę pani.

- Balram Halwai, cukiernik, kierowca, znawca rzeźby.

- Przykro mi, proszę pani.

Im bardziej przeproszałem, tym bardziej byli rozbawieni. Kres mojej udręce położyło zielone światło. Odjechałem od tego okropnego Buddy najszybciej, jak mogłem.

Wyciągnęła rękę i ścisnęła mnie za ramię.

- Balram, zatrzymaj samochód. - Spojrzałem w lusterku na pana Ashoka, ale nic nie powiedział.

Zatrzymałem samochód.

- Wsiadaj, Balram. Zostawiamy cię tu, żebyś spędził noc ze swoim Buddą. Maharadża i Budda, wspólna noc.

Usiadła na miejscu kierowcy, przekręciła kluczyk i ruszyła. Pijany jak bela pan Ashok chichotał i machał mi na pożegnanie. Gdyby nie był pijany, nigdy by jej nie pozwolił tak mnie traktować - jestem tego pewien. Ludzie zawsze go wykorzystywali. Jeśli byśmy byli w samochodzie tylko my dwaj, żadnemu z nas nigdy by się nic złego nie przydarzyło.

Na wysepce oddzielającej od siebie pasma ruchu rosły drzewa. Usiadłem pod jednym z nich.

Ulica była pusta, potem przejechały jeden za drugim dwa samochody. W blasku ich reflektorów liście wydawały się płynąć, jak to się widzi, gdy drzewa rosną nad jeziorem.

He tysiący takich pięknych rzeczy musi być do zobaczenia w Delhi. Byleby tylko można było iść, dokąd się chce, i robić, co się chce.

Usłyszałem klakson. Samochód jechał prosto na mnie, mrugając światłami. Honda city zawróciła - wbrew przepisom, proszę Pana - gdzieś dalej i teraz gnała w moim kierunku, jakby mnie chciała staranować. Za kierownicą zobaczyłem wrzeszczącą panią Pinky z wyszczerzonymi zębami, obok niej siedział uśmiechnięty pan Ashok.

Czy widziałem w jego oczach troskę o mój los? Czy widziałem, jak sięga do kierownicy, żeby samochód mnie nie uderzył?

Lubię myśleć, że tak.

Samochód zatrzymał się z piskiem kilka centymetrów przede mną. Poczulem smród palącej się gumy. Skuliłem się. Moje biedne opony - jakże muszą cierpieć przez tę kobietę.

Pani Pinky otworzyła drzwi i ukazała szeroko uśmiechniętą twarz.

- Myślałeś, że cię naprawdę zostawię, panie maharadzo?

- Nie, proszę pani.

- Chyba nie jesteś zły?

- Ależ skąd. - I dodałem, żeby to było bardziej przekonujące: - Pracodawcy są jak matka i ojciec, więc czy można się na nich złościć?

Usiadłem z tyłu. Znowu zawrócili na środku ulicy i popędzili pełnym gazem, nie zważając na czerwone światła.

Oboje piszczeleli, szczypali się, chichotali, a ja się temu bezsilnie przyglądałem z tylnego siedzenia, gdy nagle coś małego, czarnego wskoczyło przed samochód, a myśmy to uderzyli, przewrócili i przejechali.

Koła to rozgniotły, i nic nie było słyhać, nawet skomlenia czy szczeknięcia, kiedy zatrzymała samochód, więc od razu wiedziałem, co się z tym uderzonym czymś stało.

Była za bardzo pijana, żeby od razu zahamować. Zanim to zrobiła, przejechaliśmy jeszcze jakieś dwieście, trzysta metrów i dopiero wtedy się zatrzymaliśmy. Na środku jezdni. Nie puściła kierownicy, usta miała otwarte.

- Pies? - spytał pan Ashok. - To był pies, prawda?

Kiwnąłem głową. Latarnie świeciły za słabo i odjechaliśmy za daleko, żeby to coś - duża czarna gruda - dało się rozpoznać. Nigdzie nie było widać innych samochodów.

Nigdzie ani żywego ducha.

Powoli zdjęła ręce z kierownicy i przyłożyła sobie do uszu.

- To nie był pies! To nie był...

Bez jednego słowa pan Ashok i ja działaliśmy jak zgrany zespół. On zakrył jej usta i wyciągnął ją zza kierownicy, ja się natychmiast przesiadłem. Jak na komendę trzasnęliśmy drzwiami. Przekręciłem kluczyk i pogałem do Gurgaonu.

Po drodze się uspokoiła, ale kiedy już prawie dojeżdżaliśmy na miejsce, zaczęła na nowo:

- Musimy wrócić.

- Zwariowałaś, Pinky? Za parę minut będziemy w domu. Już po wszystkim.

- Coś uderzyliśmy, Ashoky - powiedziała bardzo cichym głosem. - Musimy zawieźć to coś do szpitala.

- Nie.

Otworzyła usta. Za chwilę zaczęłaby krzyczeć, ale pan

Ashok był szybszy. Zatkał jej usta dłonią, sięgnął do pudełka i zakneblował ją pękiem papierowych chusteczek.

Gdy próbowała je wypluć, zerwał szalik z szyi, zawiązał jej mocno wokół głowy i przycisnął sobie jej twarz do kolan.

Kiedy przyjechaliśmy do domu, zaciągnął ją do windy, nie odwiązawszy szalika.

Wziąłem wiadro i wyszorowałem samochód. Dokładnie usunąłem każdą plamkę krwi, każdą odrobinę ciała - trochę jednego i drugiego było na kołach.

Kiedy zszedł na dół, czwarty raz myłem opony.

- No i co?

Pokazałem mu kawałek zakrwawionej zielonej tkaniny, który się przykleił do koła.

- To tani materiał, proszę pana - powiedziałem, trąc go między palcami. - Ubierają w to dzieci.

- I myślisz, że to dziecko... - Nie był w stanie dokończyć.

- Nic nie było słychać, proszę pana, żadnego dźwięku.

A ciało się w ogóle nie ruszało.

- Boże, i co my teraz zrobimy, Balram? Co my... - Klepnął się w udo. - Czemu te dzieciaki chodzą po Delhi o pierwszej w nocy bez żadnej opieki?

Nagle oczy mu błysnęły.

- Och, ona była jedną z tych osób.

- Które mieszkają pod wiaduktami i mostami, proszę pana. Też tak przypuszczam.

- Czy w takim razie komuś będzie jej brakować...?

- Myślę, że nie, proszę pana. Wiadomo, jacy są ci ludzie z Ciemności: mają ośmioro, dziewięcioro, dziesięcioro dzieci - czasem nawet nie pamiętają ich imion. Jej rodzice, jeśli w ogóle są w Delhi, jeśli nawet wiedzą, gdzie ona była tej nocy, na policję nie pójdą.

Położył mi rękę na ramieniu, tak jak wieczorem dotykał ramienia pani Pinky.

Potem przytknął palec do ust.

Kiwnąłem głową.

- Oczywiście, proszę pana. I niech pan śpi dobrze - to była ciężka noc, i dla pana, i dla pani Pinky.

Zdjąłem tunikę maharadży i poszedłem do łóżka. Byłem strasznie zmęczony, ale na ustach miałem wielki uśmiech zadowolenia. Zadowolenia, jakie czuje ten, kto nawet w najtrudniejszych chwilach wywiązuje się z obowiązków wobec swojego pana.

Rano jak zwykle przetarłem siedzenia, obrazki z boginią, potworka, a potem zapaliłem kadzidelko, żeby w samochodzie przyjemnie pachniało świętością. Jeszcze raz umyłem koła, na wypadek gdybym w nocy przeoczył jakąś plamkę krwi.

Później poszedłem do siebie. Wieczorem któryś z kierowców przyniósł wiadomość, że mam się zgłosić w holu.

Czekał tam na mnie Mangusta. Nie wiem, w jaki sposób tak szybko dotarł do Delhi. Pewnie wynajął samochód i jechał całą noc. Uśmiechnął się do mnie szeroko i poklepał mnie po ramieniu. Winda zawiozła nas do mieszkania.

Usiadł przy stole i powiedział:

- Siadaj, siadaj, Balram, rozgość się. Należysz do rodziny.

Serce przepełniła mi duma. Kucnąłem na podłodze szczęśliwy jak pies i czekałem, w nadziei że powie to jeszcze raz. Zapalił papierosa. Wcześniej nigdy nie widziałem go palącego. Spojrzał na mnie spod przymrużonych powiek.

- Nie wychodź teraz przez kilka dni z bloku B, nawet do bloku A. To ważne. I nie mów nikomu ani słowa o tym, co się stało.

- Tak, proszę pana.

Przez chwilę palił i mi się przyglądał. Potem powtórzył:

- Należysz do rodziny, Balram.

- Tak, proszę pana.

- A teraz idź na dół do pomieszczeń dla służby i czekaj.

- Tak, proszę pana.

Po godzinie znowu wezwał mnie na górę.

Tym razem za stołem siedział oprócz Mangusty mężczyzna w czarnym płaszczu. Spoglądał na kawałek zadrukowanego papieru i poruszając wargami poplamionymi na czerwono paanem, po cichu czytał. Pan Ashok rozmawiał przez telefon w swoim pokoju; słyszałem jego głos przez zamknięte drzwi. Drzwi do pokoju pani Pinky też były zamknięte. Domem rządził Mangusta.

- Usiądź, Balram, wygodnie.

Kucnąłem, znowu niewygodnie.

- Chcesz trochę paanu?

- Nie, proszę pana.

Uśmiechnął się.

- Nie wstydz się, Balram. Żujesz paan, prawda? -

Zwrócił się do mężczyzny w czarnym płaszczu: - Niech sobie pozuje.

Mężczyzna w czarnym płaszczu sięgnął do kieszeni i wyjął małą porcję zielonego paanu. Wyciągnąłem rękę.

Upuścił paan na moją dłoń, nie dotykając jej.

- Włóż do ust. To dla ciebie.

- Tak, proszę pana. Jest bardzo dobry. Mięśisty. Dziękuję.

- Omówmy wszystko dokładnie po kolei, okej? - powiedział mężczyzna w czarnym płaszczu. Czerwony sok prawie kapał mu z ust.

- W porządku.

- Sędzią się już zajęliśmy. Jeśli wasz człowiek zrobi, co trzeba, o nic się nie będziemy musieli martwić.

- Nasz człowiek zrobi, co trzeba, nie ma obawy. Należy do rodziny. To dobry chłopak.

- Jasne, jasne. - Mężczyzna w czarnym płaszczu spojrział na mnie i podał mi kawałek papieru. - Umiesz czytać, człowieku?

- Tak, proszę pana. - Wziąłem papier i zacząłem czytać.

OŚWIADCZENIE

Ja Balram Halwai, syn Vikrama Halwai, ze wsi Laxmangarh w dystrykcie Gaja, z własnej woli i chęci oświadczam, co następuje:

Dwudziestego trzeciego stycznia bieżącego roku w nocy prowadziłem samochód, który uderzył niezidentyfikowaną osobę lub osoby albo osobę i obiekty. Wpadłem wtedy w panikę i nie wypełniłem obowiązku wobec rannego (rannych), to znaczy nie zawiozłem go (ich) do najbliższego szpitala.

W chwili gdy zdarzył się ten wypadek, w samochodzie byłem tylko ja i tylko ja ponoszę odpowiedzialność za wszystko, co się stało.

Przysięgam na Boga wszechmogącego, że składam to oświadczenie bez przymusu i bez niczyich wskazówek.

Podpis lub odcisk kciuka:

Balram Halwai

Oświadczenie złożono w obecności następujących świadków:

Kusum Halwai, wieś Laxmangarh, dystrykt Gaja

Chamandas Varma, adwokat, Delhijski Sąd Apelacyjny

Mangusta uśmiechnął się do mnie czule.

- Twojej rodzinie już o tym powiedzieliśmy. Babci. Jak ona ma na imię?

- Nie dosłyszałem.

- ...m.

- A tak, Kusum. Pojechałem do Laxmangarh - kiepska droga, prawda? - i osobiście wszystko jej wytłumaczyłem.

Co za kobieta!

Potarł sobie ramiona i szeroko się uśmiechnął, więc wiedziałem, że nie kłamie.

- Mówi, że jest dumna z ciebie, że to robisz. Zgodziła się też być świadkiem oświadczenia. To odcisk jej kciuka,

Baham. Pod tym miejscem, gdzie ty się podpisiesz.

- Jeśli jest niepiśmienny, też może odcisnąć kciuk - poinformował mężczyzna w czarnym płaszczu. - O tak. -

Wykonał gest w powietrzu.

- Umie pisać. Jego babka mi powiedziała, że pierwszy w rodzinie umiał czytać i pisać. Mówiła, że zawsze byłeś bystrym chłopcem, Balram.

Spojrzałem na papier, udając, że czytam jeszcze raz.

Trząsł mi się w rękach.

To, o czym Panu teraz opowiadam, zdarza się kierowcom w Delhi codziennie. Pan mi nie wierzy? Myśli Pan, że to wszystko zmyślam, Panie Jiabao?

Kiedy Pan będzie w Delhi, niech Pan powtórzy moją opowieść jakiemuś porządnemu, solidnemu członkowi tamtejszej klasy średniej. Niech mu Pan powie, że od pewnego kierowcy usłyszał Pan niesamowitą, niewiarygodną historię o tym, jak został wrobiony w morderstwo, które popełniła na drodze jego pani. I niech Pan zwróci uwagę, jak temu solidnemu, porządnemu przedstawicielowi klasy średniej zblednie twarz. Jak zacznie nerwowo przełykać ślinę - jak się odwróci do okna - jak od razu zmieni temat.

Delhijskie więzienia są pełne kierowców, którzy trafili za kraty, bo wzięli na siebie winy swoich porządných, solidnych panów z klasy średniej. Opuściliśmy wioski, ale panowie ciągle są naszymi właścicielami, z duszą i dupą włącznie.

Tak, to prawda: wszyscy tu żyjemy w najwspanialszej demokracji świata.

What afuckingjoke.

Rodzina kierowcy nie protestuje? Bynajmniej. Ona się przechwala. Ich chłopak, ich Baham, wziął winę na siebie i siedzi za pracodawcę w Tiharze. Był wierny jak pies. Był sługą doskonałym.

A sędziowie? Nie widzą, co się kryje za najwyraźniej wymuszonymi oświadczeniami? Oni też uczestniczą w tych machinacjach. Przyjmują łapówki, nie biorą pod uwagę rozbieżności w zeznaniach. I życie toczy się dalej.

Dla wszystkich oprócz kierowcy.

Na dziś dość, Panie Premierze. Jeszcze nie ma trzeciej, ale muszę już skończyć. Samo myślenie o tym wszystkim wprawia mnie w taką złość, że mógłbym teraz iść i poderżnąć gardło jakiemuś bogaczowi.

NOC

PIĄTA

Szanowny Panie Jiabao, kiedy Pan przyjedzie, powiedzą Panu, że my, Hindusi, wynaleźliśmy wszystko - i Internet, i jajka na twardo, i statki kosmiczne - tylko Brytyjczycy nam to ukradli.

Bzdura. Najlepszą rzeczą, jaką wymyślono w tym kraju w jego liczącej dziesięć tysięcy lat historii, jest Kojec dla

Kogutów.

Niech Pan pójdzie do Starego Delhi za Jama Masjid i zobaczy, w czym na targu trzymają kurczaki. Setki białych kur i bajecznie kolorowych kogutów upchniętych ciasno w klatkach z drucianej siatki, tak ciasno jak robaki w brzuchu, dziobiących się, srających na

siebie, ledwo w tym ścisku mogących oddychać. Klatka wydziela okropny smród - smród przerażonego opierzonego mięsa. Nad takim kojcem siedzi na drewnianym podeście uśmiechnięty od ucha do ucha miody rzeźnik i demonstruje mięso i organy właśnie zarżniętych kurczaków, jeszcze obślizgłe od ciemnej krwi. Koguty w kojcu czują dolatujący z góry odór, widzą leżące wokół wnętrzności swych braci. Wiedzą, że teraz kolej na nie. Ale się nie buntują. Nie próbują się z kojca wydostać.

Dokładnie tak samo postępuje się w tym kraju z ludźmi.

Niech Pan poobserwuje wieczorem ulice Delhi. Wcześniej czy później zobaczy Pan pedałującego mężczyznę wiozącego gigantyczne łóżko albo wielki stół, przywiązane do wózka, który ciągnie za rowerem. Ten człowiek - dostawca - codziennie zawozi w ten sposób meble do domów.

Łóżko kosztuje pięć tysięcy rupii, może sześć. Weźmy jeszcze krzesła i stolik i będzie dziesięć albo piętnaście. Wszystko to, łóżko, stolik, krzesła, przywozi na rowerowej rykszy biedak, który pewnie zarabia pięćset rupii miesięcznie.

Rozładowuje meble i dostaje gotówkę - paczkę wielkości cegły. Wpycha ją do kieszeni, za koszulę albo w majtki, pedałuje do szefa i mu wręcza, nie widząc z tego nawet jednej rupii! Ma w rękach roczne zarobki, dwuletnie zarobki, ale nigdy nie bierze choćby rupii.

Codziennie ulicami Delhi jedzie pewien szofer - pustym samochodem, tylko na tylnym siedzeniu leży czarna walizka. W walizce jest milion rupii, czasem dwa; więcej niż ów człowiek zobaczy do końca swoich dni. Gdyby wziął te pieniądze, mógłby pojechać do Ameryki, do Australii, wszędzie, i zacząć nowe życie. Mógłby wejść do pięciogwiazdkowych hoteli, które zawsze podziwiał, ale oglądał tylko z zewnątrz. Mógłby zabrać rodzinę na Goa i do Anglii. On jednak wiezie czarną walizkę tam, dokąd każe mu ją zawieźć pan. Zostawiają, gdzie miał zostawić, i nigdy nie dotyka nawet jednej rupii. Dlaczego?

Bo Hindusi są najuczciwszymi ludźmi na świecie, jak się Pan dowie z otrzymanej broszurki?

Nie. Dlatego, że 99,9 procent z nas jest zamkniętych w Kojcu dla Kogutów, zupełnie jak te nieszczęsne stworzenia na ptasim targu.

Kojec dla Kogutów nie zawsze działa w przypadku drobnych sum. Nie należy sprawdzać szofera za pomocą jedno - czy dwurupiówki - tyle pewnie ukradnie. Ale połów służącemu przed nosem milion dolarów, a nie tknie ani centa. Niech Pan zostawi w taksówce w Bombaju czarną torbę z milionem dolarów. Nim minie dzień, taksówkarz zadzwoni na policję i zwróci pieniądze, gwarantuję. (Czy policja je Panu odda, to już inna sprawa). W tym

kraju panowie powierzają służącym diamenty! Naprawdę. Co wieczór pociągiem z Suratu, gdzie działa największa na świecie firma zajmująca się cięciem i szlifowaniem diamentów, jadą służący handlarzy, z walizkami pełnymi pociętych kamieni, które mają przekazać komuś w Bombaju. Dlaczego taki służący nie przywłaszczy sobie walizki diamentów? To nie Gandhi, tylko zwykły człowiek, jak Pan i ja. Ale on jest w Kojcu dla Kogutów. Solidność służących to podstawa całej indyjskiej gospodarki.

Wielki indyjski Kojec dla Kogutów. Czy w Chinach też macie coś takiego? Wątpię, Panie Jiabao. Bo byście nie potrzebowali partii komunistycznej, która strzela do ludzi, ani tajnej policji, co się wdziera w nocy do mieszkań i wsadza ludzi do więzienia - a słyszałem, że tak się u was dzieje. W Indiach nie mamy dyktatury. Nie mamy tajnej policji.

Bo mamy kojec.

Nigdy wcześniej w całej historii ludzkości tak niewielu nie zawdzięczało tak wiele tak wielu, Panie Jiabao. W tym kraju garstka ludzi nauczyła pozostałe 99,9 procent - pod każdym względem równie silnych, równie utalentowanych, równie inteligentnych - egzystować w stanie permanentnej służebności. Służebności tak głębokiej, że może Pan włożyć człowiekowi do ręki klucz do jego emancypacji, a on go z przekleństwem na ustach odrzuci.

Żeby w to uwierzyć, musi Pan przyjechać i zobaczyć.

Codziennie miliony ludzi budzą się o świcie - stoją w brudnych, zatłoczonych autobusach - wysiadają koło eleganckich domów swoich panów - a potem odkurzają podłogi, zmywają naczynia, plewią ogród, masują panom stopy, karmią ich dzieci - wszystko za psie pieniądze. Nie zazdroszczę bogatym z Ameryki czy Anglii: oni nie mają służących. Nie mogą nawet próbować zrozumieć, co to jest wygodne życie.

Człowiek myślący, taki jak Pan, Panie Premierze, musi teraz zadać dwa pytania.

Pierwsze: Dlaczego Kojec dla Kogutów działa i jak to się dzieje, że tak skutecznie więzi tyle milionów mężczyzn i kobiet?

I drugie: Czy człowiek może się z kojca wyrwać i co by się stało, gdyby któregoś dnia jakiś, powiedzmy, kierowca uciekł z pieniędzmi pracodawcy? Jak by wyglądało jego życie?

Odpowiem Panu na obydwa.

Na pierwsze odpowiem, że przyczyną naszego uwięzienia w kojcu i przywiązania do kojca jest duma i chwała naszego narodu, skarbiec naszej miłości i poświęcenia, temat, który bez wątpienia zajmie sporo miejsca w broszurze, jaką wręczy Panu premier - hinduska rodzina.

Odpowiedź na pytanie drugie jest taka, że uwolnić się z kojca może tylko ktoś, kto jest gotów pogodzić się z tym, że członkowie jego rodziny będą przez panów prześladowani, bici,

paleni żywcem. A na to trzeba być zboczeńcem, wybrykiem natury, a nie normalnym człowiekiem.

Trzeba być Białym Tygrysem. Słucha Pan opowieści o człowieku przedsiębiorczym społecznie.

Wróćmy do opowieści.

W Państwowym Ogrodzie Zoologicznym w Delhi, w pobliżu klatki z białym tygrysem, jest tablica ze słowami: „Wyobraź sobie siebie w klatce”.

Kiedy tę tablicę zobaczyłem, pomyślałem: „Ja to potrafię - potrafię bez trudności”.

Cały dzień spędziłem na dole, skulony pod moskitierą, zbyt wystraszony, żeby wyjść z mojego obskurnego pokoju. Nikt nie prosił, żebym gdzieś pojechał. Nikt nie przychodził.

Moje życie zostało poświęcone. Miałem iść do więzienia za zabójstwo, którego nie popełniłem. Ogarnął mnie paniczny strach, ani przez chwilę jednak nie pomyślałem o ucieczce. Ani przez chwilę nie pomyślałem: „Powiem sędziemu prawdę”. Byłem zamknięty w Kojcu dla Kogutów.

Jak będzie w więzieniu? Tylko o tym mogłem myśleć. Jak mam postępować, żeby się uchronić przed wielkimi, włóchatymi, brudnymi mężczyznami, których tam spotkam?

Przypomniała mi się historia z „Tygodnika o Morderstwach”, w której człowiek wsadzony do więzienia udawał, że ma AIDS, żeby go nikt nie napastował. Gdzie jest to czasopismo? Gdybym je miał, nauczyłbym się jego słów, jego gestów! Ale czy jeślibym powiedział, że mam AIDS, nie uznaliby, że w takim razie jestem zawodową ciotą, i tym bardziej napastowali?

Sytuacja bez wyjścia. Przez oczka moskitiery spojrzałem na odciski anonimowej dłoni, która pokryła ściany pokoju białym tynkiem.

- Wsioku! - Na progu pojawił się Różowowargi. - Twój szef dzwoni jak wariat.

Opadłem na poduszkę.

Wszedł do pokoju i przytknął czarną twarz i różowe wargi do siatki.

- Chory jesteś, wsioku? Masz tyfus? Cholerę? Dengę?

Pokręciłem głową.

- Nic mi nie jest.

- To dobrze. - Uśmiechnął się szeroko chorymi ustami i wyszedł.

Wlokłem się na górę jak na ścięcie - po schodach, do windy i na dwunaste piętro.

Drzwi otworzył Mangusta. Tym razem na jego twarzy nie było uśmiechu - niczym nie dał po sobie poznać, co wobec mnie zamierza.

- Nie śpieszyłeś się. Ojciec przyjechał. Chce z tobą zamienić parę słów.

Serce zaczęło mi walić. Bocian tutaj! On mnie uratuje!

Nie jest niedołągą, jak jego synowie. To pan starej daty.

Wie, że trzeba chronić służbę.

Siedział na kanapie, blade nogi miał wyciągnięte przed siebie. Na mój widok od razu szeroko się uśmiechnął.

„Śmieje się, bo mnie uratował!” - pomyślałem. Nic z tego, stary bogacz wcale o mnie nie myślał. Chodziło mu o rzeczy znacznie ważniejsze niż moje życie. Pokazał te dwie rzeczy palcem.

- Ach, Balram, moim nogom tak potrzebny jest dobry masaż! Tyle godzin w pociągu.

Trzęsącą się ręką odkręciłem kran w łazience. Gorąca woda uderzyła w dno wiadra i ochlapała mi nogi. Spojrzałem w dół i zauważyłem, że dygoczą. Spływała po nich strużka moczu.

Chwilę później z promiennym uśmiechem na twarzy wkroczyłem do pokoju i postawiłem wiadro przy kanapie.

- Niech pan włoży nogi do wody, proszę pana.

- Och - powiedział tylko i zamknął oczy. Z rozchylnych ust wydobywały mu się pojękiwania. One sprawiły, że uciskałem mu stopy coraz mocniej, aż zacząłem się cały kołysać i uderzać głową w jego kolana.

Mangusta i pan Ashok siedzieli przed telewizorem i w coś ze sobą grali.

Otworzyły się drzwi sypialni i weszła pani Pinky. Jej twarz bez makijażu wyglądała paskudnie - sińce pod oczami, zmarszczki na czole. Na mój widok zapytała z podnieceniem:

- Powiedzieliście kierowcy? - Bocian milczał, pan

Ashok i Mangusta nie przerwali gry. - Czy ktoś mu powiedział? What a fucking joke! Przecież on miał pójść do więzienia!

- Sądzę, że powinniśmy mu powiedzieć - odezwał się pan Ashok. Spojrzał na brata, który nie odrywał oczu od ekranu telewizora.

- W porządku - rzucił Mangusta.

Pan Ashok odwrócił się w moją stronę.

- Mamy kogoś w policji. Dowiedzieliśmy się, że nikt nie zgłosił, że widział wypadek. Więc twoja pomoc nie będzie potrzebna, Balram.

Poczułem tak ogromną ulgę, że gwałtownie poruszyłem rękami i wiadro się zachwiało. Gorąca woda chlusnęła na podłogę, Bocian otworzył oczy, klepnął mnie w głowę i z powrotem je zamknął.

Pani Pinky z dziwnym wyrazem twarzy pobiegła do swojego pokoju i trzasnęła drzwiami. (Kto by pomyślał,

Panie Jiabao, że z całej rodziny tylko tę damę od krótkich spódniczek ruszy sumienie?).

Bocian widział, jak zareagowała.

- Ta kobieta straciła rozum. Chce odszukać bliskich dziecka i dać im odszkodowanie. To szaleństwo. Jakbyśmy wszyscy tu byli mordercami. - Spojrzał surowo na pana

Ashoka. - Musisz trzymać swoją żonę krócej, synu. Tak jak to robimy na wsi. - Klepnął mnie lekko w głowę. - Woda wystygła.

Masowałem mu nogi co rano przez następne trzy dni.

Któregoś dnia trochę go bolał brzuch, więc Mangusta kazał mi jechać do Maksy, najlepszego prywatnego szpitala w Delhi. Patrzyłem, jak wprowadza starego do pięknego szklanego budynku, jak wchodzi i wychodzą lekarze, każdy w długim białym kitlu, ze stetoskopem w kieszeni. Widziany z zewnątrz, szpitalny hol sprawiał wrażenie tak czystego, jakby to był pięciogwiazdkowy hotel.

Następnego dnia zawiozłem Bociana i Mangustę na dworzec kolejowy, kupiłem im coś na ząb na drogę do domu, poczekałem, aż pociąg ruszy, pojechałem z powrotem, umyłem samochód, poszedłem do pobliskiej świątyni Hanumana zmówić modlitwę dziękczynną, wróciłem do swojego pokoju, wczółgałem się pod moskitierę i ledwie żywy ze zmęczenia padłem na łóżko.

Obudziłem się, bo ktoś był w pokoju i gasił i zapalał światło.

To była pani Pinky.

- Szykuj się. Pojedziesz ze mną.

- Tak, proszę pani - powiedziałem, trąc oczy. - Która godzina?

Położyła palec na ustach.

Włożyłem koszulę, wyprowadziłem samochód i podjechałem pod wejście do budynku. Czekala z torbą w ręce.

- Dokąd? - Była druga nad ranem.

Powiedziała.

- Pan nie przyjdzie?

Jedź.

Zawiozłem ją na lotnisko. O nic więcej nie pytałem.

Na lotnisku wysiadła, przez okno dała mi brązową kopertę, trzasnęła drzwiami i poszła.

I tak, proszę Pana, dobiegło końca małżeństwo mojego pracodawcy.

Inni kierowcy mają sposoby na przedłużanie małżeństw swoich państwa. Jeden mi powiedział, że kiedy się coraz bardziej kłócili, jechał szybciej, żeby się szybko znaleźli w domu, a jak wpadali w nastrój romantyczny, zwalniał; gdy na siebie krzyczeli, pytał o drogę; gdy się całowali, pogłasniał muzykę. Czuję się częściowo odpowiedzialny za to, że małżeństwo moich państwa się rozpadło, kiedy byłem ich kierowcą.

Rano pan Ashok wezwał mnie do mieszkania. Kiedy zapukałem, otworzył drzwi, złapał mnie za kołnierz i wciągnął do środka.

- Czemu mi nie dałeś znać? - spytał i wzmocnił uścisk, nieomal mnie dusząc. - Czemu mnie od razu nie obudziłeś?

- Ona powiedziała... proszę pana... powiedziała... powiedziała...

Wywłókł mnie na balkon i przycisnął do poręczy. Duch właściciela jednak w nim nie umarł.

- Czemu ją tam zawiozłeś, ty skurwielu?

Odwrociłem głowę - za mną były lśniące wieżowce i maile Gurgaonu.

- Chcesz zszargać reputację mojej rodzinie?

Przypierał mnie coraz mocniej. Głowę i klatkę piersiową miałem już na zewnątrz i gdyby mnie popchnął jeszcze trochę, groziłoby mi, że wypadnę. Zebrałem się w sobie i uderzyłem go kolanem w pierś. Poleciał do tyłu i rąbnął w szklane drzwi. Osunąłem się na podłogę, on siedział pod drzwiami. Obaj dyszeliliśmy.

- Nie może mnie pan oskarżać! - krzyknąłem. - Nigdy nie słyszałem, żeby kobieta zostawiła męża na zawsze! To znaczy w telewizji tak, ale nie w prawdziwym życiu! Zrobiłem, co mi kazała!

Na balkonie usiadła wrona. Zakrakała. Obaj zaczęliśmy się jej przyglądać.

Szaleństwo minęło. Zakrył twarz rękami i zaczął szlochać.

Pobiegłem do swojego pokoju. Usiadłem na łóżku pod moskitierą. Policzyłem do dziesięciu, żeby mieć pewność, że za mną nie przyszedł. Potem sięgnąłem pod łóżko, wyjąłem brązową kopertę i jeszcze raz ją otworzyłem.

Były w niej sturupiówki.

Czterdzieści siedem sturupiówek.

Wsunąłem kopertę z powrotem pod łóżko: słychać było kroki. Weszło czterech kierowców.

- Opowiadaj, wsioku.

Stanęli wokół mnie.

- O czym?

- Portier się wygadał. Tu nie ma sekretów. W nocy gdzieś z tą kobietą pojechałeś i wróciłeś sam. Rzuciła go?

- Nie mam pojęcia, o czym mówicie.

- Wiemy, że się kłócili, wsioku. A ty gdzieś ją w nocy wiozłeś. Pewnie na lotnisko. Wyjechała, prawda? To rozwód - teraz każdy bogaty rozwodzi się z żoną. Ci bogaci...

- pokręcił głową. Wykrzywione pogardliwie wargi odsłoniły czerwone od paanu, próchniejące kły. - Żadnego szacunku dla Boga, dla małżeństwa, dla rodziny - nic.

- Chciała tylko odetchnąć świeżym powietrzem. Przywiozłem ją z powrotem. Portier musiał zaniewidzieć.

- Zawsze lojalny. Tacy służący już się nie rodzą.

Całe rano czekałem na dzwonek, ale się nie odezwał. Po południu wjechałem na dwunaste piętro, zapukałem.

Otworzył, miał czerwone oczy.

- Co się stało?

- Nic, proszę pana. Przyszedłem... zrobić lunch.

- Nie potrzeba. - Myślałem, że mnie przeprosi za to, że o mało mnie nie zabił, ale nic na ten temat nie powiedział.

- Musi pan jeść, proszę pana. Głodowanie szkodzi zdrowiu. Proszę...

Westchnął i wpuścił mnie do środka.

Wiedziałem, że teraz, kiedy wyjechała, mam obowiązek być dla niego jak żona. Musiałem dbać, żeby się dobrze odżywiał, dużo spał, żeby nie schudł. Zrobiłem lunch, podałem mu, pozmywałem. Później wróciłem na dół i czekałem na dzwonek. O ósmej znowu wjechałem na górę. Przyłożyłem ucho do drzwi i zacząłem nasłuchiwać.

Nic. Głucha cisza.

Zadzwoiłem: żadnej reakcji. Wiedziałem, że na pewno jest w domu - przecież byłem kierowcą. Dokąd mógłby pójść beze mnie?

Drzwi były otwarte. Wszedłem do środka.

Leżał z zamkniętymi oczami pod oprawioną w ramki fotografią szpiców. Na mahoniowym stoliku stała butelka.

Powąchałem. Whisky. Prawie nic nie zostało. Przytknąłem butelkę do ust i wysączyłem resztkę.

Powiedziałem „proszę pana”, ale się nie ocknął. Popchnąłem go. Uderzyłem w twarz. Oblizwał wargi, cmoknął.

Budził się, ale i tak dałem mu w twarz jeszcze raz.

(Uświęcony tradycją zwyczaj służących: policzkowanie śpiącego pana. Tak samo jak skakanie po poduszkach, kiedy państwa nie ma w pobliżu. Albo sikanie do ich kwiatków. Albo bicie czy kopanie ich ulubionych piesków.

Niewinne przyjemności służących).

Zataszczyłem go do sypialni, okryłem kocem, zgasilem światło i poszedłem do siebie. Nie zanośli się na żadną jazdę, więc udałem się do Action, sklepu z angielskim alkoholem. Mój nos wciąż czuł whisky pana Ashoka.

To samo powtórzyło się następnej nocy.

Trzeciej nocy był pijany, ale przytomny.

- Wież mnie - powiedział. - Dokąd chcesz. Do maili.

Do hoteli. Wszystko jedno.

Jeździłem z nim w kółko, wśród błyszczących gurgaońskich maili i hoteli, a on przygarbiony siedział z tyłu i chyba po raz pierwszy nawet nie rozmawiał przez telefon.

Gdy w życie pana wkrada się chaos, to samo dzieje się z życiem służącego. „Może on ma już dość Delhi” - pomyślałem. „Czy wrócimy do Dhanbadu? Co się wtedy ze mną stanie?”. Żołądek mi się ścisnął, aż się zląkłem, że się tam zesram - na siedzenie, na skrzynię biegów.

- Zatrzymaj samochód - powiedział.

Otworzył drzwi, przycisnął dłoń do brzucha, nachylił się i zwymiotował. Wytarłem mu usta ręką i pomogłem usiąść na krawężniku. Obok przejeżdżały z rykiem samochody. Poklepałem go po plecach.

- Za dużo pan pije, proszę pana.

- Dlaczego ludzie piją, Balram?

- Nie wiem, proszę pana.

- No tak, twoja kasta nie pije... Powiem ci, Balram. Ludzie piją, bo mają dość życia. Myślałem, że kasta i religia już się w dzisiejszym świecie nie liczą. Ojciec powiedział:

„Nie żeń się z nią, ona jest z innej...”. Ja...

Pan Ashok odwrócił się bokiem, a ja potarłem mu plecy, bo myślałem, że znowu będzie wymiotował, ale skurcz minął.

- Czasem się zastanawiam, Balram, zastanawiam się, jaki sens ma życie. Naprawdę się zastanawiam...

„Jaki sens ma życie?”. Serce zabiło mi mocniej. „Twoje życie ma taki sens, że jeśli umrzesz, to kto mi będzie płacił trzy i pół tysiąca rupii miesięcznie?”.

- Musi pan wierzyć w Boga, proszę pana. Musi pan się trzymać. Moja babcia mówi, że jeśli się wierzy w Boga, to zdarzą się dobre rzeczy.

- To prawda, to prawda. Musimy wierzyć. - Załkał.

- Był kiedyś człowiek, który przestał wierzyć w Boga, i wie pan, co się stało?

~Co?

- Natychmiast zdechła mu bawolica.

- Rozumiem. - Zaśmiał się. - Rozumiem.

- Tak, proszę pana, naprawdę tak było. Na drugi dzień powiedział: „Przepraszam, Boże, wierzę w Ciebie”. I niech pan zgadnie, co się stało.

- Bawolica ożyła?

- Właśnie!

Znowu się roześmiał. Opowiedziałem mu jeszcze jedną historyjkę, a on pośmiał się jeszcze trochę.

Czy między panem a sługą istniał kiedyś związek jak ten? Pan Ashok był taki bezsilny, taki zagubiony, że serce musiało mi zmięknąć. Jeśli tkwiła we mnie jakaś złość za to, że chciał mnie obarczyć winą pani Pinky za spowodowanie śmiertelnego wypadku i ucieczkę, to tego wieczoru mi przeszła. To było przez nią. Pan Ashok nie miał z tym nic wspólnego. Przebaczyłem mu całkowicie.

Prawilem dalej o mądrości mojej wioski - trochę powtarzając zapamiętane opowieści babci, trochę zmyślając na poczekaniu - a on kiwał głową. Była to scena jak z „Bhagawadgity”, kiedy to nasz Pan - Kryszna, inny słynny historyczny szofer - zatrzymuje kierowany przez siebie rydwan i udziela pasażerom znakomitych rad na temat życia i śmierci. Tak jak Kryszna filozofowałem - żartowałem - nawet śpiewałem - wszystko po to, żeby pan Ashok poczuł się lepiej.

„Dziecko” - pomyślałem, masując mu plecy, kiedy znowu zwymiotował. „Jesteś duże, biedne dziecko”.

Wyciągnąłem rękę, otarłem mu wargi z wymiocin i zacząłem do niego pieszczotliwie przemawiać. Na widok jego cierpienia ścisnęło mi się serce - ale nie umiałbym powiedzieć, gdzie się kończył mój prawdziwy niepokój o niego, a gdzie zaczynała troska o własny interes. Żaden służący nigdy nie wie, co kieruje jego sercem.

Czy nienawidzimy naszych panów za maską miłości, czy kochamy za maską nienawiści?

Nasz Kojec dla Kogutów sprawia, że sami dla siebie jesteśmy tajemnicą.

Na drugi dzień poszedłem do świątyni w Gurgaonie.

Położyłem rupię przed dwiema tamtejszymi świętymi dupami i pomodliłem się, żeby pani Pinky i pan Ashok się zeszli i długo i szczęśliwie żyli razem w Delhi.

Tak minął tydzień, a potem z Dhanbadu miał przyjechać Mangusta, więc wybraliśmy się z panem Ashokiem po niego na dworzec.

Jak tylko się zjawił, wszystko się natychmiast zmieniło.

Zażyłość między mną a panem Ashokiem się skończyła.

Znów byłem tylko kierowcą. Znów byłem tylko podsłuchiwcem.

- Rozmawiałem z nią wczoraj wieczorem. Nie wraca do

Indii. Jej rodzice są z tej decyzji zadowoleni. To się może skończyć tylko w jeden sposób.

- Nie przejmuj się tym, Ashok. Tak jest dobrze. I nie dzwoń do niej więcej. Załatwię to z Dhanbadu. Jakby coś zaczęła przebąkiwać o pieniądzach, uprzejmie przypomnę ucieczkę z miejsca wypadku, rozumiesz?

- Nie pieniędzmi się przejmuję, Mukesh...

- Wiem, wiem.

Mangusta położył panu Ashokowi rękę na ramieniu - tak jak tyle razy kładł rękę na moim ramieniu Kishan.

Przejeżdżaliśmy koło slumsów, jednego z tych zbiorowisk namiotów, w których mieszkali robotnicy z jakiejś budowy. Mangusta coś mówił, ale pan Ashok nie słuchał - patrzył w okno.

Moje oczy podążyły za jego oczami. Ujrzałem sylwetki mieszkańców stłoczonych w namiotach; w jednym widać było w złocistym świetle lampy rodzinę - męża, żonę, dziecko - skupioną wokół piecyka. Ich wzajemne oddanie wydawało się tak pełne - tak druzgocąco pełne. Zrozumiałem, co czuł pan Ashok.

Podniósł rękę - przygotowałem się na dotknięcie - ale on objął plecy Mangusty.

- W Ameryce uważałem, że rodzina to ciężar, nie przeczę. Kiedy ty i ojciec próbowaliście mnie powstrzymać przed małżeństwem z Pinky, bo to nie Hinduska, byłem na was wściekły, nie przeczę. Ale bez rodziny człowiek jest niczym. Zupełnie niczym. Przez pięć dni nie miałem nic oprócz tego kierowcy. Teraz wreszcie mam kogoś przy sobie: ciebie.

Poszedłem z nimi do mieszkania. Mangusta chciał, żebym im zrobił coś do jedzenia. Zrobiłem daal, czapati i potrawę z ketmii. Podałem do stołu, a potem pozmywałem.

Przy obiedzie Mangusta powiedział:

- Jeśli to depresja, Ashok, może byś spróbował jogi albo medytacji? Jest mistrz jogi w telewizji, bardzo dobry. Co rano w swoim programie robi tak. - Zamknął oczy, nabrał powietrza i powoli je wypuścił, bucząc przy tym „uuuuuum”.

Kiedy wycierając ręce w nogawki spodni, wyszedłem z kuchni, Mangusta powiedział:

- Zaczekaj. - Wyjął z kieszeni jakiś papier i pomachał nim z takim uśmiechem, jakby to miała być dla mnie nagroda. - List od twojej babci. Jak ona ma na imię? - Grubym czarnym paznokciem zaczął rozrywać kopertę.

- Kusum, proszę pana.

- Niezwykła kobieta. - Potarł sobie ramiona.

- Niech się pan nie fatyguje, proszę pana. Umiem czytać.

Otworzył kopertę i zaczął głośno czytać.

Pan Ashok odezwał się po angielsku. Udało mi się zrozumieć, co powiedział.

- Czy on nie ma prawa czytać listów, które dostaje?

Jego brat odpowiedział po angielsku, a ja znów bardziej się domyśliłem co, niż rozumiałem.

- Dla niego to nie ma znaczenia. On nie czuje potrzeby prywatności. Na wsi nie ma osobnych pokoi, w nocy wszyscy leżą razem i się pieprzą. Możesz mi wierzyć, że jemu jest wszystko jedno.

Odwrócił się tyłem do światła i czytał:

Drogi wnuku. Pisze to pan Krysna, nauczyciel. Z czułością Cię wspomina i nazywa dawnym imieniem - Biały Tygrys. Życie tutaj stało się ciężkie. Długo nie było deszczu.

Czy możesz poprosić pracodawcę o trochę pieniędzy dla rodziny? I nie zapomnij wysłać ich do domu.

Mangusta przerwał.

- Wszyscy służący tylko tego chcą. Pieniądzy, pieniędzy, pieniędzy. To nie służący, to krwiopijcy. - Wrócił do czytania:

Twojemu bratu Kishanowi powiedziałam: „Przyszła pora” - i posłuchał, ożenił się. Tobie niczego nie każę. Jesteś inny niż reszta. Jesteś człowiekiem myślącym, jak Twoja matka. Byłeś taki już jako chłopiec, kiedy stałeś nad stawem i z otwartymi ustami od rana do wieczora wpatrywałeś się w Czarny Fort. Więc nie każę Ci się żenić. Ale niech Cię zachęca korzyści z życia małżeńskiego. Ono jest dobre dla społeczności. Każde małżeństwo to więcej deszczu we wsi. Bawolica będzie tłustsza. Da więcej mleka. To fakt. Jesteśmy wszyscy z Ciebie tacy dumni, z tego, że mieszkasz w mieście.

Ale musisz przestać myśleć tylko o sobie i pomyśleć także o nas. A przede wszystkim musisz nas odwiedzić i zjeść moje curry z kurczaka. Twoja kochająca babcia Kusum

Mangusta chciał mi oddać list, ale pan Ashok wyjął mu go z rąk i sam po cichu przeczytał.

- Ludzie ze wsi czasem wyrażają swoje myśli tak wzruszająco - powiedział i popchnął list po blacie w moim kierunku.

Rano zawiozłem Mangustę na dworzec i jak poprzednio kupiłem jego ulubione dosa. Zanim mu je zaniósłem do wagonu, wyjąłem ze środka ziemniaki i wyrzuciłem na tory. Wyszedłem na peron i czekałem. Chrupał dosa w przedziale, niżej na torach mysz skubała ziemniaki.

Wróciłem do domu. Wjechałem na dwunaste piętro.

Drzwi były otwarte.

- Proszę pana! - krzyknąłem, zobaczywszy, co się dzieje w pokoju. - Proszę pana, to szaleństwo!

Pan Ashok sam sobie masował nogi w plastikowym wiadrze.

- Powinien mi pan powiedzieć, zrobiłbym panu masaż!

- Nie! - wrzasnął.

- Tak, proszę pana. Nie spełnię swojego obowiązku, jeśli pozwolę panu to robić - oświadczyłem, włożyłem ręce do brudnej wody i ścisnąłem mu stopy.

- Nie!

Kopnął wiadro i woda zalała podłogę.

- Czy wyście wszyscy całkiem zgłupieli?! - Pokazał mi drzwi. - Wynoś się! Możesz mnie zostawić samego choć na pięć minut dziennie? Jak myślisz, potrafisz to zrobić?

Wieczorem znowu kazał się zawieźć do mailu. Wysiadł, a ja zostałem w samochodzie; nie poszedłem do innych kierowców.

W Gurgaonie prace budowlane trwają nawet nocą - z wysokich słupów świecą w dół wielkie lampy, z wykopów unosi się kurz, pną się w górę rusztowania, tam i z powrotem chodzą zmęczeni, niewyspani ludzie i zmęczone, niewyspane zwierzęta, dźwigając gruz albo cegły.

Jakiś człowiek prowadził osła z jaskrawoczerwonym siodłem na grzbiecie. Do siodła były przytroczone dwa żelazne koryta, po brzezi wypełnione gruzem. Za tym osłem podążały dwa mniejsze, tego samego koloru, też z korytami pełnymi gruzu. Te mniejsze szły wolniej, a osioł na czele często przystawał i się oglądał, w taki sposób, że sprawiało to wrażenie, że jest ich matką.

Od razu sobie uświadomiłem, co mnie gnębi.

Nie chciałem się podporządkować Kusum. Ona mnie szantażowała; zrozumiałem, dlaczego wysłała list przez

Mangustę. Jeśli odmówię, doniesie na mnie - powie panu

Ashokowi, że nie posyłam pieniędzy do domu.

A teraz z innej beczki, proszę Pana. Minęło już dużo czasu, od kiedy ostatni raz wsadziłem w coś swój dziób, i ciśnienie rosło. Dziewczyna byłaby taka młoda - siedemnastka albo osiemnastka - a Pan wie, jak smakują dziewczyny w tym wieku - jak arbuzy. Kiedy się zdefloruje dziewicę, mijają wszystkie dolegliwości, i ciała, i duszy. To fakt.

No i ten posąg, który Kusum by wycisnęła z jej rodziny.

Całe to dwudziestoczekaratowe złoto, ta gotówka prosto z banku. Przynajmniej trochę zatrzymałbym dla siebie.

Wszystko to zdecydowanie przemawiało na korzyść małżeństwa.

Ale z drugiej strony...

Widzi Pan, byłem jak ten osioł. I gdybym miał dzieci, nauczyłbym je tylko, że mają być osłami jak ja i dźwigać gruz dla bogatych.

Położyłem ręce na kierownicy. Palce mi się zacisnęły, jakbym kogoś dusił.

Jak ja się rzuciłem, żeby masować panu Ashokowi stopy, kiedy tylko je zobaczyłem, choć wcale mnie o to nie prosił! Dlaczego czułem, że muszę się znaleźć blisko nich, dotknąć ich, masować je i przynieść im ulgę? Dlaczego?

Ponieważ pragnienie usługiwania wpajano mi od urodzenia: wbijano, gwóźdź po gwóźdź, do głowy, wsączano do krwi, tak jak trujące ścieki wpuszcza się w nurt Matki

Gangi.

Oczyma duszy ujrzałem sztywną bladą stopę przeciskającą się przez ogień.

„Nie” - powiedziałem.

Usiadłem w pozycji lotosu i zacząłem w kółko powtarzać „om”. Nie wiem, jak długo tak tam wtedy siedziałem, z zamkniętymi oczami i skrzyżowanymi nogami jak Budda. Do otworzenia oczu zmusiły mnie chichoty i skrobanie w szybę. Dookoła stali wszyscy kierowcy. Któryś zauważył mnie w pozycji lotosu w zamkniętym samochodzie. Gapili się na mnie jak na zwierzę w zoo.

Wyplątałem się natychmiast z lotosu, wyszczerzyłem zęby w uśmiechu i wysiadłem. Powitały mnie radosne wrzaski, grzmotnięcia pięścią, poklepywania. Przyjąłem je potulnie, mamrocząc pod nosem: „Joga, tak sobie próbuję.

Ciągle to pokazują w telewizji. Widzieliście?”.

Kojec dla Kogutów robił swoje. Służący muszą się starać, żeby inni służący nie stali się nowatorami, eksperymentatorami, ludźmi przedsiębiorczymi.

Taka jest smutna prawda, Panie Premierze.

Kojec jest pilnowany od środka.

Dzwoni telefon, Panie Premierze. Przepraszam.

Niestety, przerwę na jakiś czas tę opowieść. Dopiero

1.32, ale musimy się rozstać. Coś się wydarzyło, proszę Pana - niespodzianie. Ale na pewno wrócę.

PORANEK

SZÓSTY

Proszę mi wybaczyć tę długą przerwę, Ekscelencjo. Jest

6.20, więc nie było mnie pięć godzin. Niestety, wydarzył się incydent mogący zagrozić reputacji firmy, z którą współpracuję.

Dość poważny incydent, proszę Pana. Przez który człowiek stracił życie. (Proszę mnie dobrze zrozumieć: Nie mam z tą śmiercią nic wspólnego! Ale wyjaśnię to później).

Przepraszam na chwilę, włączę wentylator - wciąż się pocę, proszę Pana - usiądę na podłodze i popatrzę, jak łopatki siekają światło zyrandola.

Reszta dzisiejszej opowieści to będzie głównie smutna relacja o tym, jak zostałem zdeprawowany i z sympatycznego, niewinnego wioskowego głupka stałem się zepsutym przez wielkie miasto, rozpustnym, niemoralnym niegodziwcem.

Ta zmiana zaszła we mnie, bo najpierw zaszła w panu

Ashoku. Wrócił z Ameryki jako niewinny człowiek, ale Delhi go zdeprawowało. A skoro zdeprawowany staje się właściciel hondy city, to jak może pozostać niewinny jej kierowca?

Uważałem, że znam pana Ashoka, proszę Pana. Ale tak zakładają wszyscy służący.

Zmienił się, jak tylko wyjechał jego brat. Zaczął nosić czarną koszulę z niezapiętym guzikiem pod szyją i używać innych kosmetyków.

- Do mailu, proszę pana?

Tak.

- Do którego, proszę pana? Tam gdzie jeździła pani?

Ale pan Ashok nie połknął haczyka. Nie przerywając wciskania klawiszy telefonu, mruknął:

- Sahara Mail, Balram.

- To tam, dokąd pani lubiła jeździć, proszę pana.

- Nie mów o pani w co drugim zdaniu.

Siedziałem pod mailem i zastanawiałem się, co on tam robi. Na ostatnim piętrze błyskało czerwone światło - domyśliłem się, że to dyskoteka. Na ulicy stała kolejka młodych mężczyzn i kobiet, czekających, żeby się do tego czerwonego światła dostać. Miejskie dziewczyny były tak ubrane, że aż się bałem na nie patrzeć.

Pan Ashok nie zabawił tam długo i wrócił sam. Odetchnąłem z ulgą.

- Z powrotem do Buckingham, proszę pana?

- Jeszcze nie. Zawieź mnie do hotelu Sheraton.

Jadąc do centrum, zauważyłem, że tamtej nocy coś się w wyglądzie Delhi zmieniło.

Czyżbym nigdy przedtem nie widział, że na chodnikach stoi tyle wymalowanych kobiet? Czyżbym nie widział, że tylu mężczyzn zatrzymuje samochody, tamując ruch, i targuje się z nimi o cenę?

Zamknąłem oczy; pokręciłem głową. „Co się z tobą dzisiaj dzieje?”

W tym momencie wydarzyło się coś, co mnie wyrwało ze stanu dezorientacji, ale jednocześnie okazało się bardzo dla nas obu krępujące. Zatrzymałem samochód na światłach; przez ulicę przechodziła dziewczyna w obcisłym T-shircie, z piersiami podskakującymi jak trzy kilogramy bakłażanów w torbie na zakupy.

Zerknąłem w lusterko i zobaczyłem podskakujące oczy pana Ashoka.

„Aha! Mam cię, draniu!” - pomyślałem.

I te oczy rozbłysły, bo zobaczył moje i pomyślał dokładnie to samo: „Aha! Mam cię, draniu!”.

Wzajemnie się przyłapaliśmy.

(To małe prostokątne lusterko w samochodzie, Panie

Jiabao - czy nikt nigdy nie zauważył, jakie jest krępujące?

I że gdy oczy pana i kierowcy się w nim spotykają, ono się od czasu do czasu otwiera jak drzwi do przebieralni i nagle obaj widzą jeden drugiego nago?).

Zaczerwieniłem się. Na szczęście światła zmieniły się na zielone i mogłem jechać dalej.

Przyrzekłem sobie, że tej nocy już nie spojrzę w lusterko. Teraz rozumiałem, dlaczego miasto wygląda inaczej, dlaczego dziób mi podczas jazdy sztywnieje.

Bo on był napalony. I w tym szczelnie zamkniętym samochodzie pan i kierowca stali się w jakiś sposób jednym ciałem.

Z wielką ulgą wprowadziłem hondę w bramę hotelu

Maurya Sheraton i zakończyłem tę koszmarną jazdę.

W Delhi jest mnóstwo wspaniałych hoteli. Pekin może i ma przewagę w obwodnicach i kanalizacji, ale pod względem przepychu Delhi nic nie dorówna. Mamy Sheraton,

Imperial, Taj Palace, Taj Mansingh, Oberoi, Intercontinental i wiele innych. Pięciogwiazdkowe hotele w Bangalurze znam od podszewki, bo w ich restauracjach wydałem na kebaby z kurczaka, baraniny i wołowiny tysiące rupii, a w barach podrywałem dziwki wszelkich narodowości, ale delhijskie pięciogwiazdkowce są dla mnie tajemnicą. Jeździłem do wszystkich, ale w środku nie byłem w żadnym.

Kierowców nie wpuszczają. Przed szklanymi drzwiami od frontu zwykle stoi gruby ochroniarz z brodą i wypomadowanymi wąsami, w idiotycznym czerwonym cyrkowym turbanie, mający się za kogoś ważnego, bo chcą się z nim fotografować amerykańscy turyści. Jeśli widzi kierowcę choćby tylko w pobliżu hotelu, rzuca surowe spojrzenie i grozi palcem jak nauczyciel.

Taki jest los kierowców. Wszyscy inni służący myślą, że mogą nimi rządzić.

Pięciogwiazdkowce dokładnie określają, co kierowca ma robić z samochodem, kiedy jego pan jest w hotelu.

Czasem dają miejsce na podziemnym parkingu. Czasem z tyłu. Czasem z przodu, w pobliżu drzew. I siedzi się tam i czeka, godzinę, dwie godziny, trzy godziny, cztery godziny, ziewając i nic nie robiąc, dopóki ochroniarz przy wejściu, ten gość w turbanie, nie wymamrocze do mikrofonu:

„Kierowca taki a taki, możesz podjechać pod szklane drzwi. Twój pan czeka”.

Kierowcy, w wydzielającym zapach amoniaku kręgu, czekali na skraju hotelowego parkingu, jak zwykle bawiąc się kluczami, żując paan, plotkując. Przycupnięci i trajkoczący jak małpy.

Kierowca o chorych wargach siedział z dala od nich, zatopiony w lekturze. W tym tygodniu na okładce czasopisma było zdjęcie przedstawiające kobietę leżącą w porozpiniętym ubraniu na łóżku i kochanka wznoszącego nóż nad jej głowę.

„TYGODNIK O MORDERSTWACH”

CENA 4,50 RUPII

PRAWDZIWA HISTORIA! TYLKO U NAS!

„CHCIAŁ ŻONY SWEGO PANA”

MIŁOŚĆ - GWAŁT - ZEMSTA

- Myślałeś o tym, co powiedziałem, wsioku? - spytał, przerzucając kartki. - O załatwieniu twojemu panu czegoś, z czego byłby zadowolony? Haszyszu, dziewczynek, piłek golfowych? Prawdziwych piłek golfowych z amerykańskiego konsulatu?

- On jest inny.

Różowe wargi wykrzywiły się w uśmiechu.

- Powiem ci sekret. Mój pan lubi aktorki. Zabiera je do hotelu w Jangpurze, tego z wielkim neonem w kształcie litery T, i je tam wali. - Wymienił trzy znane bombajskie aktorki, które jego pan „walił”. - A wygląda jak niewiniątko.

Wszyscy panowie są tacy sami, mówię ci. Kiedyś mi uwierzysz. A teraz chodź, poczytamy.

Czytaliśmy w kompletnej ciszy. Po trzecim opowiadaniu o morderstwie udałem się na amoniakową przerwę w kępę drzew. Poszedł ze mną.

Nasze szczyny trafiły w pień o parę centymetrów od siebie.

- Mam do ciebie pytanie.

- Znowu o dziewczyny z miasta?

- Nie. O to, co się dzieje ze starymi kierowcami.

- Że jak?

- To znaczy, co się ze mną stanie za kilka lat. Czy zarobię dość pieniędzy, żeby kupić dom i rozkręcić własny biznes.

- No cóż, kierowca jest dobry do pięćdziesięciu, pięćdziesięciu pięciu lat. Później wysiadają mu oczy i dostaje kopa. No to zostało ci trzydzieści, wsioku. Jeśli zaczniesz oszczędzać od dzisiaj, uskładasz na mały dom w jakiejś marnej dzielnicy. Jeśli będziesz sprytny i dorobisz trochę na boku, starczy ci na dobrą szkołę dla syna. Będzie mógł się uczyć angielskiego, będzie mógł pójść na uniwersytet. To najlepszy scenariusz. Dom w nędznej dzielnicy, dzieciak w college'u.

- Najlepszy?

- No tak. Bo możesz też złapać tyfus od brudnej wody.

Szef cię wyleje bez powodu. Będziesz miał wypadek - mnóstwo najgorszych scenariuszy. - Wciąż sikałem. Położył mi rękę na ramieniu. - Muszę cię o coś zapytać, wsioku. Dobrze się czujesz?

- Nic mi nie jest. - Spojrzałem na niego. - Czemu pytasz?

- Przepraszam, że ci to mówię, ale niektórzy kierowcy gadają otwarcie, że cały czas siedzisz w samochodzie, że rozmawiasz ze sobą... Wiesz, czego potrzebujesz? Kobiety.

Widziałeś rudere z tyłu za mailem? One tam są całkiem niezłe - sympatyczne, pulchne. Niektórzy z nas chodzą do nich co tydzień. Ty też możesz iść.

KIEROWCO BALRAMIE, GDZIE JESTEŚ?

To był głos z mikrofonu przy wejściu do hotelu. Przy mikrofonie stał pan Turban. Mówił tonem tak pompatycznym i surowym, jaki tylko można sobie wyobrazić.

KIEROWCO BALRAMIE, ZGŁOŚ SIĘ NATYCHMIAST DO WEJŚCIA. BEZZWŁOZNIE. WZYWA

CIĘ TWÓJ PAN.

Zapiąłem rozpiętkę i pobiegłem. Mokre palce wytarłem po drodze w spodnie.

Podjechałem pod wejście. Pan Ashok właśnie wychodził z hotelu, uwieszony na ramieniu dziewczyny.

Miała skośne oczy i żółtą skórę. Cudzoziemka. Nepalka. Nie z jego kasty, nie z jego środowiska. Prychnęła, poczuwszy zapach siedzeń - tych pucowanych przeze mnie siedzeń - i wskoczyła do środka.

Pan Ashok objął jej gołe plecy. Odwróciłem oczy od lusterka.

Nie pochwalam rozpusty w samochodzie, Panie Jiabao.

Poczułem zmieszane zapachy ich kosmetyków - wiedziałem, co się dzieje za moimi plecami.

Myślałem, że teraz poprosi, żebym go zawiózł do domu, ale nie - karnawał trwał dalej. Kazał się wieźć do PVR

Saket.

PVR Saket to przede wszystkim wielki multipleks, gdzie jednocześnie wyświetlają dziesięć czy dwanaście filmów, a za bilet każą sobie płacić ponad sto pięćdziesiąt rupii - tak jest, sto pięćdziesiąt rupii! Jest tam też galeria z licznymi miejscami, gdzie można się napić piwa, potańczyć, poderwać dziewczynę - te rzeczy. Kawalek Ameryki w Indiach.

Za ostatnim olśniewającym lokalem PVR Saket zaczyna się druga „galeria”. Bo w Delhi każdy taki moloch to dwa w jednym - zawsze jest jeszcze mniejszy, brzydszy dodatek, upchnięty gdzieś z boku. To targowisko dla służby - zbiorowisko śmierdzących restauracji, budek z herbatą, ogromnych patelni, na których w oleju smaży się chleb. Tu przychodzą jeść ludzie pracujący w kinach, sprzątacze. Tu żyją żebracy.

Przeszedłem tam. Kupiłem herbatę i ziemniaczane wada i usiadłem pod figowcem.

- Daj mi trzy rupie, bracie. - Stara kobieta, chuda i zabiedzona, wyciągnęła do mnie rękę.

- Nie należę do bogatych, matko - idź prosić na tamtą stronę.

- Bracie...

- Pozwól mi zjeść, dobrze? Daj mi spokój!

Odeszła. Przyszedł szlifierz ostrzący noże i rozłożył się obok mojego drzewa. Wziął dwa noże w rękę, usiadł na swojej maszynie - to była jedna z tych pedałowych szlifierek - i zaczął kręcić pedałami. Snopy iskier przelatowały tuż obok mnie.

- Bracie, czy musisz to robić tutaj? Nie widzisz, że człowiek próbuje coś zjeść?

Przestał na chwilę pedałowić, pomrukał oczami i znów przytknął ostrza do świszczącego kamienia, jakby mnie w ogóle nie słyszał.

Rzuciłem mu ziemniaczane wada pod nogi.

- Czy wyście, ludzie, zgłupieli?

Wróciłem do PVR Saket. Stara żebraczka przyszła za mną. Podkasła sari, nabrała powietrza w płuca i zaczęła swoją śpiewkę: „Proszę, daj mi trzy rupie. Od rana nic nie jadłam...”.

W samym centrum galerii leżało mnóstwo starych książek, ułożonych w wielki, pusty czworobok, jak mandala ze świętym ogniem na weselu. W środku na stosie czasopism, niczym kapłan pilnujący tej mandali druku, siedział z podwiniętymi nogami mały człowieczek. Podeszedłem bliżej, bo książki ciągnęły mnie jak magnes, a człowieczek burknął:

- Wszystko po angielsku.

- No to co?

- Czytasz po angielsku? - warknął.

- A ty? - odparowałem.

Trafiony. Przed chwilą rozmawiał ze mną jak służący ze służącym, teraz zaczął jak człowiek z człowiekiem. Przyjrzał mi się od stóp do głów.

- Nie - odpowiedział i zaczął się uśmiechać; widać docenił moją hardość.

- To jak je sprzedajesz, jeśli nie znasz angielskiego?

- Wiem po okładkach, co to za książki - powiedział. -

O, ta to „Harry Potter” - pokazał palcem. - A to James

Hadley Chase. - Wziął książkę do ręki. - To Kahlil Gibran, Adolf Hitler, Desmond Bagley, „Radość z seksu”.

Kiedyś wydawca zmienił okładkę Hitlera, tak że wyglądała jak „Harry Potter”, i potem przez tydzień nie było dla mnie życia.

- Chcę tylko postać przy książkach. Raz miałem książkę. Jak byłem mały.

- Proszę bardzo.

No więc stałem koło tego wielkiego czworoboku z książek. Kiedy się stoi koło książek, nawet jeśli są to książki w obcym języku, czuje się, jakby biegł od nich do człowieka

prąd elektryczny, Ekscelencjo. To tak jak z erekcją w pobliżu dziewczyny w opiętych dzinsach.

Tyle że tutaj grzać się zaczyna człowiekowi mózg.

Cztery tysiące siedemset rupii. W brązowej kopercie pod łóżkiem.

Dziwna kwota, prawda? Zagadka do rozwiązania. Może na początku naszykowała dla mnie pięć tysięcy, a później, ze skąpstwa, bo skąpi są wszyscy bogaci - pamięta

Pan, jak Mangusta kazał mi szukać na kolanach jednorupiówki? - odjęła trzysta?

„Ty głupi, bogaci myślą inaczej. Jeszcze tego nie wiesz?”

Na pewno najpierw przygotowała dziesięć. Potem podzieliła to na pół i pięć zostawiła sobie. A potem odjęła setkę i jeszcze setkę, i jeszcze setkę. Tacy z nich skąpcy.

„Więc to znaczy, że w rzeczywistości należy ci się od nich dziesięć tysięcy. Ale jeśli ona myślała, że należy ci się od niej dziesięć tysięcy, to ile ci się należało naprawdę?

Dziesięć razy więcej?”

- Nie, sto razy więcej.

Mały człowiek odłożył gazetę, którą czytał w swej mandali z książek, odwrócił się w moją stronę i krzyknął:

- Co powiedziałeś?

- Nic.

Po chwili krzyknął znowu:

- Hej, co robisz?

Trzymałem wyimaginowaną kierownicę i obracałem ją o sto osiemdziesiąt stopni.

- Ach, powinienem był wiedzieć. Kierowcy to rozgarnięci ludzie - słyszą tyle ciekawych rzeczy. Prawda?

- Może inni. W samochodzie jestem głuchy.

- Racja, racja. Powiedz, na pewno znasz angielski? Co z ich rozmów musi ci zostawać w pamięci.

- Mówiłem ci, że nie słucham. Więc jak miałbym pa miętać?

- Co znaczy to słowo w gazecie? Pry-wa-tność?

Wy tłumaczyłem mu, a on się uśmiechnął z wdzięcznością - Właśnie zaczynaliśmy angielski alfabet, kiedy rodzina zabrała mnie ze szkoły.

No tak, jeszcze jeden niedouczony. Moja kasta.

- Hej! - krzyknął znowu. - Chcesz sobie poczytać coś takiego? - Trzymał w ręku czasopismo z Amerykanką na okładce - jedno z tych, które lubią kupować bogaci chłopcy - Niezła rzecz.

Przekartkowałem. Miał rację, to była niezła rzecz.

- Po ile oni to sprzedają?

- Po sześćdziesiąt rupii. Dasz wiarę? Sześćdziesiąt rupi za używane czasopismo. A na Khan Market jest facet, który sprzedaje używane czasopisma z Anglii po pięćset osiem rupii za sztukę! Dasz wiarę?

Podniosłem głowę i zagwizdałem.

- Niesamowite, ile oni mają forsy - powiedziałem głośno, ale jakby sam do siebie. - A traktują nas jak zwierzęta.

Chyba go moje słowa zaniepokoiły, bo kilka razy opuścił i podniósł gazetę, a potem podszedł do brzegu mandali i chowając twarz za papierem, coś wyszeptał.

Zwinąłem dłoń w trąbkę i przyłożyłem sobie do ucha.

- Mógłbyś powtórzyć?

Rozejrzał się i powiedział nieco głośniej:

- To nie będzie trwało wiecznie. Ta obecna sytuacja.

- Dlaczego? - Zbliżyłem się do brzegu mandali.

- Słyszałeś o naksalach? - szepnął znad książek. - Oni są uzbrojeni. Mają całą armię. Z każdym dniem są silniejsi.

- Naprawdę?

- Zjrzyj do gazet. Chińczycy chcą, żeby w Indiach wybuchła wojna domowa, rozumiesz? Chińskie bomby jadą do Birmy i do Bangladeszu, a potem do Kalkuty. Wędrują na południe do Andhra Pradesh i na północ w Ciemność.

Kiedy nadejdzie odpowiednia chwila, całe Indie...

Otworzył dłonie.

Rozmawialiśmy tak jeszcze przez chwilę, ale potem nasza przyjaźń się skończyła, jak się musi skończyć każda przyjaźń służącego ze służącym: banda bogatych dzieciaków chciała obejrzeć jakieś sprośne amerykańskie czasopismo i pan Ashok wyszedł z baru. Zataczał się, śmierdział alkoholem; towarzyszyła mu młoda Nepalka.

W drodze powrotnej najpierw bardzo głośno rozmawiali, a później zaczęły się pieszczoty i całowanie. Mój Boże!

On, wedle prawa człowiek nadal żonaty! Byłem taki wściekły, że cztery razy przejechałem przez czerwone światła i omal nie zderzyłem się z wyładowanym bańkami z naftą wozem zaprzęgniętym w woły. Oni niczego nie zauważyli.

Wysiedli, trzymając się za ręce.

- Dobranoc, Balram! - krzyknął pan Ashok.

- Dobranoc, Balram! - krzyknęła ona.

Wbiegli do holu i zaczęli na zmianę naciskać guzik windy.

Poszedłem do pokoju i sięgnąłem pod łóżko. Wciąż tam był - strój maharadży, który od niego dostałem: tunika, turban, okulary.

Przebrany za maharadzę, w czarnych okularach, wsiadłem do samochodu i ruszyłem spod bloku. Nie wiedziałem, dokąd jadę - krążyłem między mailami. Kiedy zobaczyłem ładną dziewczynę, trąbiłem na nią i jej towarzyszy.

Włączyłem jego muzykę. Na cały regulator.

Wróciłem do Buckingham, zjechałem do garażu, schowałem czarne okulary do kieszeni i zdjąłem tunikę.

Naplułem na siedzenia i wytarłem je do sucha.

Rano nie pojawił się na dole ani nie wezwał mnie do mieszkania. Wjechałem na dwunaste piętro i podszedłem do drzwi. Z powodu swojej nocnej eskapady czułem wyrzuty sumienia. Zastanawiałem się, czy nie powinienem się do wszystkiego przyznać. Kilkakrotnie już niemal dotykałem dzwonka i za każdym razem wzdychałem i rezygnowałem.

Zza drzwi dobiegły mnie ciche głosy. Przyłożyłem ucho i słuchałem.

- Aleja się naprawdę zmieniłem.

- Przestań wciąż przeproszać.

- Lepiej się wczoraj bawiłem niż przez cztery lata małżeństwa.

- Kiedy wyjechałeś do Nowego Jorku, myślałam, że już cię nigdy więcej nie zobaczę.

A teraz jestem z tobą. To dla mnie najważniejsze.

Odróciłem się tyłem do drzwi i palnąłem ręką w czoło. Moje poczucie winy rosło. „To jego dawna kochanka, idioto; nie jakaś poderwana dziewczyna!”

Oczywiście - on by się nigdy nie zadał z dziwką. Zawsze wiedziałem, że to porządny człowiek, o niebo lepszy ode mnie.

Za karę uszczypnąłem się w lewą dłoń.

I znowu przyłożyłem ucho do drzwi.

W środku zaczął dzwonić telefon. Po chwili usłyszałem pana Ashoka:

- To jest Puddles, a to Cuddles. Pamiętasz? Zawsze na mnie czekają. Podaj mi słuchawkę...

Minęło kilka minut.

- Złe wiadomości? Wyglądasz na zdenerwowanego.

- Muszę się spotkać z ministrem. Nie cierpię tego. Oni są odrażający. Te nasze interesy to nic dobrego. Wolałbym się zajmować czymś innym. Czymś czystym. Jak outsourcing. Co dzień o tym myślę.

- To czemu w takim razie nie zaczniesz robić czego innego? Tak samo było, kiedy ci powiedzieli, żebyś się ze mną nie żenił. Też nie potrafiłeś powiedzieć nie.

- To nie takie proste, Urna. To jest mój ojciec, mój brat.

- Nie mam pewności, czy się zmieniłeś, Ashok. Jeden telefon z Dhanbadu i jesteś taki jak dawniej.

- Nie kłóćmy się znowu. Teraz wrócisz moim samochodem.

- O, nie. Nie chcę wracać z twoim kierowcą. Wiem, jacy oni są, ci ze wsi. Każdą niezamężną kobietę uważają za kurwę. A z powodu moich oczu on pewnie myśli, że jestem

Nepalką. Wiesz, co on przez to rozumie. Wrócę sama.

- To dobry chłopak. Należy do rodziny.

- Za bardzo mu ufasz, Ashok. Wszyscy delhijscy kierowcy to zgnilizna. Handlują narkotykami, prostytutkami i Bóg wie czym jeszcze.

- Ten nie. Jest głupi jak osioł, ale uczciwy. Odwiezie cię do domu.

- Nie, Ashok. Wezmę taksówkę. Zadzwoń do ciebie wieczorem.

Uświadomiłem sobie, że pewnie zmierza do drzwi, więc się odwróciłem i na palcach odszedłem.

Przez całe popołudnie nie dawał znaku życia. Zszedł na dół dopiero wieczorem i kazał się wozić od banku do banku. Kątem oka patrzyłem zza kierownicy, jak podejmuje pieniądze z bankomatów - z czterech różnych bankomatów. Potem powiedział:

- Teraz do śródmieścia, Balram. Pamiętasz ten duży budynek przy Ashoka Road, gdzie byliśmy kiedyś z panem

Mukeshem?

- Tak, proszę pana, pamiętam. Trzymają tam dwa wielkie wilczury do ochrony.

- Rzeczywiście. Masz dobrą pamięć, Balram.

W moim szpiegowskim lusterku zauważyłem, że pan

Ashok naciska klawisze telefonu. Pewnie zawiadamiał służącego ministra, że jedzie z gotówką. Teraz wreszcie zrozumiałem, czym się zajmuje mój pan, kiedy go wożę po

Delhi.

- Wrócę za dwadzieścia minut, Balram - powiedział, kiedy podjechaliśmy pod bungalow ministra. Wziął czerwoną torbę, wysiadł i trzasnął drzwiami.

Z metalowej budki nad ogrodzeniem bungalowu obserwował mnie uważnie strażnik z karabinem. Za ogrodzeniem biegały dwa poszczekujące wilczury.

Słońce zachodziło. W powietrzu awanturowały się wracające do gniazd miejskie ptaki. Dzisiejsze Delhi, Panie

Premierze, to wielkie miasto, ale nie brak w nim dzikich miejsc - wielkich parków, lasów pod ochroną, pustkowi - skąd czasem pojawiają się niespodziewanie różne rzeczy.

Kiedy tak patrzyłem na czerwone ogrodzenie domu ministra, nad budkę strażnika wzleciał paw i na niej usiadł.

W blasku zachodzącego słońca jego granatowa szyja i długi granatowy ogon stały się na moment złociste. Potem zniknął.

Po chwili zapadła noc.

Zaszczekały psy. Otworzyła się brama. Z domu ministra wyszli pan Ashok i gruby mężczyzna, ten sam, którego kiedyś widziałem przed domem prezydenta. Domyśliłem się, że to asystent ministra. Stanęli przed samochodem i zaczęli rozmawiać.

Podali sobie ręce. Pan Ashok wyraźnie chciał się już z nim rozstać, ale cóż, to nie takie proste uwolnić się od polityka, a nawet od pomocnika polityka. Wsiadłem z samochodu.

Udając, że sprawdzam opony, zacząłem podsłuchiwać.

- Nie martw się, Ashok. Będę pamiętał, żeby minister zadzwonił jutro do twojego ojca.

- Dziękuję. Moja rodzina jest ci wdzięczna za pomoc.

- Co masz zamiar teraz robić?

- Nic. Jadę do Gurgaonu.

- Młody człowiek wraca do domu tak wcześnie? Zabawmy się.

- Nie masz roboty w związku z wyborami?

- Wybory? Wszystko jest zapięte na ostatni guzik. To będzie miażdżące zwycięstwo. Tak dziś rano powiedział minister. Wyborami w Indiach można pokierować, przyjacielu. Tu nie Ameryka.

Nie zważając na protesty pana Ashoka, grubas wepchnął się do samochodu. Ledwie ruszyliśmy, powiedział:

- Ashok, napiłbym się whisky.

- Teraz, w samochodzie? Nie mam tu whisky.

Grubas wydawał się zaskoczony.

- W Delhi każdy ma w samochodzie whisky. Nie wiedziałeś?

Kazał mi wrócić do domu ministra. Wszedł do środka i przyniósł dwie szklanki i butelkę. Trzasnął drzwiami, sapnął i powiedział:

- No, dopiero teraz ten samochód jest w pełni wyposażony.

Pan Ashok wziął butelkę i już miał napełnić grubasowi szklankę, ale ten syknął z irytacją:

- Nie ty, frajerze. Kierowca. To kierowca nalewa drinki.

Natychmiast się odwróciłem i zamieniłem w barmana.

- Bardzo utalentowany chłopak - ocenił grubas. - Bo czasem kierowcy robią przy nalewaniu drinków niezły bajzel.

- Pewnie byś się nie domyślił, że jego kasta to abstynenci.

Zakręciłem butelkę i postawiłem koło dźwigni zmiany biegów. Za plecami usłyszałem brzęk szklanek i dwa głosy mówiące chórem: „Na zdrowie!”.

- Jedźmy, kierowco - powiedział pomocnik ministra. -

Hotel Sheraton. Mają tam w podziemiu dobrą restaurację,

Ashok. Spokojne miejsce. Zabawimy się trochę.

Przekręciłem kluczyk w stacyjce i poprowadziłem ciemne jajo marki Honda City ulicami New Delhi.

- Samochód to pałac mężczyzny. Aż mi się wierzyć nie chce, że nigdy tego nie robiłeś.

- W Ameryce byś sobie na to nie pozwolił.

- I to jest cała korzyść z tego, że jesteśmy w Delhi, drogi chłopcze! - Grubas klepnął pana Ashoka w udo.

Pociągnął łyk i zapytał:

- Jaka jest twoja sytuacja, Ashok?

- Obecnie handel węglem. Ludzie myślą, że jak dobra koniunktura, to tylko w technice. Media też nie przywiązują wagi do węgla. Ale Chińczycy zużywają węgiel jak szaleni i ceny wszędzie idą w górę. Gdzie tylko spojrzeć, nowi milionerzy.

- Oczywiście, oczywiście. Chiński efekt. - Grubas powąchał szklankę. - Ale jak w Delhi mówimy „sytuacja”, co innego mamy na myśli, drogi chłopcze! - Uśmiechnął się. -

W zasadzie pytam o to, kto cię obsługuje - o tam. - Wskazał tę część ciała pana Ashoka, która go w ogóle nie powinna interesować.

- Jesteśmy w separacji. Sprawa rozwodowa w toku.

- Przykro mi. Małżeństwo to dobra instytucja. Wszystko się w tym kraju rozpada. Rodziny, małżeństwa - wszystko. - Łyknął trochę whisky. - Jak myślisz, Ashok, będzie wojna domowa?

- Skąd ci to przyszło do głowy?

- Cztery dni temu byłem w sądzie w Ghaziabadzie. Sędzia wydał postanowienie, które się nie spodobało adwokatom, więc go po prostu nie zaakceptowali. Wściekli się - przewrócili sędziego i go pobili, w jego sądzie. Gazety o tym nie pisały, ale ja widziałem całe zdarzenie na własne oczy. Jeśli ludzie już zaczynają bić sędziów - w salach sądowych - to jaka przyszłość czeka ten kraj?

Poczułem na szyi coś zimnego. Grubas dotknął mnie szklanką.

- Jeszcze jednego, kierowco.

- Tak jest, proszę pana.

Widział pan kiedyś taką sztuczkę, Ekscelencjo? Człowiek jedną ręką prowadzi samochód, w drugą bierze butelkę whisky, sięga do tyłu przez ramię i nie roniąc ani kropli, napelnia szklankę. A samochód cały czas jedzie! Oto jakich umiejętności się wymaga od hinduskiego kierowcy! Nie dość, że musi mieć doskonały refleks, zdolność widzenia w nocy i świętą cierpliwość, to jeszcze ma być biegłym barmanem!

- Życzy pan sobie jeszcze trochę, proszę pana?

Spojrzałem na pomocnika ministra, na jego drugi podbródek - a potem na drogę, żeby się z czymś nie zderzyć.

- Nalej teraz swojemu panu.

- Nie, wystarczy. Ja nie piję dużo, naprawdę.

- Nie wygłupiaj się, Ashok. No, nalewaj jednego swojemu panu.

Więc musiałem się odwrócić i jeszcze raz zrobić tę niewiarygodną sztuczkę z lewą ręką na kierownicy i butelką w prawej.

Po drugiej szklance grubas się uspokoił. Otarł usta i bardziej orzekł, niż zapytał:

- Jak byłeś w Ameryce, na pewno miałeś dużo kobiet?

- Nie.

- Nie? Jak to?

- Byłem wierny Pinky, mojej żonie.

- Coś takiego. Byłeś wierny. Co za pomysł. Wierni małżonkowie. Nic dziwnego, że to się skończyło rozwodem.

Miałeś kiedyś białą kobietę?

- Już ci powiedziałem.

- Boże. Dlaczego za granicę zawsze jadą nie ci Hindusi, co trzeba? To może teraz chcesz? Europejkę?

- Teraz?

- Teraz. Kobieta z Rosji. Wygląda dokładnie jak ta amerykańska aktorka. - Wymienił nazwisko. - Chcesz?

- Dziwka?

- Przyjaciółka. - Grubas się uśmiechnął. - Cudowna przyjaciółka. No to chcesz?

- Nie, dziękuję. Spotykam się z kimś. Znam ją już...

Grubas wyjął z kieszeni telefon i zaczął naciskać klawisze. Na twarzy pojawiła mu się błękitna poświata.

- Jest teraz u siebie. Pojedźmy do niej. To fantastyczna dziewczyna, mówię ci. Masz przy sobie trzydzieści tysięcy?

- Nie. Posłuchaj - spotykam się z kimś. Nie jestem...

- W porządku. Ja zapłacę teraz, ty możesz zapłacić później. Po prostu dodasz te pieniądze do następnej koperty dla ministra. - Położył dłoń na dłoni pana Ashoka i puścił oko, a potem oparł się wygodnie i zaczął mi tłumaczyć, którędy mam jechać. Spojrzałem w lusterko twardym wzrokiem.

„Dziwka? To dla takich jak ja, proszę pana. Na pewno pan tego chce?”.

Szkoda, że nie mogłem powiedzieć tego panu Ashokowi otwarcie. Cóż, byłem tylko kierowcą.

Polecenia wydawał mi grubas. Pan Ashok milczał - siedział i popijał whisky jak chłopiec lemoniadę. Może myślał, że to tylko żarty, a może za bardzo się bał tamtego, żeby mu się sprzeciwić.

Ale ja będę bronił jego honoru do upadłego. Bo to oni go zdemoralizowali.

Grubas kazał mi jechać w pewne miejsce na Greater

Kailash, jednym z delhijskich osiedli zamieszkałych przez ludzi z wyższych sfer. Kierował mną, dotykając mi szyi zimną szklanką, co znaczyło, że mam skręcić. Dom, z potężnymi kolumnami z białego marmuru od frontu, był wielkości niedużego pałacu. Z ilości śmieci wyrzuconych za ogrodzenie wynikało, że mieszkańcy są bogaci.

Grubas otworzył drzwi samochodu i zaczął rozmawiać przez telefon. Po pięciu minutach je zamknął. Dostałem ataku kichania. Samochód wypełniała dziwna woń perfum.

- Skończ z tym kichaniem, synu, i jedź w kierunku

Jangpury.

- Tak, proszę pana. Przepraszam.

Grubas się uśmiechnął. Odwrócił się do dziewczyny, która wsiadła do samochodu, i powiedział:

- Do mojego przyjaciela Ashoka mów w hindi.

Zerknąłem w lusterko.

Rzeczywiście wyglądała jak aktorka, którą gdzieś widziałem, ale nie znałem jej nazwiska. Dopiero jak wróciłem do Bangaluru i nauczyłem się posługiwać Internetem - proszę sobie wyobrazić, Ekscelencjo, że wystarczyły mi zaledwie dwie krótkie lekcje! - znalazłem jej zdjęcie i nazwisko za pomocą Google'a.

Kim Basinger.

Właśnie to nazwisko wymienił grubas. I miał rację - dziewczyna, która wsiadła do samochodu, wyglądała dokładnie jak Kim Basinger! Była wysoka i piękna, ale najbardziej rzucały się w oczy jej włosy - lśniące złote włosy jak w reklamach szamponów!

- Jak się masz, Ashok. - Powiedziała to nienagannym hindi. Wyciągnęła rękę i ujęła dłoń pana Ashoka.

Pomocnik ministra zachichotał.

- Poszły naprzód Indie, co? Ona mówi w hindi. - Klepnął ją w udo. - Twój hindi jest coraz lepszy, kochanie.

Pan Ashok odchylił się do tyłu i za plecami dziewczyny spytał grubasa:

- To Rosjanka?

- Ją pytaj, Ashok, nie mnie. Nie wstydź się. Jesteśmy zaprzyjaźnieni.

- Ukrainka - powiedziała z obcym akcentem. - Studiuję w Indiach.

„Ukraina, muszę zapamiętać to miejsce” - pomyślałem.

„I kiedyś muszę tam pojechać!”.

- Na co czekasz, Ashok? - odezwał się grubas. - Dotknij jej włosów, są prawdziwe. Nie bój się, to przyjaciel - zachichotał. - Widzisz, to nie boli, prawda, Ashok? Powiedz coś do pana Ashoka w hindi, kochanie. On się ciebie wciąż boi.

- Jesteś przystojnym mężczyzną - oznajmiła. - Nie bój się mnie.

- Kierowco - grubas się nachylił i dotknął mnie zimną szklanką - czy to już Jangpura?

- Tak, proszę pana.

- Jak będziesz jechał Masjid Road, zauważysz hotel z wielkim neonem w kształcie litery T Tam nas zawieź.

Za dziesięć minut byliśmy na miejscu. Tego hotelu nie można przeoczyć, ogromne T świeci na nim jak latarnia w ciemnościach.

Grubas wziął złotowłosą i udał się do recepcji, gdzie go serdecznie przywitał menedżer. Pan Ashok siedł za nimi, rozglądając się na boki niczym chłopiec, który zamierza zrobić coś bardzo niedobrego.

Minęło pół godziny. Uderzyłem potworka. Ścisnąłem kierownicę, potem zacząłem ją szarpać.

Ciągle miałem nadzieję, że przybiegnie, wymachując rękami i krzyząc: „Balram, o mało nie popełniłem błędu!

Ratuj mnie - odjeżdżajmy natychmiast!”.

Pan Ashok wyszedł z hotelu godzinę później, sam. Wyglądał, jakby był chory.

- Spotkanie skończone, Balram - powiedział i głowa opadła mu na oparcie siedzenia. - Jedziemy do domu.

Trzymałem palec na kluczyku, ale przez moment zwlekałem z jego przekręceniem.

- Balram, powiedziałem, że jedziemy do domu!

- Tak, proszę pana.

Wróciliśmy do Gurgaonu i pan Ashok chwiejnym krokiem poszedł do windy. Zostałem w samochodzie. Oczekałem pięć minut i pojechałem z powrotem do Jangpury, pod hotel z wielkim T.

Zaparkowałem na rogu i obserwowałem drzwi. Chciałem, żeby wyszła.

Obok mnie zatrzymała się ryksza. Rykszarz, niski, nieogolony, chudy jak patyk, wyglądał na śmiertelnie zmęczonego. Wytrzeł sobie szmatą twarz i nogi i ułożył się na ziemi do snu. Na siedzeniu rykszy leżała ulotka reklamowa:

MASZ KŁOPOT Z NADWAGĄ?

DZWOŃ DO JIMMY’EGO SINGHA

Z SIŁOWNI METRO: 9811799Znad tego tekstu uśmiechał się do mnie Amerykanin z ogromnymi białymi mięśniami - maskotka siłowni. Rykszarz głośno chrapał.

Ktoś w hotelu musiał mnie zauważyć, bo otworzyły się drzwi i stanął w nich policjant. Popatrzył w moją stronę i zaczął schodzić po schodach.

Przekręciłem kluczyk i wróciłem do Gurgaonu.

Po Bangalurze też jeżdżę nocą, ale nigdy nie mam tu uczucia, które miałem w Delhi - że jeśli wtedy coś mnie gryzie, to miasto o tym wie i gryzie się tym samym.

Tamtej nocy moje serce przepelniała gorycz. Miasto o tym wiedziało - i w przyćmionym pomarańczowym świetle latarni również było mu gorzko.

„Powiedz mi o wojnie domowej” - poprosiłem Delhi.

„Powiem” - odrzekło.

Na wysepce na środku drogi wywrócona do góry nogami misa na kwiaty; obok niej siedzą z otwartymi ustami trzej mężczyźni. Czwarty, stary, z brodą i w białym turbanie, mówi do nich, trzymając palec w górze. Oślepiają ich reflektory przejeżdżających samochodów, hałas głuży słowa. Stary wygląda jak prorok w środku miasta, niedostrzeżony przez nikogo oprócz jego trzech apostołów. Zostaną jego trzema generałami. Wywrócona misa na kwiaty to pewnego rodzaju symbol.

„Powiedz mi o krwi na ulicach” - poprosiłem Delhi.

„Powiem” - odrzekło.

Widziałem innych mężczyzn, dyskutujących, rozmawiających i czytających w nocy, samotnych i w grupkach pod latarniami. W przyćmionych światłach Delhi widziałem ich tamtej nocy setki, pod drzewami, koło świątyń, na skrzyżowaniach, na ławkach, zaglądających do gazet, świętych ksiąg, czasopism, ulotek partii komunistycznej. O czym czytali? O czym rozmawiali?

„Powiedz, o czym jeszcze?”.

„O końcu świata”.

„A jeśli będzie krew na ulicach, to przyrzeknij, że on będzie pierwszy, ten gruby człowiek z podwójnym podbródkiem”.

Prawie nagi żebrak siedzący na skraju drogi, pokryty skorupą brudu, z włosami wijącymi się bezładnie w długich splotach niczym węże, spojrzał mi w oczy.

„Przyrzekam”.

W murze otaczającym blok Buckingham Towers B osadzono dla ochrony przed złodziejami kolorowe odłamki szkła. W świetle reflektorów te odłamki błyszczały i mur zamieniał się w bajecznie kolorowego potwora o szklanym kręgosłupie.

Portier gapił się na mnie, kiedy wjeżdżałem. W jego oczach połyskiwały rupie.

Po raz drugi widział, że wyjeżdżałem i wracałem sam.

Na parkingu wysiadłem i ostrożnie zamknąłem drzwi po stronie kierowcy. Otworzyłem drzwi dla pasażera, wsiadłem i dotknąłem siedzenia. Trzy razy przesunąłem dłonie po skórzanym obiciu i wtedy znalazłem to, czego szukałem.

Podniosłem je do światła.

Cieniutkie pasemko złotych włosów!

Mam je w biurku do dziś.

NOC

SZÓ STA

Marzenia bogatych i marzenia biednych nigdy się nie pokrywają, tak myślę.

No bo biedni całe życie marzą, żeby mieć pod dostatkiem jedzenia i wyglądać jak bogaci. A o czym marzą bogaci?

Żeby schudnąć i wyglądać jak biedni.

Teren wokół bloku Buckingham Towers B zamienia się co wieczór w plac ćwiczeń. Pulchni, brzuchaci panowie i jeszcze pulchniej sze i bardziej brzuchate panie, z wielkimi plamami potu pod pachami, odrabiają swoje cowieczorne marsze.

No bo od tych wszystkich nocnych przyjęć, od tych drinków i przekąsek bogaci w Delhi zwykle tyją. Więc żeby schudnąć, maszerują.

A gdzie człowiek powinien maszerować? Na świeżym powietrzu - nad rzeką, w parku, pod lasem.

Lecz delhijscy bogacze, w przejawie właściwego sobie u rbanistycznego geniuszu, zbudowali tę część Gurgaonu bez parków, trawników, placów zabaw - tylko bloki, maile, hotele, bloki... Są chodniki, ale po to, żeby biedni mieli gdzie mieszkać. Więc jeśli ktoś chce trochę pomaszerować, musi to robić na wybetonowanym podwórku bloku.

A kiedy państwo maszerują dookoła bloku, niedoszłe grubasy, które zostały ich chudymi służącymi - przeważnie kierowcy - stoją w różnych miejscach na trasie, z butelkami wody mineralnej i ręcznikami w rękach. Po każdym okrążeniu pan zatrzymuje się przy swoim służącym, chwyta butelkę - łyk, łyk - chwyta ręcznik - szast-prast - i wio, następne kółko.

W rogu podwórka stał Różowowargi, trzymając butelkę i przepocony ręcznik. Co kilka minut odwracał się do mnie z błyskiem w oku - jego szef, branża stalowa, który jeszcze dwa tygodnie temu był łysy, teraz paradował z gęstą, czarną czupryną, kosztownym dziełem perukarza, po które jeździł aż do Anglii. Było to wtedy głównym tematem rozmów małego kręgu - inni kierowcy proponowali nawet Różowowargiemu dziesięć rupii, żeby zastosował jakąś starą sztuczkę - niespodziewane hamowanie albo pełny gaz po wybojach - żeby chociaż raz jego panu spadła peruka.

Mały krąg co wieczór ujawniał i szczegółowo analizował sekrety panów, ale jeśli ktoś kierował dyskusję na rozwody, wiedział, że będzie miał do czynienia ze mną. Nikomu nie pozwalałem naruszać prywatności pana Ashoka.

Stałem o krok od Różowowargiego. W ręku butelka, na ramieniu mokry ręcznik.

Pan Ashok właśnie kończył kółko - czułem zbliżający się zapach jego potu. To było okrążenie numer trzy. Wziął butelkę, opróżnił, wytarł twarz ręcznikiem i przewiesił mi go przez ramię.

- Dość, Balram. Przynieś ręcznik i butelkę na górę, dobrze?

- Tak, proszę pana - powiedziałem, a on poszedł w stronę bloku. Maszerował raz albo dwa razy na tydzień, ale skutków nocnych hulanek to najwidoczniej nie równoważyło - pod białym mokrym T-shirtem sterczał mu pokaźny brzuch. Pan Ashok był wtedy odrażający.

Dałem znak Różowowargiemu i zszedłem na parking.

Dziesięć minut później poczułem pot faceta od stali i usłyszałem kroki. Przyszedł Różowowargi. Zawołałem go do hondy city - to było jedyne miejsce na świecie, gdzie czułem się całkiem bezpieczny.

- O co chodzi, wsioku? Chcesz jakieś pisemko?

- Nie. Chcę coś innego.

Kucnąłem i skuliłem się za jednym z kół samochodu.

Poskrobałem paznokciem w rowku w oponie. On też przykucnął.

Pokazałem mu pasemko złotych włosów - miałem je owinięte na przegubie jak bransoletkę. Podniósł moją rękę do nosa, potarł włosy między palcami, powąchał.

- Nie ma problemu. - Puścił oko. - Mówiłem ci, że twój pan zostanie sam.

- Nie mów mi o nim! - Chwyciłem go za szyję.

- Zwariowałeś? - Wyrwał się. - Chciałeś mnie udusić?

Poskrobałem oponę.

- Ile to będzie kosztowało?

- To zależy. Pierwszorzędna czy byle jaka? Dziewica?

- Wszystko jedno. Musi tylko mieć złote włosy - jak w reklamach szamponu.

- Najmniej dziesięć, dwanaście tysięcy.

- To za dużo. On zapłaci najwyżej cztery tysiące siedemset.

- Sześć pięćset, wsioku. Minimum. Białej skórze należy się szacunek.

- W porządku.

- Kiedy chce ją mieć?

- Niedługo. Dam ci znać. I jeszcze coś - powiedz mi jeszcze coś.

Przyłożyłem policzek do opony i wciągnąłem zapach gumy. Żeby się poczuć silnym.

- Na ile sposobów kierowca może oszukiwać swojego pana?

W owiniętych w celofan książkach o biznesie często są krótkie przerywniki. Żeby Pana nie zanudzić, Panie Jiabao, w mojej opowieści o narodzinach nowoczesnego przedsiębiorcy też umieszczę teraz przerywnik.

JAK PRZEDSIĘBIORCZY KIEROWCA
MOŻE TROCHĘ DOROBIC

1. Pod nieobecność pana może za pomocą rurki i lejka ściągać z samochodu benzynę i potem ją sprzedawać.

2. Kiedy pan każe mu oddać samochód do naprawy, może się udać do skorumpowanego mechanika, który zawyży cenę i podzieli się nadwyżką. Oto kilka przedsiębiorczych warsztatów, które pomagają przedsiębiorczym kierowcom:

Lucky Mechanics - Lado Serai niedaleko Qutubu,

R.V. Repairs - Greater Kailash Part Two,

Nilofar Mechanics - Gurgaon, DLF Phase One.

3. Powinien poznać zwyczaje pana, a potem zadać sobie pytanie: „Czy mój pan jest bałaganiarzem? Jeśli tak, to jak mógłbym to wykorzystać?”. Jeśli na przykład pan zostawia w samochodzie puste butelki, to kierowca może sprzedawać butelki po whisky ludziom podrabiającym markowe trunki.

Najwięcej dają za czarnego johnniego walkera.

4. Jak już nabierze doświadczenia i pewności siebie i jest gotów spróbować czegoś bardziej ryzykownego, może z samochodu pana zrobić niezależną taksówkę. Świetnie się do tego nadaje trasa Gurgaon-Delhi, którą pokonuje wielu Romeów odwiedzających dziewczyny pracujące w informacji telefonicznej. Jeśli przedsiębiorczy kierowca ma pewność, że pan nie zauważy nieobecności samochodu - oraz że na drodze nie będzie któregoś z kolegów pana - może w wolnym czasie podwozić ludzi za pieniądze.

W nocy leżałem pod moskitierą przy zapalonym świetle i obserwowałem łązące po siatce czarne karaluchy z czułkami rozedrganymi jak moje nerwy. Tuż nad głową wylądował mi następny, ale byłem tak wzburzony, że nawet nie mogłem się zdobyć na to, żeby wyciągnąć rękę i go zgnieść.

„Kiedy ci to kazali podpisać, powinieneś był poprosić o pieniądze. O tyle pieniędzy, żeby wystarczyło na dwadzieścia dziewczyn o białej skórze”. Odleciał. W tym samym miejscu wylądował następny.

„Dwadzieścia?”.

„Sto. Dwieście. Trzysta, tysiąc, dziesięć tysięcy złotowłosych dziwek. A i to byłoby za mało. Nawet na początek”.

Przez następne dwa tygodnie robiłem takie rzeczy, że jeszcze dziś wstydę się do nich przyznać. Oszukiwałem pracodawcę. Kradłem jego benzynę. Oddałem jego samochód do mechanika, który wystawił rachunek za niewykonaną naprawę. W drodze powrotnej do Buckingham B trzy razy podwoziłem kogoś za opłatą.

A najdziwniejsze jest to, że ile razy spojrzałem na pieniądze zarobione na oszukiwaniu go, to co czułem zamiast winy?

Wściekłość.

Im więcej mu kradłem, tym lepiej wiedziałem, ile on ukradł mnie.

Wreszcie hodowałem sobie brzuch - że się posłużę analogią, jakiej użyłem wcześniej, opisując Panu indyjską politykę.

I wtedy któregoś popołudnia, kiedy pan Ashok powiedział, że nie będzie mnie już tego dnia potrzebował, dla kurażu wypilem duszkiem dwie duże szklanki whisky i poszedłem do pomieszczeń dla służby. Różowowargi siedział pod plakatem z aktorką - ilekroć jego pan „wałnął” jakąś aktorkę, on wieszał na ścianie plakat z jej zdjęciem - i grał w karty z innymi kierowcami.

- Mówcie, co chcecie, ale ja wiem, że ci dowcipnisie drugi raz wyborów nie wygrają.

Podniósł wzrok i mnie zobaczył.

- Patrzcie, kto to przyszedł. Guru od jogi składa nam wizytę. Witamy szanownego pana.

Wyszczyrzyli zęby. Wyszczyrzyłem zęby i ja.

- Dyskutujemy o wyborach, wsioku. Tu nie jest jak w Ciemności. Wyborów się nie fałszuje. Będziesz tym razem głosował?

Kiwnąłem palcem, żeby ze mną poszedł.

Pokręcił głową.

- Później, wsioku. Za dobrze się przy tej dyskusji bawię.

Machnąłem brązową kopertą. Natychmiast odłożył karty.

Uparłem się, że pójdziemy na parking. Przeliczył pieniądze pod osłoną hondy city.

- W porządku, wsioku. Zgadza się. A gdzie twój pan?

Nie zawieszysz go?

- Sam jestem swoim panem.

Minutę trwało, zanim zrozumiał. Później rozdziawił usta, podbiegł i mnie uściskał.

- Brawo, wsioku! - Uściskał mnie jeszcze raz.

On też był z Ciemności - a człowiek odczuwa dumę, kiedy widzi, że ziomek wykazuje ambicję.

Zawiózł mnie qualisem - qualisem swojego pana - do hotelu. Po drodze wyjaśnił, że kiedy pana nie ma w pobliżu, świadczy nieformalne usługi taksówkarskie.

Hotel był w South Extension Part Two, jednej z najlepszych dzielnic handlowych w Delhi. Różowowargi zamknął samochód, uśmiechnął się do mnie uspokajająco i poszliśmy do

repcji. Mężczyzna w białej koszuli i czarnej muszce studiował gruby rejestr, przesuując palec od wpisu do wpisu. Kiedy Różowowargi wytłumaczył mu na ucho cel naszego przybycia, popatrzył na mnie i nie odrywając palca od papieru, pokręcił głową.

- Kobieta o złotych włosach? Dla niego?

Oparł się obiema rękami o kontuar i wychylił do przodu, żeby mnie obejrzeć od stóp do głów.

- Dla niego? - powtórzył.

Różowowargi się uśmiechnął.

- Posłuchaj. Delhijscy bogacze mogą mieć wszystkie złotowłose kobiety, jakie tylko chcą; licho wie, czego im się zachce za chwilę. Zielonowłosych z Księżyca? Teraz w kolejce do białych kobiet ustawia się klasa robotnicza. Ten facet to przyszłość twojej branży, mówię ci. Potraktuj go dobrze.

Menedżer przez chwilę się wahał, potem z hukiem zamknął księgę i wyciągnął do mnie otwartą dłoń.

- Pięćset rupii ekstra. - Uśmiechnął się szeroko. - Dopłata od klasy robotniczej.

- Nie mam tyle!

- Pięćset rupii albo nie mamy o czym gadać.

Wyjąłem trzysta rupii, ostatnie pieniądze, jakie miałem.

Wziął je, poprawił muszkę i ruszył ku schodom. Różowowargi poklepał mnie po ramieniu.

- Powodzenia, wsioku. Zrób to za nas wszystkich!

Wbiegłem na schody.

Pokój 114 A. Menedżer przytknął ucho do drzwi.

- Anastazja? - wyszeptał.

Zapukał, kilka razy przyłożył ucho do drzwi.

- Jesteś tam, Anastazja?

Otworzył drzwi. Żyrandol, okno, zielone łóżko - i siedząca na łóżku złotowłosa dziewczyna.

Westchnąłem. Ta wcale nie przypominała Kim Basinger. Nie była nawet w połowie tak ładna. I w tym momencie dotarło do mnie z całą mocą - jak jeszcze nigdy przedtem - że bogaci zawsze dostają co najlepsze, a my tylko resztki.

Menedżer pokazał mi obie dłonie i dwukrotnie je zamknął i otworzył.

Dwadzieścia minut.

Potem zamarkował uderzenie pięścią, po czym błyszczącym czarnym butem kopnął powietrze.

- Kapujesz?

To mi groziło po dwudziestu minutach.

- Tak.

Wyszedł. Kobieta o złotych włosach nadal na mnie nie patrzyła.

Ledwie zebrałem się na odwagę i usiadłem obok niej, rozległo się walenie do drzwi.

- Kiedy to usłyszysz - koniec zabawy! Jasne? - To był głos menedżera.

- Jasne!

Przysunąłem się do kobiety na łóżku. Ani protestu, ani zachęty. Wziąłem pasmo jej włosów w dłoń i delikatnie pociągnąłem, żeby się odwróciła do mnie twarzą. Wyglądała na bardzo zmęczoną, wokół oczu miała ślady, jakby ją ktoś podrapał.

Posłała mi szeroki uśmiech - dobrze go znałem: tak się uśmiecha sługa do pana.

- Jak ci na imię? - spytała w hindi.

Ona też! W tym kraju, na Ukrainie, muszą mieć szkołę hindi dla dziewcząt, słowo daję!

- Munna.

Znów się uśmiechnęła.

- To nie jest prawdziwe imię. Munna znaczy „chłopiec”.

- Racja. Ale takie mam imię. Rodzina nie dała mi innego.

Roześmiała się - dźwięcznie, srebrzyście, potrząsając złotymi lokami. Serce mi biło jak młotem. Zapach jej perfum wkręcał mi się w mózg.

- Wiesz co? Kiedy byłem mała, mówili na mnie po prostu „dziewczynka”. Moja rodzina zrobiła to samo co twoja!

- No popatrz! - powiedziałem i usiadłem na łóżku z podwiniętymi nogami.

Zaczęliśmy rozmawiać. Stwierdziła, że w hotelu nie cierpi komarów i menedżera. Pokiwałem głową. Zamieniliśmy jeszcze kilka zdań.

- Nieźle wyglądasz i całkiem miły z ciebie facet - powiedziała w pewnej chwili i wsunęła mi palce we włosy.

Zeskoczyłem z łóżka.

- Dlaczego tu jesteś, siostrze? Jeśli chcesz opuścić hotel, czemu tego nie zrobisz? Nie przejmuj się menedżerem. Ja cię obronię! Ja, twój brat, Balram Halwai!

Jasne, że tak powiedziałem - w hinduskim filmie, który o mnie nakręca.

- Siedem tysięcy kochanych rupii za dwadzieścia minut!

Pora zaczynać!

To powiedziałem w rzeczywistości.

Położyłem się na niej. Czas zamoczyć dziób. Przeczesałem palcami złote loki.

I wtedy wrzasnąłem. Nie wrzeszczałbym głośniejsze, choćbym zobaczył jaszczurkę.

- Co się stało, Munna? - spytała.

Zeskoczyłem z łóżka i dałem jej w twarz.

Boże! Te cudzoziemki, jak chcą, to potrafią się drzeć.

Natychmiast - jakby cały czas stał na korytarzu z uchem przy drzwiach - wpadł do pokoju menedżer.

- One nie są naprawdę złote - krzyknąłem, szarpiąc dziewczynę za włosy.

Przy skórze były czarne! Ona się ufarbowała!

Wzruszył ramionami.

- A czego się spodziewałaś za siedem tysięcy? Prawdziwe kosztują czterdzieści, pięćdziesiąt.

Rzuciłem się na niego, złapałem go za twarz i rąbnąłem jego głowę we framugę.

- Oddawaj moje pieniądze!

Kobieta z tyłu krzyknęła. Odwróciłem się - i to był błąd. Powinienem był najpierw załatwić menedżera.

Dziesięć minut później, z podrapaną i posiniaczoną twarzą, wytoczyłem się przed hotel. Drzwi za moimi plecami zatrzasnęły się z hukiem.

Różowowargi nie czekał, musiałem jechać do domu autobusem. Przez całą drogę trzymałem się za głowę. Siedem tysięcy rupii! - płakać mi się chciało. „Wiesz, ile bawolic mógłbyś za to kupić?”. Czuję babcine palce targające mnie za uszy.

Kiedy wreszcie po godzinie w korku dotarłem do Buckingham Towers, przemyłem nad zlewem ranę na głowie i dziesięć razy splunąłem. Do diabła z tym wszystkim - podrapałem się w kroku. To mi było potrzebne. Poczłapałem do pokoju, kopnięciem otworzyłem drzwi i zamarłem.

Ktoś był pod moskitierą. Widziałem sylwetkę w pozycji lotosu.

- Spokojnie, Balram. Wiem, co robiłeś.

Męski głos. Pierwsza myśl: Dobrze chociaż, że to nie babcia.

Pan Ashok uniósł róg siatki i spojrzał na mnie z szelmowskim uśmiechem.

- Wiem, co robiłeś.

- Słucham?

- Wzywałem cię, ale się nie zgłaszałeś, więc zszedłem na dół. Wiem, co robiłeś... od tego drugiego kierowcy, z różowymi wargami.

Serce mi waliło. Opuściłem głowę.

- Mówił, że jesteś w świątyni i modlisz się za moje zdrowie.

- Tak, proszę pana - potwierdziłem z ulgą. Pot spływał mi po twarzy. - Tak jest.

- Wejdz pod moskitierę - powiedział łagodnym głosem.

Usiadłem obok niego. Patrzył na karaluchy chodzące nad naszymi głowami. - Żyjesz w norze, Balram. Nie wiedziałem. Przykro mi.

- Nic nie szkodzi, proszę pana. Przywykłem.

- Dam ci trochę pieniędzy, Balram. Jutro znajdziesz sobie lepsze miejsce, dobrze?

Chwycił mnie za rękę.

- Co znaczą te czerwone ślady? Szczypiesz sam siebie?

- Nie, proszę pana. To choroba skóry. Mam je też tutaj, za uchem... o, widzi pan te różowe miejsca?

Przybliżył się i zapach jego płynu po goleniu wypełnił mi nozdrza. Delikatnie odgiął mi ucho palcami.

- Że też wcześniej nie zwróciłem na to uwagi. Codziennie za tobą siedzę, ale nigdy...

- Mnóstwo ludzi na to choruje, proszę pana. Mnóstwo biednych ludzi.

- Naprawdę? Nie zauważyłem. Nie możesz tego wyleczyć?

- Nie, proszę pana. Chorób biedaków nigdy się nie da wyleczyć. Mój ojciec miał gruźlicę i ona go zabiła.

- Żyjemy w dwudziestym pierwszym wieku, Balram.

Wszystko można wyleczyć. Idź do szpitala i niech ci to wyleczą. Rachunek niech przyślą mnie.

- Dziękuję, proszę pana - powiedziałem. - Czy chce pan, żebym pana gdzieś zawiózł?

Otworzył usta i bez słowa zamknął. Zrobił tak kilka razy. Wreszcie powiedział:

- Żyję całkiem nie tak, jak powinienem, Balram. Wiem o tym, ale brak mi odwagi, żeby coś zmienić. Po prostu jestem człowiekiem... bez jaj.

- Niech pan tyle o tym nie myśli, proszę pana. I błagam, chodźmy na górę. Tu nie jest miejsce dla osoby z pana sfery.

- Pozwalam się ludziom wykorzystywać, Balram. Przez całe życie robię nie to, co bym chciał. Ja...

Spuścił głowę; wyglądał na wyczerpanego.

- Powinien pan coś zjeść, proszę pana - powiedziałem.

- Jest pan zmęczony.

Uśmiechnął się z miną ufnego dziecka.

- Zawsze się o mnie troszczysz, Balram. Tak, jestem głodny. Ale nie chcę znowu jechać do jakiegoś hotelu. Mam dość hoteli. Zabierz mnie tam, gdzie sam chodzisz jeść, Balram.

- Słucham?

- Mam dość tego, co zwykle jem. Mam dość życia, jakie prowadzę. My, bogaci, się zagubiliśmy, Balram. Chcę być prostym człowiekiem jak ty.

- Tak jest, proszę pana.

Wyszliśmy na ulicę. Zaprowadziłem go do herbaciarni naprzeciwko.

- Zamów coś dla nas, Balram. Jedzenie prostych ludzi.

Zamówiłem ketmię, kalafior, rzodkiewki, szpinak i daal. Dość, żeby nakarmić całą rodzinę albo jednego bogatego.

Jadł, czekał i jadł dalej.

- Fantastyczne jedzenie. I tylko dwadzieścia pięć rupii!

Wy się świetnie odżywiacie!

Kiedy skończył, zamówiłem mu lassi. Wypił łyk i się uśmiechnął.

- Smakuje mi twoje jedzenie!

„Mnie twoje również” - pomyślałem i też się uśmiechnąłem.

- Dokumenty rozwodowe wkrótce nadejdą. Tak powiedział adwokat.

- To dobrze.

- Mamy już zacząć szukać?

- Innego adwokata?

- Nie, innej dziewczyny.

- Za wcześnie, Mukesh. Od jej wyjazdu minęły dopiero trzy miesiące.

Zawiozłem pana Ashoka na dworzec kolejowy. Znowu przyjechał z Dhanbadu Mangusta. Teraz wiozłem ich do mieszkania.

- Dobrze. Nie śpiesz się. Ale musisz się znowu ożenić. Jeśli pozostaniesz rozwodnikiem, ludzie nie będą cię szanowali. Nie będą nas szanowali. Takie mamy społeczeństwo. Posłuchaj mnie. Poprzednim razem nie posłuchałeś i ożeniłeś się z dziewczyną spoza naszej kasty, spoza religii - nawet nie chciałeś posagu od jej rodziców. Tym razem ja ci wybiorę dziewczynę.

Pan Ashok się nie odezwał, ale byłem pewien, że zaciska zęby.

- Widzę, że jesteś zdenerwowany - powiedział Mangusta. - Pomówimy o tym później.

A teraz weź to. - Podał bratu czerwoną torbę, którą przywiózł z Dhanbadu.

Pan Ashok otworzył torbę i zajrzał do środka, a Mangusta natychmiast ją zamknął.

- Zwariowałeś? Nie otwieraj jej tutaj. To dla Mukeshana, tego grubego asystenta. Znasz go, prawda?

- Tak, znam. - Pan Ashok wzruszył ramionami. -

Czyżbyśmy jeszcze tych skurwysynów nie przekupili?

- Minister chce więcej. To czas wyborów. Zawsze dajemy pieniądze, jak są wybory. Zazwyczaj obu stronom, ale teraz na pewno wygra rząd. Opozycja jest w rozsypce, więc musimy się opłacać tylko rządowi, co jest dla nas korzystne. Pierwszy raz pójde z tobą, ale to dużo pieniędzy, więc pewnie będziesz musiał pójść drugi raz i może trzeci.

A oprócz tego trzeba też dać w łapę paru urzędnikom. Rozumiesz?

- To chyba całe moje zajęcie w Delhi. Brać pieniądze z banku i przekupywać ludzi. Czy po to wróciłem do Indii?

- Nie ironizuj. I pamiętaj, żeby za każdym razem zabierać torbę z powrotem. To dobra torba, włoska. Nie ma powodu, żebyśmy im robili dodatkowy podarunek. Niech to diabli! Następnym pieprzony korek.

- Balram, puść jeszcze raz Stinga. To najlepsza muzyka na korki.

- On wie, kto to Sting?

- Jasne. Wie, że to moje ulubione CD. Pokaż płytę Stinga, Balram. Widzisz, widzisz?

Zna Stinga!

Włożyłem płytę do odtwarzacza.

Upłynęło dziesięć minut, a korek ani drgnął. Zamiast

Stinga włożyłem Enyę, zamiast Enyi Eminema. Do samochodu zaczęli podchodzić handlarze - z koszami pomarańczy, truskawkami w plastikowych pojemnikach, gazetami, powieściami po angielsku. Ruszyli do ataku żebracy. Jeden z żebraków chodził między samochodami, dźwigając na ramionach drugiego, bez nóg poniżej kolan. Beznogi jęczał i stękał, jego towarzysz stukał albo drapał w szybę.

Niewiele myśląc, opuściłem szybę - pękła skorupa jaja.

Wysunąłem rękę, kaleka wziął rupię i zasalutował; zamknąłem okno. Jajo znów było szczelne.

Rozmowa na tylnym siedzeniu ucichła.

- Kto ci to kazał zrobić, do cholery?

- Przepraszam.

- Czemu, u diabła, dałeś temu żebrakowi rupię? Co za tupet! Wyłącz muzykę.

Tego wieczoru bracia nieźle się na mnie wyżyli. Chociaż zwykle rozmawiali mieszaniną hindi i angielskiego, teraz zaczęli mówić czystym hindi - wyłącznie po to, żebym wszystko rozumiał.

- Czy nie dajemy pieniędzy, kiedy idziemy do świątyni?

- odezwał się starszy oprawca. - Rokrocznie wspomagamy instytut rakowy. Ja kupuję pocztówki, które roznoszą uczniowie.

- Rozmawiam niedawno z naszym księgowym, a on mówi: „Proszę pana, nie ma pan już pieniędzy w banku.

Wszystko wydane”. Czy wiesz, jakie wysokie są w tym kraju podatki? - powiedział młodszy. - Jeśli rozdamy wszystkie pieniądze, co będziemy jedli?

Wtedy zdałem sobie sprawę, że właściwie nie ma między nimi różnicy. Obaj byli nieodrodnymi synkami tatusia.

Przez resztę drogi do domu Mangusta cały czas znacząco patrzył w lusterko, jakby się spodziewał dobrej zabawy.

Kiedy dojechaliśmy do Buckingham B, powiedział:

- Chodź na górę, Balram.

- Tak, proszę pana.

W windzie staliśmy obok siebie. Otworzył drzwi mieszkania i pokazał palcem podłogę.

- Rozgość się.

Skuliłem się pod zdjęciem Cuddlesa i Puddlesa, ściskając kolanami dłonie. On usiadł na fotelu, podparł twarz ręką i mi się przyglądał.

Zmarszczył brwi. Widziałem, że w jego głowie rodzi się jakaś myśl.

Podniósł się z fotela, podszedł do mnie i przyklęknął na jednym kolanie. Kilka razy wciągnął nosem powietrze.

- Twój oddech pachnie anyżkiem.

- Tak, proszę pana.

- Ludzie to żują, żeby ukryć zapach alkoholu. Piłeś?

- Nie, proszę pana. Moja kasta to abstynenci.

Węszył coraz bliżej.

Nabrałem głęboko powietrza, zatrzymałem je w czeluściach brzucha i jednym czknięciem wyrzuciłem mu prosto w twarz.

- To obrzydliwe, Balram - powiedział ze wstrętem.

Wstał i cofnął się o dwa kroki.

- Przepraszam.

- Wynoś się!

Wyszedłem. Byłem zlany potem.

Na drugi dzień zawiozłem jego i pana Ashoka do New

Delhi, do domu jakiegoś ministra czy urzędnika. Wyszli z czerwoną torbą. Później do hotelu na lunch - „żadnych ziemniaków”, poinstruowałem kogo trzeba - a potem pojechałem z Mangustą na stację.

Jak zwykle wysłuchałem zakazów - nie włączać klimatyzacji, nie słuchać muzyki, nie marnować paliwa - i patrzyłem z peronu, jak je kanapkę. Gdy pociąg odjechał, zacząłem klaskać i tańczyć. Dwaj bezdomni, którzy to widzieli, roześmiali się i też zaczęli klaskać. Jeden z nich zaśpiewał piosenkę z najnowszego hinduskiego filmu i razem tańczyliśmy na peronie.

Następnego ranka byłem w mieszkaniu z panem Ashokiem, który majstrował przy czerwonej torbie i szykował się do wyjścia. Zadzwoił telefon.

- Zniosę torbę na dół, proszę pana - powiedziałem. -

Będę czekał w samochodzie.

Pan Ashok się zawahał, ale podał mi torbę.

- Za chwilę tam będę.

Zamknąłem za sobą drzwi mieszkania i poszedłem do windy. Nacisnąłem guzik i czekałem. Torba była ciężka, przełożyłem ją do drugiej ręki.

Winda dotarła na trzecie piętro.

Spojrzałem w bok. Z balkonu dwunastego piętra nawet w biały dzień było widać jaskrawe światła gurgaonskich maili. Przed tygodniem otworzono kolejny. Następny był w budowie. Miasto rosło.

Winda szybko jechała do góry, zbliżała się do dziesiątego piętra.

Odwróciłem się i pobiegłem.

Kopnąłem drzwi do wyjścia ewakuacyjnego i popędziłem w dół ciemnymi schodami; w biegu zajrzałem do torby.

Klatkę schodową natychmiast wypełniło olśniewające światło - światło, jakie emanuje tylko z pieniędzy.

Kiedy dwadzieścia pięć minut później pan Ashok zjechał na dół i szedł do samochodu, naciskając klawisze telefonu, czerwona torba czekała na niego na siedzeniu.

Zamknąłem drzwi, a ja wziąłem do ręki błyszczącą srebrną płytę i spytałem:

- Puścić Stinga, proszę pana?

Ruszyliśmy. Ze wszystkich sił starałem się nie patrzeć na czerwoną torbę - to była dla mnie taka sama tortura, jak gdy siedziała tam pani Pinky w krótkiej spódnicy.

Na czerwonym świetle spojrzałem w lusterko wsteczne.

Zobaczyłem swoje gęste wąsy i szczękę. Dotknąłem lusterka. Kąt widzenia się zmienił. Teraz ujrzałem regularne łuki brwi wyginające się po dwu stronach mocnego, zmarszczonego czoła; niżej błyszczały czarne oczy. Oczy kota obserwującego zdobycz.

„No dalej, popatrz na czerwoną torbę, Balram. Przecież to nie kradzież”.

Pokręciłem głową.

„A nawet gdybyś miał ją ukraść, Balram, to nie byłaby to kradzież”.

„Jak to?”. Spojrzałem na postać w lusterku.

„Pomyśl - pan Ashok daje pieniądze tym wszystkim politykom w Delhi, żeby go zwolnili z podatku, który powinien zapłacić. A do kogo w ostatecznym rozrachunku należy ten podatek? Do kogo, jeśli nie do zwykłych ludzi w tym kraju - jeśli nie do ciebie?”.

- Co tam, Balram? Mówiłeś coś?

Stuknąłem w lusterko. Znow pokazały się moje wąsy, a oczy zniknęły. Teraz widziałem tylko własną twarz.

- Ten facet przed nami jedzie nieostroźnie, proszę pana.

Nie mogłem się powstrzymać.

- Spokojnie, Balram. Jesteś dobrym kierowcą. Nie daj się wyprowadzić z równowagi złemu.

Miasto znało moją tajemnicę. Pewnego ranka Dom

Prezydenta zasnuł smog, tak że prawie nie było go widać z drogi. Wydawało się, jakby tego dnia w Delhi nie było rządu. I ów gęsty smog, który skrył premiera i jego wszystkich ministrów, mówił do mnie:

„W ogóle nie zobaczą, co będziesz robił. Już ja się o to postaram”.

Jechałem wzdłuż czerwonego muru parlamentu. Z wieżyczki strażniczej obserwował mnie uzbrojony człowiek.

Kiedy się zbliżyłem, odłożył broń.

„Dlaczego miałbym cię powstrzymać? Sam bym to zrobił, gdybym mógł”.

W nocy szła ulicą kobieta z celofanową torbą. W światłach reflektorów zobaczyłem, że niesie w niej cztery duże ciemne owoce - i każdy z tych owoców mówił: „Już to zrobiłeś. W głębi serca już to zrobiłeś”. Potem światła się przesunęły, celofan zmatowiał, cztery duże ciemne owoce zniknęły.

Moją tajemnicę znała nawet jezdnia - gładka, błyszcząca delhijska jezdnia, najlepsza w całych Indiach.

Któregoś dnia kierowca samochodu stojącego obok mnie na światłach opuścił szybę i splunął. Wcześniej żuł paan. Na rozpalonej słońcem jezdni pojawiła się krwawoczerwona kałuża płwociny i zaczęła skwierczeć i rozpełzać się jak żywe stworzenie. Po chwili splunął jeszcze raz - i na jezdni pojawiła się druga. Wpatrzyłem się w dwie kałuże czerwonej rozpełzającej się śliny i wtedy jakby

Kałuża z lewej powiedziała: Ale kałuża z prawej powiedziała:

Twój ojciec chciał, żebyś był uczciwym człowiekiem.

Twój ojciec chciał, żebyś był mężczyzną.

Pan Ashok nie bije cię ani na ciebie nie pluje, jak to robili ludzie twojemu ojcu.

Pan Ashok zmusił cię, żebyś wziął na siebie winę, kiedy jego żona zabiła dziecko na drodze.

Pan Ashok dobrze ci płaci,

4000 rupii miesięcznie. Daje ci podwyżki, chociaż o to nie prosisz.

Pracujesz za psie pieniądze.

Mieszkaś w wielkim mieście.

Nie możesz zaoszczędzić? Nic.

Pamiętasz, co Bawół zrobił rodzinie służącego? Jak uciekniesz, pan Ashok poprosi ojca, żeby to samo zrobił twojej.

Na samą myśl, że pan Ashok mógłby grozić twojej rodzinie, krew się w tobie burzy!

Odwrociłem wzrok od dwóch czerwonych kałuż. Spojrzałem na czerwoną torbę, która widniała pośrodku lusterka wstecznego niczym odsłonięte serce hondy city.

Tego dnia pan Ashok wysiadł przed hotelem Imperial i powiedział:

- Wrócę za dwadzieścia minut, Balram.

Zamiast na parking pojechałem na dworzec kolejowy w Pahar Ganj, niedaleko hotelu.

Na podłodze leżeli ludzie. W śmieciach węszyły psy.

Śmierdziało stęchlizną. „Więc tak to będzie wyglądało”

- pomyślałem.

Na tablicy były wypisane nazwy stacji, do których stąd odjeżdżały pociągi.

Benares

Dżammu

Amritsar

Bombaj

Ranczi

Co by było moim celem, gdybym miał tu przyjść z czerwoną torbą w ręku?

Jakby w odpowiedzi na to pytanie w ciemności zaczęły migotać błyszczące koła i jasne światła.

Bo jeśli przyjdzie Pan w Indiach na jakąś stację kolejową, to czekając na pociąg, ujrzy Pan rząd dziwnych urządzeń z kolorowymi lampkami, wielobarwnymi kołami i wirującymi złotymi kręgami. To są maszyny, które za jedną rupię ważą i przepowiadają przyszłość. Stoją w tym kraju na każdym peronie.

Działają tak: Odstawia się torbę. Staje na wadze. Wkłada jednorupiówkę w otwór.

Maszyna ożywa. W środku zaczynają się poruszać dźwignie, coś brzęczy i szczeka, lampki błyskają jak oszalałe. Potem słychać głośny dźwięk i z maszyny wyskakuje zielona albo żółta tekturka. Światła się uspokajają, hałasy cichną. Na tekturce jest waga w kilogramach i przepowiednia.

Z tych maszyn korzystają dwa rodzaje ludzi: dzieci bogatych i ubodzy dorośli, którzy do końca życia pozostają dziećmi.

Stałem i gapiłem się, jakby mi rozum odebrało. Mrugało do mnie sześć błyszczących maszyn: zielone i żółte lampki, wirujące złoto-czarne kręgi.

Podszedłem do jednej z nich. Poświęciłem rupię. Maszyna pożarła monetę, dźwięknęła, gwałtownie błysnęła lampkami i wypluła tekturkę.

LUNNA SCALES CO.

NEW DELHI 110 TWOJA WAGA

„Poszanowanie prawa to pierwszy nakaz bogów”.

Upuściłem tekturkę i się roześmiałem.

Próbują robić człowiekowi wodę z mózgu nawet tutaj, za pomocą dworcowej wagi. Tu, na progu wolności, gdy za chwilę wyruszy pociągiem ku nowemu życiu, te mrugające urządzenia to ostatnie dzwonki alarmowe Kojca dla Kogutów.

Dzwonek się rozdzwonił, rozbłysły czerwone światła!

Kogut ucieka! Wysunęła się ręka, złapała mnie za kark i wciągnęła z powrotem do kojca.

Podniosłem tekturkę i jeszcze raz przeczytałem wydrukowane na niej słowa.

Serce nappełnił mi lęk. Usiadłem na podłodze.

„Pomyśl, Balram. Pomyśl o tym, co zrobił Bawół rodzinie służącego”.

Usłyszałem łopot skrzydeł. Na całej stacji na belkach pod dachem siedziały gołębie. Dwa sfrunęły z belki i przyciągnąwszy czerwone pazury do piersi, zaczęły mi powoli zataczać kręgi nad głową.

Niedaleko leżała na podłodze kobieta. Pod jej opiętą bluzką rysowały się kształtne, pełne piersi. Chrapała. Przez jasnozielony materiał widziałem wetknięty w dekolt jednorupiowy banknot. Nie miała bagażu. Jedna rupia - to było wszystko, co posiadała. I proszę bardzo - błogo chrapała i cały świat miała w nosie.

„Dlaczego moje życie nie może być takie proste?”.

Usłyszałem głucho warczenie. Obejrzałem się. Za moimi plecami biegł w kółko czarny pies. Z tyłu na lewym boku miał czerwono-półyskującą otwartą ranę. Zwijał się i skręcał, bezskutecznie próbując dosięgnąć jej zębami.

Oszałały z bólu, atakował ją, tocząc ślinę z pyska i na próżno krążąc jak po wyrysowanym cyrklem kole.

Spojrzałem na śpiącą kobietę, na jej falujące piersi.

Warczenie za moimi plecami nie ustawało.

Tamtej niedzieli poprosiłem pana Ashoka, żeby mi pozwolił pójść do świątyni, i pojechałem do miasta. Najpierw autobusem do Qutubu, a stamtąd taksówką na G.B. Road.

To jest, Panie Premierze, słynna delhijska „ulica czerwonych latarni” (jak mówią Anglicy).

Godzina tam spędzona powinna mi wypędzić z głowy wszystkie złe myśli. Bo zatrzymywanie nasienia w dolnej części ciała powoduje złe krążenie płynów w górnej.

W Ciemności wiemy, że to prawda.

Dopiero była piąta, słońce jeszcze świeciło, ale kobiety na mnie czekały, jak czekają na wszystkich mężczyzn, przez cały dzień.

Znałem już tę ulicę - wcześniej to Panu wyznałem - ale tym razem było inaczej. Słyszałem je nad sobą, te kobiety - ich szydercze głosy płynące z okratowanych okien - lecz teraz nie potrafiłem na nie spojrzeć.

Przed pomalowanymi krzykliwym błękitem drzwiami burdelu siedział w drewnianej budce mężczyzna i robił paan.

Na wilgotnych liściach, które wyjmował z miski z wodą, rozsmarowywał nożem korzenną masę. Na niewielkim kwadracie ziemi kulił się niżej drugi i na syczącym niebieskim płomieniu kuchenki gazowej gotował w garnku mleko.

- Co ci się stało? Patrz na kobiety!

Niski alfons z wielkim nosem pokrytym czerwonymi brodawkami złapał mnie za rękę.

- Na pewno cię stać na zagraniczną dziewczynę. Weź

Nepalkę. Czyż one nie są piękne? Spójrz tylko, synu!

Ujął mnie za brodę - pewnie myślał, że jestem wstydliwym prawiczkim na pierwszej wyprawie w te strony - i zadarł mi głowę do góry.

Widoczne zza krat Nepalki były rzeczywiście ładne: miały bardzo jasną skórę i chińskie oczy, które nas, Hindusów, po prostu doprowadzają do szaleństwa. Potrząsnąłem głową i uwolniłem twarz z jego dłoni.

- Weź, którą chcesz! Weź wszystkie! Dasz radę, synu!

Normalnie to by mi wystarczyło, żeby z bojowym okrzykiem na ustach wpaść do burdelu. Ale czasem to, co w człowieku najbardziej zwierzęce, może być w nim najlepsze. Od pasa w dół nic mi nawet nie drgnęło. „One są jak papugi w klatce. Jedno zwierzę pieprzyłoby drugie”.

- Żuj paan - pomoże, jak ci nie chce stanąć! - krzyknął sprzedawca z budki. Potrząsnął mokrym liściem, aż poczułem na twarzy krople wody.

- Napij się gorącego mleka, też pomaga! - krzyknął przycupnięty na ziemi człowieczek gotujący mleko.

Spojrzałem w dół. Mleko kipiało i spływało po bokach stalowego garnka. Jego uśmiechnięty właściciel drażnił wrzący płyn łyżką, a on pieniał się coraz bardziej i syczał z oburzenia.

Uderzyłem sprzedawcę, zepchnąłem go z jego grzędę, zrzuciłem liście na ziemię, przewróciłem miskę. Karła kopnąłem w twarz. Z okien rozległy się wrzaski. Zbiegli się alfonsi. Kopiąc i waląc łokciami, co sił w nogach uciekłem z tej ulicy.

G.B. Road leży w Starym Delhi, o którym powinienem powiedzieć kilka słów. Proszę pamiętać, Panie Premierze, że Delhi nie jest stolicą jednego kraju, lecz dwóch - dwojga Indii. W Delhi oba te kraje się zbiegają, Jasność i Ciemność. Gurgaon, gdzie mieszkał pan Ashok, to jasny, nowoczesny kraniec miasta, a to miejsce, Stare Delhi, to kraniec przeciwny. Pełen rzeczy, o których nowoczesny świat całkiem zapomniał - ryksz, starych budynków z kamienia i muzułmanów. Ale w niedziele jest coś jeszcze. Gdy się

Pan przepchnie przez zawsze tam obecny tłum, minąwszy po drodze mężczyzn, którzy innym mężczyznom czyszczą uszy, wpychając w nie zardzewiałe żelazne pręty; gdy Pan minie mężczyzn sprzedających rybki zamknięte w zielonych butelkach ze słoną wodą; minie targ tanich butów i targ tanich koszul - dotrze Pan do Darya Ganj, wielkiego bazaru z używanymi książkami.

O tym bazarze mógł Pan już słyszeć, bo to jeden z cudów świata. Dziesiątki tysięcy brudnych, zatęchłych, poczerniałych książek na każdy temat - technika, medycyna, uciechy seksualne, filozofia, edukacja, obce kraje - ułożonych w stosy na chodniku, od Bramy Delhi aż do targu pod Czerwonym Fortem. Niektóre książki są tak stare, że się rozpadają przy dotknięciu; niektórymi karmią się rybiki; niektóre wyglądają, jakby je uratowano z powodzi albo z pożaru. Większość sklepów jest zamknięta, ale restauracje nie. Zapach smażonego jedzenia miesza się z zapachem zatęchłego papieru. W wywietrznikach restauracji powoli obracają się zardzewiałe łopatki wyciągów, niczym skrzydła gigantycznych ciem.

Zagłębiłem się w zwalę książek i wciągnąłem powietrze w płuca: po burdelowym fetorze było jak czysty tlen.

Tłum kupujących klócił się ze sprzedającymi. Udawałem kupującego. Chwytałem książkę i szur, szur, szur, przerzucałem kartki, aż sprzedawca krzyczał: „Kupujesz czy chcesz przeczytać za darmo?”.

„Kiepska” - mówiłem, odkładałem książkę i szedłem do następnego. Brałem do ręki coś z jego stosu i... szur, szur, szur. Nie płacąc ani rupii, kartkując książki za darmo, przez cały wieczór łupiłem bukinistę za bukinistą!

Niektóre książki były w urdu, języku muzułmanów, którego alfabet składa się z esów-floresów i kropek, jakby ktoś zanurzył stopy w czarnej farbie i przytknął je do papieru. Kiedy przeglądałem którąś z tych książek, sprzedawca spytał:

- Znasz urdu?

To był stary muzułmanin o długiej siwej brodzie i czarnej jak smoła twarzy zroszonej potem niczym liść begonii kropkami deszczu.

- A ty znasz? - odparłem.

Otworzył książkę, chrząknął i przeczytał:

„Całe lata szukałeś klucza”. - Zrozumiałeś? - Spojrzał na mnie, marszcząc czarne czoło.

- Tak, muzułmański wujku.

- Lepiej się zamknij, ty kłamco. Słuchaj.

Odchrząknął.

Całe lata szukałeś klucza,

Lecz drzwi były zawsze otwarte!

Zamknął książkę.

- To się nazywa poezja. A teraz spadaj.

- Muzułmański wujku, proszę - błagałem. - Jestem tylko synem rykszarza z Ciemności. Powiedz mi wszystko o poezji. Kto napisał ten wiersz?

Kręcił głową, a ja go obsypywałem pochlebstwami: że ma piękną brodę, że ma jasną skórę (ha!), że po jego nosie i czole można od razu poznać, że nie jest żadnym neofitą, tylko muzułmaninem z krwi i kości, który przyleciał na latającym dywanie prosto z Mekki. Mruczał pod nosem z zadowolenia, a potem przeczytał mi następny wiersz i jeszcze jeden i opowiedział prawdziwą historię poezji, co właściwie jest tajemnicą znaną tylko mędrcom. Panie Premierze, nie powiem nic nowego, jeśli oświadczę, że historia świata to historia odwiecznej wojny na umysły między bogatymi i biednymi. Jedna strona zawsze się stara przechytryć drugą, i tak jest od zarania dziejów. Kilka bitew wygrali biedni (sikanie do doniczek, kopanie piasków itd.), ale oczywiście wojnę od tysiącleci wygrywają bogaci. Dlatego kiedyś pewni współczujący biednym mądrzy ludzie zostawili im w wierszach znaki i symbole; w wierszach, które są na pozór o różach, pięknych dziewczętach i innych podobnych rzeczach, ale jeśli się je właściwie rozumie, to ujawniają sekrety pozwalające najbiedniejszemu człowiekowi na ziemi zakończyć odwieczną wojnę umysłów na korzystnych dla niego warunkach. Najwięksi z tych mądrych poetów to Rumi, Iqbal, Mirza Ghalib i jeszcze jeden, którego nazwisko znałem, ale zapomniałem.

(Jak się nazywał ten czwarty? Strasznie mnie denerwuje, że nie mogę sobie przypomnieć. Jeśli Pan wie, proszę o e-mail).

- Muzułmański wujku, mam do ciebie jeszcze jedno pytanie.

- Czy ja wyglądam na nauczyciela? Dość już tych pytań.

- Ostatnie, przyrzekam. Powiedz mi, muzułmański wujku, czy człowiek może poezją sprawić, że zniknie?

- Co masz na myśli? Że zniknie za pomocą czarnej magii? - Spojrzał na mnie. - Tak, to się da zrobić. Są o tym książki. Chcesz którąś kupić?

- Nie o takim zniknięciu myślę. Chodzi o to, czy można... czy...

Bukinista przymrużył oczy. Na jego potężnym czarnym czole przybyło kropel potu.

- Zapomnij, że o to pytałem, muzułmański wujku.

Posłałem mu uśmiech.

Siebie ostrzegłem: Nigdy więcej nie rozmawiać z tym starcem. On już teraz za dużo wie.

Od czytania piekły mnie oczy. Powinienem już wrócić do Bramy Delhi, żeby złapać autobus. W ustach czułem obrzydliwy smak książki - jakbym się wraz z powietrzem

nawdychał za dużo rozdrobnionego starego papieru. Kiedy człowiek zbyt długo przebywa ze starymi książkami, rodzą mu się w sercu dziwne myśli.

Jednak zamiast iść do autobusu, zapuściłem się dalej w głąb Starego Delhi. Szedłem bez celu. Hałas ucichł, gdy tylko skręciłem w boczną ulicę. Na łózkach bez materaców siedzieli mężczyźni i palili fajki, inni spali na ziemi; nad domami szybowały orły. Nagle uderzył mnie w twarz potężny podmuch wiatru i poczułem zapach bawołu.

Wszyscy wiedzą, że gdzieś w Starym Delhi jest kwartał rzeźników, lecz widzieli go tylko nieliczni. To jedno z zadziwiających miejsc starego miasta - rząd wiat, pod każdą wielki bawół tyłem do ulicy; ogony bezustannie odganiające stada much; nogi zagłębione w piramidach łajna. Stałem i wdychałem bawoli zapach. Ileż to czasu już minęło od chwili, kiedy go czułem ostatni raz! Okropne miejskie powietrze zniknęło z moich płuc.

Terkot drewnianych kół. Ulicą szedł w moją stronę bawół, ciągnąc duży wóz. Na wozie nie było człowieka z batem - zwierzę samo wiedziało, dokąd iść. Przystanąłem, kiedy mnie mijalo, i zobaczyłem, że wóz jest wyładowany bawolimi pyskami. Powiedziałem pyskami, lecz powinienem raczej powiedzieć czaszkami, bo były prawie bezskóre, jedynie na końcu nosa każdy miał mały czarny kawałek skóry, z której sterczały włosy wyrastające z nozdrzy niczym ostatnia wyzywająca cząstka osobowości martwego bawołu. Reszty pyska nie było. Nawet oczy zostały wydłubane.

A żywy bawół szedł, bez pana, ciągnąc ładunek śmierci tam, dokąd miał go dostarczyć.

Przez chwilę towarzyszyłem nieszczęsnemu zwierzęciu, patrząc na odarte ze skóry martwe pyski. I wtedy, Ekscelencjo, wydarzyła się rzecz najdziwniejsza. Bawół ciągnący wóz odwrócił się w moją stronę i - przysięgam - odezwał się głosem podobnym do głosu mojego ojca:

- Twojego brata Kishana pobili na śmierć. Zadowolony?

Poczułem się jak ktoś, komu tuż przed przebudzeniem śni się koszmar: wiadomo, że to sen, ale jeszcze się nie można obudzić.

- Ciotkę Luttu zgwałcili i pobili na śmierć. Zadowolony? Babkę Kusum skopali na śmierć. Zadowolony?

Bawół spojrzał na mnie gniewnie.

- Wstyd! - powiedział i zrobił wielki krok. Bezskóre martwe pyski na mijającym mnie wozie wydały mi się przez moment twarzami członków rodziny.

Na drugi dzień rano pan Ashok przyszedł do samochodu uśmiechnięty, z czerwoną torbą w ręku. Wsiadł, zatrzasnął drzwi.

Spojrzałem na potworka i przełknąłem ślinę.

- Proszę pana...

- Co tam, Balram?

- Jest coś, o czym już od jakiegoś czasu chciałem panu powiedzieć. - Zdjąłem palce z kluczyka. Przysięgam, byłem gotów od razu się tam do wszystkiego przyznać... gdyby tylko wyrzekł właściwe słowo... gdyby w odpowiedni sposób dotknął mego ramienia.

Ale on na mnie nie patrzył. Był zajęty telefonem i jego klawiszami.

Stuk, stuk, stuk.

Znajdować się o ćwierć metra od szaleńca z głową wypełnioną myślami o zbrodni i kradzieży i nic o tym nie wiedzieć. Nawet się tego nie domyślać. Jak ślepi potrafią być ludzie. Oto siedzisz w szklanym budynku i co wieczór rozmawiasz przez telefon z Amerykanami, którzy są o tysiące kilometrów stąd, lecz nie masz zielonego pojęcia, co się dzieje z człowiekiem, który prowadzi twój samochód!

„Co tam, Balram?”.

„Tylko to, proszę pana, że chcę panu rozwalić łeb!”.

Nachylił się - przybliżył usta do mojego ucha - zaraz się rozkleję...

- Rozumiem, Balram.

Zamknąłem oczy.

- Naprawdę, proszę pana? - ledwie wykrztusiłem.

- Chcesz się ożenić.

- Będziesz potrzebował trochę pieniędzy, prawda?

- Nie, proszę pana. Nie mam takiej potrzeby.

- Poczekaj, wyjmę portfel. Jesteś dobrym członkiem rodziny. Nigdy nie prosisz o pieniądze - wiem, że inni kierowcy ciągle się domagają ubezpieczenia i zapłaty za nadgodziny, ale ty nigdy nie mówisz ani słowa. Jesteś staroświecki. To mi się podoba. Zajmiemy się wydatkami ślubnymi. Tu masz, Balram - masz... masz...

Wyjął banknot tysiãrupiowy, schował, wyjął pięćsetrupiowy, schował, wyjął sturupiowy.

I ten mi dał.

- Ślub pewnie będzie w Laxmangarh?

- Może przyjadę. Lubię to miejsce. Chciałbym pójść teraz do starego fortu. Ile to już minęło, od kiedyśmy tam byli, Balram? Pół roku?

- Więcej, proszę pana. - Policzyłem na palcach. -

Osiem miesięcy.

On też policzył.

- No tak, masz rację.

Złożyłem sturupiówkę i schowałem do kieszeni na piersi.

- Dziękuję panu - powiedziałem i przekręciłem kluczyk w stacyjce.

Następnego dnia wcześniej rano wyszedłem z Buckingham B na główną ulicę. Chociaż budynek był zupełnie nowy, już przeciekała rura kanalizacyjna i koło ogrodzenia czerniła się na ziemi wielka plama ścieków; spały na niej trzy bezpańskie psy. Dobry sposób, żeby się ochłodzić - zaczęło się lato i nawet noce nie były teraz przyjemne.

Psiska wyglądały na bardzo zadowolone. Kucnąłem i zacząłem się im przyglądać.

Włożyłem palec do ciemnej kałuży. Poczułem kuszący chłód.

Jeden z psów się obudził. Ziewnął i pokazał mi kły. Zerwałem się na równe nogi. Pozostałe też się obudziły. Zaczęło się warczenie, drapanie pazurami w błocie, szczyrzenie zębów - chciały, żebym się wyniósł z ich królestwa.

Zostawiłem ścieki psom i poszedłem w stronę maili. Żaden nie był jeszcze otwarty. Usiadłem na chodniku.

Dokąd by tu teraz pójść?

I wtedy zauważyłem drobne ciemne ślady.

Odciski łap.

Jakieś zwierzę przeszło tędy, zanim beton zastygł.

Wstałem z chodnika i ruszyłem za śladami. Odstępy między nimi rosły - zwierzę zaczęło biec.

Przyśpieszyłem kroku.

Odciski łap biegnącego zwierzęcia prowadziły między mailami i dalej, zniknęły dopiero na końcu chodnika, gdzie się zaczynała goła ziemia.

Tu się musiałem zatrzymać, ponieważ półtora metra przede mną siedziało w kucki w niemal idealnie prostym szeregu wielu mężczyzn. Wypróżniali się.

Byłem w slumsach.

Różowowargi już mi mówił o tym miejscu. Żyli w nim robotnicy, którzy budowali maile i ogromne budynki mieszkalne. Pochodzili ze wsi w Ciemności i nie lubili, kiedy się tu zjawiał ktoś z zewnątrz, chyba że miał coś do załatwienia po zmroku. Owi mężczyźni wypróżniali się pod gołym niebem, tworząc na skraju slumsów rubież obronną, której żaden przyzwoity człowiek nie powinien przekraczać. Wiatr niósł ku mnie smród świeżego gówna.

Znalazłem w szeregu defekujących lukę. Wyglądali jak przykucnięte kamienne posągi.

Ci ludzie budowali domy dla bogatych, ale mieszkali w nakrytych niebieskimi plandekami namiotach, które oddzielały od siebie rynsztoki. Tu było nawet gorzej niż w Laxmangarh. Kluczyłem między potłuczonymi butelkami i rozbitymi świetlówkami. Zamiast smrodu odchodów czuć było jeszcze gorszy smród ścieków przemysłowych. Slumsy kończyły się odkrytym kanałem. Struga czarnej wody płynęła leniwie obok mnie, na jej powierzchni połyskiwały pęcherze i tęczowe kręgi.

Do wody pofrunęła sturupiówka. Dzieci pootwierały usta ze zdziwienia, a potem pobiegły, żeby ją złapać, zanim odpłynie. Jednemu się udało, drugie zaczęło je bić. Walczyły, kotłując się w czarnej wodzie.

Wróciłem do srających. Jeden skończył i odszedł, ale jego miejsce natychmiast ktoś zajął.

Kucnąłem przed nimi i wyszczerzyłem zęby w uśmiechu.

Kilku od razu odwróciło oczy: jeszcze nie zatracili człowieczeństwa. Niektórzy gapili się na mnie tępo, jakby wstyd nie miał już dla nich znaczenia. Ale jeden, chudy i czarny, uśmiechał się szeroko, jakby był dumny z tego, co robi.

Nie podnosząc się z kucek, przybliżyłem się do niego i uśmiechnąłem najszerzej, jak mogłem. Odpowiedział tym samym.

Wybuchnął śmiechem - i ja też - i wtedy roześmiali się wszyscy srający.

- Zajmiemy się twoimi ślubnymi wydatkami! - krzyknąłem.

- Zajmiemy się twoimi ślubnymi wydatkami! - odkrzyknął.

- Nawet ci wypierdolimy żonę, Balram!

- Nawet ci wypierdolimy żonę, Balram!

Zaczął się śmiać - śmiać tak gwałtownie, że się przewrócił na twarz i śmiał się dalej, z brudną dupą wystawioną do brudnego delhijskiego nieba.

Kiedy wracałem, maile właśnie się otwierały. W toalecie publicznej umyłem twarz i zmyłem z rąk slumsy. Poszedłem na parking, odszukałem klucz francuski, wykonałem kilka próbnych ciosów i pomaszerowałem z nim do pokoju.

Koło łóżka stał chłopiec. Poprawiał spodnie, w zębach trzymał list. Usłyszał, że wszedłem, odwrócił się w moją stronę i list wypadł mu z ust na podłogę. W tej samej chwili ja upuściłem klucz.

- Wysłali mnie tutaj. Wsiadłem do autobusu, potem do pociągu, popytałem ludzi i jestem. - Nerwowo mrugał oczami. - Powiedzieli, że musisz się mną zaopiekować i zrobić ze mnie kierowcę.

- A kto ty, do diabła, jesteś?

- Dharam. Czwarty syn ciotki Luttu. Widziałeś mnie, jak ostatnio byłem w Laxmangarh. Miałem na sobie czerwoną koszulę. Pocałowałaś mnie, o tu. - Dotknął czubka głowy.

Podniósł list i mi podał.

Drogi wnuku, dużo czasu minęło od Twoich ostatnich odwiedzin, a jeszcze więcej - całe jedenaście miesięcy i dwa dni - od kiedy nam ostatni raz przysłałeś pieniądze. Miasto zepsuło Ci duszę i zrobiło z Ciebie samoluba, pyszałka i złego człowieka.

Od początku wiedziałam, że tak się stanie, bo byłeś chłopcem złośliwym i bezczelnym. Kiedy tylko mogłeś, z otwartymi ustami oglądałeś się w lustrze, a do pracy się nie wzięłeś, jeśli Cię nie wytargałam za uszy. Jesteś zupełnie jak Twoja matka. Masz jej charakter, a nie miły charakter ojca. Do tej pory znosiliśmy nasz ból cierpliwie, ale dość już tego. Jak nam nie zaczniesz znowu przysyłać pieniędzy, zawiadomimy

Twojego pana. Postanowiliśmy też, że sami zorganizujemy

Ci ślub i że jeśli nie przyjedziesz, wyślemy dziewczynę autobusem. Nie mówię tego, żeby Cię straszyć, tylko z miłości.

Bo czy nie jestem Twoją babką? Ileż to razy wpychałam Ci do buzi słodycze! Masz też obowiązek zająć się Dharamem i opiekować się nim, jakby był Twoim własnym synem. Poza tym dbaj o zdrowie i pamiętaj, że przyrzędam dla Ciebie pysznego kurczaka, którego Ci wyślę pocztą - razem z listem do Twojego pana.

Kochająca babcia Kusum

Złożyłem list, schowałem do kieszeni i rąbnąłem chłopca w twarz - tak mocno, że się zatoczył, uderzył w kant łóżka i przewrócił na nie, zrywając moskitierę.

- Wstawaj - powiedziałem. - Zaraz dostaniesz jeszcze raz.

Wzięłem klucz i podniosłem mu nad głowę - a potem rzuciłem na podłogę.

Twarz chłopca zrobiła się niebieska, z rozciętej wargi płynęła krew, ale nie odezwał się ani słowem.

Usiadłem na moskitierze i z napoczętej wcześniej butelki pociągnąłem łyk whisky. Patrzyłem na chłopca.

Dotarłem do krawędzi przepaści - byłem gotów zabić swego pana. Pojawienie się tego chłopca uratowało mnie przed morderstwem (i dożywotnim więzieniem).

Wieczorem oznajmiłem panu Ashokowi, że rodzina przysłała mi pomocnika - będzie dbał, żeby samochód był czysty. Pan Ashok, zamiast wpaść w złość, że ma teraz do karmienia jedną gębę więcej - jak by się zachowała na jego miejscu większość panów - powiedział:

- Uroczy chłopiec. Podobny do ciebie. Co mu się stało w twarz?

- Powiedz, Dharam.

Mrugał szybko oczami. Zastanawiał się.

- Wypadłem z autobusu.

Bystry dzieciak.

- Uważaj na drugi raz - powiedział pan Ashok. - To wspaniale, Balram. Będziesz miał towarzystwo.

Dharam był cichym chłopcem. O nic mnie nie prosił, spał na podłodze, gdzie mu kazałem, sam się o siebie troszczył. Ponieważ czułem się wobec niego winny, zabrałem go do herbaciarni.

- Kto teraz uczy w szkole, Dharam? Ciągłe pan Krysna?

- Tak, wujku.

- I ciągle kradnie pieniądze na mundurki i jedzenie?

- Tak, wujku.

- Dobrze sobie radzi.

- Chodziłem do szkoły pięć lat, a potem babcia Kusum powiedziała, że wystarczy.

- Zobaczymy, czego się przez te lata nauczyłeś. Znasz tabliczkę mnożenia przez osiem?

- Tak, wujku.

- No to posłuchajmy.

- Osiem razy jeden - osiem.

- To łatwe. A dalej?

- Osiem razy dwa - szesnaście.

- Czekaj. - Policzyłem na palcach, czy ma rację. - Dobrze. Dalej.

- Mnie też zamów herbatę, co? - To był Różowowargi.

Usiadł obok mnie i uśmiechnął się do Dharama.

- Sam sobie zamów.

Wydął usta.

- Już inaczej nie potrafisz do mnie mówić, bohaterze klasy robotniczej?

Dharam przyglądał się nam z zaciekawieniem.

- To chłopiec z mojej wsi, z mojej rodziny. Właśnie z nim rozmawiam - powiedziałem.

- Osiem razy trzy - dwadzieścia cztery.

- A co mnie obchodzi, kto to jest? Zamów mi herbatę, bohaterze klasy robotniczej.

Podstawił mi pod nos rozpostartą dłoń - pięć palców.

Co znaczyło: „Chcę pięćset rupii”.

- Nie mam.

- Osiem razy cztery - trzydzieści dwa.

Przeciągnął palcem po szyi i się uśmiechnął. „Twój pan się o wszystkim dowie”.

- Jak ci na imię, chłopcze?

- Dharam.

- Jakie ładne imię. Wiesz, co znaczy?

- Tak, proszę pana.

- A twój wujek wie?

- Zamknij się - powiedziałem.

To była pora sprzątnia. Jeden z ludzi-pająków rzucił na ziemię mokrą szmatę i zaczął się z nią czołgać, pchając przed sobą rosnącą falę czarnej jak atrament wody. Z herbaciarni truchtem wybiegły spłoszone myszy. Czarna kałuża nie oszczędzała niczego - chlapała również na klientów przy stolikach. Niosła ze sobą niedopałki cygaretek, błyszczące papierki od cukierków, skasowane bilety autobusowe, plasterki cebuli, gałązki świeżej kolendry. Goła żarówka odbijała się w jej czerni jak żółty kamień szlachetny.

„Ale twoje serce jest jeszcze czarniejsze, Munna” - usłyszałem wewnętrzny głos.

Tej nocy Dharama zbudził krzyk. Podszedł do moskitiery.

- Co się dzieje, wujku?

- Zapal światło, głupi! Światło!

Przekręcił wyłącznik. Leżałem jak sparaliżowany, niezdolny nawet ruszyć palcem. Na moje łóżko wszedł po ścianie gruby szary gekon.

Dharam zaczął się śmiać.

- Ja nie żartuję, debilu! Zabierz to ode mnie!

Włożył rękę pod moskitierę, złapał jaszczurkę i rozgniół ją nogą.

- Wyrzuć to gdzieś, daleko. Wyrzuć z tego pokoju, z tego budynku.

W jego oczach dostrzegłem zaskoczenie: „Dorosły mężczyzna - i boi się jaszczurki!”.

„Dobrze się składa” - pomyślałem, kiedy gasił światło.

„Nigdy nie będzie podejrzewał, że coś planuję”.

Chwilę później uśmiech zniknął z mojej twarzy.

„A co ja planuję?”.

Zacząłem się pocić. Spojrzałem na anonimowe odciski dłoni w białym tynku na ścianie.

Rozległo się stukanie o beton. Stróż nocny wyszedł ze swą długą laską na obchód Buckingham B. Gdy ucichło, w pokoju było słychać tylko szum wgrzających się w ściany i

fruwających karaluchów. Kolejna upalna, wilgotna noc. Pewnie i one się pocą. Ledwie mogłem oddychać.

Myślałem, że nigdy nie zasnę. Zacząłem w kółko powtarzać dwuwiersz:

Cale lata szukałem klucza,

Lecz drzwi były zawsze otwarte.

I wtedy zasnąłem.

Powinienem był zauważyć na murach malowane za pomocą szablonu ręce w kajdanach - powinienem był przystanąć i posłuchać młodych mężczyzn w czerwonych opaskach na głowach - lecz tak byłem pochłonięty własnymi kłopotami, że w ogóle nie dostrzegłem, że w moim kraju dzieje się coś bardzo ważnego.

Dwa dni później wiozłem pana Ashoka i panią Urnę do

Lodi Gardens - ostatnio coraz więcej czasu spędzali razem. Romans kwitł. Nos zaczynał mi się przyzwyczajać do jej perfum; już nie kichałem, kiedy wsiadała do samochodu.

- Więc nadal tego nie zrobiłeś, Ashok? Znowu wszystko będzie jak poprzednio?

- To nie takie proste, Urna. Już się zdążyłem wczoraj pokłócić o ciebie z Mukeshem. Postawię na swoim, tylko daj mi trochę czasu. Muszę mieć rozwód. Balram, dlaczego puściłeś muzykę tak głośno?

- Lubię, jak jest głośno. To romantyczne. Może specjalnie tak zrobił.

- Wszystko się uda, zaufaj mi. To tylko... Co, do diabła, z tą muzyką, Balram? Prawie nic nie słyhać. Ci ludzie z Ciemności są czasem tacy głupi.

- Już ci to mówiłam, Ashok.

Ściszyła głos.

Dosłyszałem angielskie słowa „wymiana”, „kierowca” i „miejscowy”.

„Myślałeś o wymianie kierowcy na miejscowego?”.

Coś wymamrotał w odpowiedzi.

Nie usłyszałem ani słowa. Nie musiałem słyszeć.

Spojrzałem w lusterko. Chciałem panu Ashokowi stawić czoło, oko w oko, jak mężczyzna mężczyźnie. Ale on nie spojrzał. Nie miał odwagi podjąć wyzwania.

Usłyszałby Pan wtedy, jak zgrzytam zębami, słowo daję. Że niby miałem jakieś plany co do niego? To on miał plany w stosunku do mnie! Bogaci zawsze nas o krok wyprzedzają, czyż nie?

Jednak nie tym razem. On zrobi krok, ja dwa.

Na chodniku siedział uliczny sprzedawca. Obok niego piętrzyła się piramida opakowanych w folię kasków motocyklowych. Wyglądała jak stos odciętych głów.

Kiedy już prawie dojechaliśmy do parku, okazało się, że ulica jest zablokowana w obu kierunkach. Przed nami stał sznur ciężarówek pełnych mężczyzn, którzy wznosili okrzyki: „Niech żyje Wielki Socjalista! Niech żyje głos indyjskich biedaków!”.

- Co tu się, do cholery, dzieje?

- Nie oglądałeś dzisiaj wiadomości, Ashok? Oni ogłaszają wyniki.

- Kurwa! Wyłącz Enyę, włącz radio, Balram.

Rozległ się głos Wielkiego Socjalisty, który udzielał wywiadu reporterowi.

- Wybory pokazały, że biednych nie da się zlekceważyć.

Ciemność nie będzie milczeć. My nie mamy wody w kranach, a wy, ludzie z Delhi, co nam dajecie? Dajecie nam telefony komórkowe. Czy człowiek może wypić telefon, kiedy ma pragnienie? Żeby zdobyć wiadro czystej wody, kobiety przemierzają co rano...

- Czy chce pan zostać premierem Indii?

- Proszę mi nie zadawać takich pytań. Nie mam ambicji osobistych. Jestem tylko głosem biedaków i ludzi pozbawionych praw obywatelskich.

- Ale z pewnością...

- Jeszcze tylko jedno słowo, jeśli można. Wszystko, czego kiedykolwiek pragnąłem, to Indie, w których każdy wiejski chłopiec będzie mógł marzyć, że zostanie premierem. A dziś, jak już mówiłem, co rano...

Radio podało, że partia rządząca poniosła w wyborach druzgocącą klęskę. Władzę zdobyły nowe partie, wśród nich partia Wielkiego Socjalisty. Głosowała na niego znaczna część Ciemności. W drodze powrotnej widzieliśmy przybywające stamtąd gromady jego zwolenników.

Jechali, którzy chcieli; robili, co chcieli; gwizdali na każdą kobietę, na którą mieli ochotę gwizdać. To był najazd na Delhi.

Do końca dnia pan Ashok już mnie nie wzywał. Wieczorem przyszedł na dół i kazał się wieźć do hotelu Imperial. Przez całą drogę nie wypuszczał z rąk telefonu - naciskał klawisze, rozmawiał i krzychał:

- Całkiem nas udupili, Urna! Dlatego nienawidzę takich interesów. Jesteśmy na łasce...

- Nie krzycz na mnie, Mukesh! To ty mówiłeś, że wynik wyborów jest przesądzony. Tak, ty! Teraz się nigdy nie wydobędziemy z tego podatkowego bagna!

- Ja już to robię, ojczel! Właśnie jadę do Imperialu, żeby się z nim spotkać.

Wysiadł pod hotelem, wciąż rozmawiając przez telefon.

Po czterdziestu dwóch minutach wrócił z dwoma mężczyznami. Nachylił się do okna i powiedział:

- Rób wszystko, co ci każą, Balram. Jadę do domu taksówką. Jak załatwię swoje sprawy, odstaw samochód do

Buckingham.

- Tak, proszę pana.

Tamci pokleпали go po plecach, a on się uklonił i sam im otworzył drzwi. Musieli być politykami, inaczej by im tak nie włąził w dupę.

Wsiedli. Serce zaczęło mi walić. Ten z prawej to był Vijay, bohater mojego dzieciństwa, syn świniarza z Laxmangarh, potem konduktor, a wreszcie polityk. Znowu zmienił strój: teraz miał na sobie elegancki garnitur nowoczesnego indyjskiego biznesmena.

Kazał mi jechać na Ashoka Road, a potem powiedział do towarzysza:

- Ten skurwysyn w końcu dał mi samochód.

- Teraz wie, że musi nam okazać trochę szacunku, prawda? - zaśmiał się tamten, po czym opuścił szybę i splunął.

Vijay zachichotał.

- Masz tu, synu, coś do picia?

Spojrzałem do tyłu. Pomiędzy czarnymi spróchniałymi trzonowcami błyszczał mu rząd grubych złotych koron.

- Tak, proszę pana.

- Pokaż.

Otworzyłem schowek i podałem mu butelkę.

- Czarny johnnie dobra rzecz. A szklanki masz?

- Tak, proszę pana.

- A lód?

- Nie, proszę pana.

- Nie szkodzi. Napijemy się bez. Nalej, synu.

Nalałem, prowadząc hondę drugą ręką. Wypili, jakby to był sok.

- Gdyby się nie przygotował, daj mi znać. Poślę paru chłopców, żeby sobie z nim pogadali.

- Nie ma obawy. Jego ojciec zawsze w końcu płacił.

Dzieciak był w Ameryce i ma całkiem popieprzone w głowie, ale i on zapłaci.

- Ile?

- Siedemset. Zgodziłbym się na pięćset, ale ten kutas sam zaproponował sześćset - musi z nim być coś nie tak - no to powiedziałem siedemset, a on nie protestował. Wyjaśniłem, że jak nie zapłaci, to załatwimy jego, ojca, brata i cały ten ich podatkowo-węglowy złodziejski interes. Pot go oblał, więc wiem, że zapłaci.

- Jesteś pewien? Z przyjemnością wysłałbym do niego paru chłopców. Uwielbiam patrzeć, jak bogaci obrywają.

To lepsze niż erekcja.

- Znajdą się inni. Na tego szkoda fatygi. Powiedział, że przywiezie w poniedziałek. Spotkamy się w Sheratonie, w tej spokojnej restauracji w podziemiach.

- Dobrze. Będzie nam mógł postawić kolację.

- To się rozumie samo przez się. Dają tam pyszny kebab.

Jeden z nich głośno przepłukał usta whisky, połknął ją, czknął i mlasnął.

- Wiesz, co jest w tych wyborach najlepsze?

- Co?

- Że dotarliśmy dalej na południe. Mamy już nawet przyczółek w Bangalurze. A tam jest przyszłość.

- Na południu? Bzdura.

- Dlaczego? Co trzeci nowy biurowiec w Indiach jest budowany w Bangalurze. Tam naprawdę jest przyszłość.

- To wszystko gówno prawda. W ogóle w to nie wierzę.

Na południu jest pełno Tamilów. Wiesz, kto to Tamilowie?

Czarnuchy. My jesteśmy potomkami Aryjczyków, którzy przybyli do Indii. Z Tamilów zrobiliśmy niewolników.

A oni nas teraz pouczają. Czarnuchy.

- Synu - Vijay nachylił się do mnie i wyciągnął rękę ze szklanką - nalej mi jeszcze jednego.

Tego wieczoru wypili butelkę do dna.

Przyjechałem do Gurgaonu około trzeciej rano. Serce biło mi tak szybko, że nie od razu wysiadłem. Umyłem hondę trzy razy. Butelka leżała na podłodze. Czarny johnnie walker - na czarnym rynku nawet pusta była coś warta. Podniosłem ją i poszedłem w kierunku pomieszczeń dla kierowców.

Różowowargi nie miałyby nic przeciwko temu, żeby go obudzić dla butelki z czarną nalepką.

Szedłem, kręcąc butelką w dłoni, czując jej wagę. Choć pusta, wcale nie była lekka.

Zauważyłem, że stopy poruszają mi się coraz wolniej, a butelka kręci się coraz szybciej.

Całe lata szukałem klucza...

Dźwięk rozbijanej butelki poniósł się echem po pustej przestrzeni parkingu - musiał dotrzeć do holu i rykoszetem trafić na wszystkie piętra budynku, nawet na dwunaste.

Odczekałem kilka minut, spodziewając się, że zaraz ktoś przybiegnie.

Nikt się nie pojawił. Byłem bezpieczny.

Podniosłem do światła to, co mi zostało w ręce. Długie, okrutne, szponiaste strzępy szkła.

Doskonałe.

Stopą zgarnąłem na kupkę leżące wokół kawałki. Starłem krew z ręki, znalazłem miotłę i dokładnie zamiotłem podłogę. Potem uklęknąłem i sprawdziłem, czy nie przeoczyłem jakiegoś okrucha. W ciszy słychać było powtarzany w kółko wers:

Lecz drzwi były zawsze otwarte.

Dharam spał na podłodze, koło głowy pełzały mu karaluchy. Potrząsnąłem nim, żeby się obudził, i kazałem mu się położyć na łóżku. Na wpół śpiący, wszedł pod moskitierę. Skuliłem się na podłodze i stawiałem czoło karaluchom. Na dłoni miałem jeszcze trochę krwi: trzy czerwone kropelki wyglądały na moim ciele niby rząd biedronek na liściu. Zasnąłem, ssąc palec jak małe dziecko.

W niedzielę rano pan Ashok nie kazał się nigdzie wieźć.

Umyłem naczynia, wytarłem lodówkę i powiedziałem:

- Chciałbym mieć to przedpołudnie wolne, proszę pana.

- Dlaczego? - spytał znad gazety. - Jeszcze nigdy nie prosiłeś o całe wolne przedpołudnie. Dokąd się wybierasz?

„A pan jeszcze nigdy nie pytał mnie, dokąd idę, kiedy wychodziłem z domu. Co pani Uma z panem zrobiła?”

- Chcę spędzić trochę czasu z chłopcem, proszę pana.

W zoo. Myślę, że chętnie zobaczy te wszystkie zwierzęta.

Uśmiechnął się.

- Dbasz o rodzinę, Balram. Idźcie i bawcie się dobrze. -

Wrócił do gazety, ale w jego oczach prześlizgujących się po anglojęzycznym tekście uchwyciłem błysk przebiegłości.

Po wyjściu za ogrodzenie Buckingham B kazałem Dharamowi czekać i poszedłem z powrotem. Obserwowałem wejście do budynku. Pół godziny później w holu pojawił się pan

Ashok, a za chwilę podszedł do niego wyglądający na służącego niski mężczyzna o ciemnej skórze. Kilka minut rozmawiali, po czym nieznajomy uklonił się i poszedł.

Sprawiali wrażenie ludzi, którzy właśnie dobili targu.

Wróciłem do Dharama.

- W drogę! - powiedziałem.

Pojechaliśmy autobusem do Starego Fortu, gdzie się mieści zoo. Przez cały czas trzymałem rękę na głowie Dharama - pewnie myślał, że to dowód uczucia, ale mnie chodziło tylko o to, żeby mi nie drżała, bo od rana trzęsła się jak odpadły ogon jaszczurki.

Pierwszy cios miałem zadać ja. Wszystko było gotowe, nic się nie mogło nie udać - ale jak już Panu mówiłem, nie jestem odważnym człowiekiem.

W zatłoczonym autobusie przez całą drogę obaj musieliśmy stać. Pot łał się z nas strumieniami. Już nie pamiętałem, jak wygląda podróż autobusem w lecie. Na czerwonym świetle zatrzymał się obok mercedes-benz. W zamkniętym szczelnie jaju siedział w chłodzie szofer i śmiał się do nas, pokazując zęby.

W zoo była długa kolejka po bilety. Stały w niej całe rodziny, co mogłem zrozumieć. Dziwił mnie za to widok licznych trzymających się za ręce młodych mężczyzn i kobiet: chichoczących, podszczypujących się, robiących do siebie słodkie oczy, jakby zoo było jakimś romantycznym miejscem. Dla mnie to nie miało sensu.

Jak Pan wie, Panie Premierze, do mojego kraju przylatują codziennie tysiące cudzoziemców po oświecenie. Jadą w Himalaje, do Benaresu albo do Bodh Gaja. Siedzą w dziwacznych pozycjach jogi, palą haszysz, pieprzą się z sadhu i myślą, że doznają oświecenia.

Ha!

Ludzie, jeśli przyjeżdżacie do Indii po oświecenie, zapomnijcie o Gandze, zapomnijcie o aszramach - jedźcie prosto do zoo w centrum New Delhi.

Patrzyliśmy z Dharamem na złotodziobe bociany siedzące na palmach pośrodku sztucznego jeziora. Pikowały ku zielonej wodzie, ukazując ślady różowego koloru na skrzydłach. W dali widać było postrzępione mury Starego Fortu.

Rację miał wielki poeta Iłbal. Gdy tylko człowiek doceni piękno tego świata, przestaje być niewolnikiem. Do diabła z naksalami i ich karabinami dostarczanymi z Chin.

Naucz malować wszystkich ubogich chłopców, a będzie to koniec bogaczy w Indiach.

Dopilnowałem, żeby Dharam dostrzegł, jak zachwycająco wznosi się i opada kontur fortu, jak błękit nieba wypełnia otwory strzelnicze, jak w świetle słońca błyszczy stary kamienny mur.

Przez pół godziny wędrowaliśmy od klatki do klatki.

Lew i lwica stały osobno i się do siebie nie odzywały, jak prawdziwa para z miasta. Hipopotam leżał w wielkim błotnistym stawie i Dharam chciał zrobić to, co inni - rzucić kamieniem, żeby się ruszył - ale mu wytłumaczyłem, że to by było okrutne. Hipopotamy leżą w błocie i nic nie robią - taką mają naturę.

Niech zwierzęta żyją jak zwierzęta, niech ludzie żyją jak ludzie. To w jednym zdaniu cała moja filozofia.

Powiedziałem Dharamowi, że pora wracać. Skrzywił się.

- Jeszcze pięć minut, wujku - poprosił.

- Dobrze, pięć minut.

Doszliśmy do zagrody, w której - widoczny między otaczającymi ją bambusowymi prętami - tam i z powrotem kroczył po linii prostej tygrys.

Nie pierwszy lepszy tygrys.

Stworzenie, które się rodzi w dżungli tylko raz na pokolenie.

Patrzyłem, jak chodzi. Przez szpary w ciemnym ogrodzeniu błyskały oświetlone słońcem czarne pręgi i biała sierść - niczym na wyświetlanym w zwolnionym tempie starym, czarno-białym filmie. Przemierzał jak zaczarowany wciąż tę samą trasę, od jednego końca zagrody do drugiego, w identycznym tempie.

Chodząc w ten sposób, sam siebie hipnotyzowałem - inaczej nie zniósłby tej klatki.

Potem przestał się poruszać. Spojrzał mi w twarz. Tygrysie oczy spotkały się z moimi, jak tyle razy przedtem oczy mojego pana i moje w lusterku samochodu.

I nagle zniknął.

Ciarki mi przeszły po krzyżu, kolana zadrzały, zrobiło mi się słabo. Jakaś kobieta krzyknęła: „On się chwieje na nogach, zaraz zemdleje!”. Próbowałem odkrzyknąć: „To nieprawda, nie zemdleję!”. Próbowałem im wszystkim pokazać, że nic mi nie jest, ale stopy mi się zaczęły rozjeżdżać. Ziemia pode mną zadrzała, coś się ku mnie przedzierało. Z błota wyłoniły się szpony, wczepiły mi się w ciało i wciągnęły mnie w czarną głębinę.

Zanim wszystko stało się czarne, zdążyłem jeszcze pomyśleć, że teraz rozumiem te podszczypywania i uniesienia, że rozumiem, dlaczego zakochani przychodzą do zoo.

Tego wieczoru w moim pokoju usiedliśmy z Dharamem na podłodze. Rozłożyłem przed nim niebieski papier, podałem chłopcu długopis.

- Chcę sprawdzić, jak sobie radzisz z pisaniem, Dharam. Napisz do babci, opowiedz jej, co się dziś wydarzyło w zoo.

Pisał powoli, ładnym charakterem. O hipopotamach, szympansach, barasingach.

- Napisz o tygrysie.

Po chwili wahania napisał: Widzieliśmy białego tygrysa w klatce.

- Napisz jej wszystko.

Spojrzał na mnie i napisał: Wujek Balram zemdlał przed białym tygrysem w klatce.

- Teraz ja będę dyktował, a ty pisz.

Pisał dziesięć minut, tak szybko, że z długopisu zaczął kapać wyciekający tusz. Wytarł go we włosy i pisał dalej.

Na koniec przeczytał podyktowany fragment:

Krzyczałem, żeby mi ludzie pomogli, i zanieśliśmy wujka pod figowiec. Ktoś polał mu twarz wodą. Dobrzy ludzie klepali go mocno po policzkach i się ocknął. Powiedzieli mi:

„Twój wujek bredzi - pewnie myśli, że zaraz umrze, bo się żegna z babką”. Wujek otworzył oczy. Zapytałem, czy już się dobrze czuje. Wziął mnie za rękę i powiedział: „Przepraszam, przepraszam, przepraszam”. Zapytałem, za co przeprasza, a on powiedział: „Nie mogę reszty życia przeżyć w klatce, babciu. Bardzo mi przykro”. Wróciliśmy autobusem do Gurgaonu i zjedliśmy lunch w herbaciarni. Było strasznie gorąco i bardzo się pociliśmy. I to już wszystko, co się dziś wydarzyło.

- Pod tym napisz do niej, cokolwiek chcesz, i wyślij list jutro, jak tylko wyjadę samochodem - ale nie wcześniej.

Rozumiesz?

Przez całe rano bez przerwy padał drobny deszcz. Słyszałem go, choć nie widziałem. Poszedłem do hondy city, położyłem w środku kadzidelko, przetrąłem siedzenia, przetrąłem obrazki i rąbnąłem potworka w paszczę. Na podłogę obok miejsca kierowcy rzuciłem tobolek.

Zamknąłem i zablokowałem wszystkie drzwi.

Odszedłem dwa kroki do tyłu, skrzyżowałem ręce na piersi i złożyłem hondzie głęboki ukłon.

Poszedłem zobaczyć, co robi Dharam. Widać było, że brakuje mu towarzystwa, więc zrobiłem łódkę z papieru i puszczailiśmy ją na kałuży za ogrodzeniem.

Po lunchu zawołałem Dharama do pokoju.

Położyłem mu ręce na ramionach, powoli obróciłem go plecami do siebie i rzuciłem na podłogę monetę.

- Schyl się i podnieś.

Schylił się, a ja patrzyłem. Dharam czesał się jak pan

Ashok - z przedziałkiem pośrodku. Z góry widziałem biegnącą przez włosy wyraźną białą linię, która prowadziła do punktu na czubku głowy.

- Wyprostuj się.

Obróciłem go o trzysta sześćdziesiąt stopni i znów rzuciłem rupię na podłogę.

- Podnieś jeszcze raz.

Patrzyłem na ten punkt.

Kazałem Dharamowi usiąść w kącie i mi się przyglądać, a sam wszedłem pod moskitierę, usiadłem ze skrzyżowanymi nogami, zamknąłem oczy, położyłem dłonie na kolanach i wciągnąłem powietrze.

Nie wiem, jak długo tak siedziałem niczym Budda.

W pewnej chwili usłyszałem, że któryś ze służących krzyczy, że mam się natychmiast zgłosić do wyjścia.

Otworzyłem oczy - Dharam siedział w kącie i na mnie patrzył.

- Chodź tu - powiedziałem. Uściskałem go i włożyłem mu dziesięć rupii do kieszeni. Wiedziałem, że będą chłopakowi potrzebne.

- Balram, pośpiesz się! Dzwonek brzęczy jak wściekły!

Poszedłem do samochodu, włożyłem kluczyk w stacyjkę i włączyłem silnik. Pan Ashok stał z parasolem przy wejściu i rozmawiał przez telefon. Wciąż rozmawiając, wszedł do samochodu i zatrzasnął drzwi.

- Nie mogę w to uwierzyć. Naród miał szansę dać znów władzę skutecznie działającej partii, a głosował na tę obrzydliwą bandę zbirów. Nie zasługujemy... - Na moment odjął telefon od ucha: - Do miasta, Balram. Potem ci powiem dokąd - i wrócił do przerwanej rozmowy.

Ulice były pokryte błotnistą mazią. Jechałem powoli.

- ... na demokrację parlamentarną, ojczu. Choćby z tego powodu nigdy nie dogonimy Chin.

Najpierw pojechaliśmy do śródmieścia, do jednego ze znanych mi już banków. Wziął czerwoną torbę i wszedł do środka. Widziałem przez szybę, jak wciska guziki bankomatu. Kiedy niósł torbę z powrotem, widać było, że jest cięższa. Jeździliśmy od banku do banku, a czerwona torba pęczniała. Czułem jej ciężar na tylnym siedzeniu - jakbym wiozł ją i pana Ashoka nie samochodem, lecz tak, jak by to zrobił mój ojciec - rykszą.

Siedemset tysięcy rupii.

Dość na dom. I motocykl. I mały sklep. Na nowe życie.

Moje siedemset tysięcy rupii.

- Teraz do hotelu Sheraton, Balram.

- Tak, proszę pana.

Przekręciłem kluczyk - ruszyliśmy; zmieniłem bieg.

- Puść coś Stinga, Balram. Nie za głośno.

- Tak, proszę pana.

Włożyłem płytę do odtwarzacza. Rozległ się głos Stinga. Samochód przyspieszył. Minęliśmy słynny pomnik

Gandhiego prowadzącego swych zwolenników z mroku do światła.

Padał drobny deszcz. Ulica opustoszała. Gdybyśmy jechali dalej, doprowadziłaby nas do hotelu - najwspanialszego ze wszystkich w stolicy mojego kraju; do miejsca, gdzie zawsze się zatrzymują przyjeżdżające z wizytą głowy państw - jak Pan, Ekszelencjo. Ale Delhi to miasto, w którym wystarczy pięć minut, by cywilizacja pojawiła się i znikła. Teraz po obu stronach mieliśmy pustkowie i śmiecie.

W lusterku widziałem, że się nie odrywa od telefonu.

Twarz rozjaśniała mu niebieska poświata. Nie podnosząc oczu, spytał:

- Co się stało, Balram? Dlaczego stoimy?

Dotknąłem obrazka z boginią Kali i otworzyłem schowek. Była tam - rozbita butelka ze szklanymi szponami.

- Coś nie w porządku z kołem, proszę pana. To potrwa kilka minut.

Drzwi się otworzyły, nim ich dotknąłem, słowo daję.

Stałem w deszczu.

Brnąc przez czarne maziste błoto, obszedłem samochód i przykucnąłem koło lewego tylnego koła, niewidocznego od strony jezdni. Przy drodze rosła duża kępa krzaków, za nią rozciągała się pusta przestrzeń.

Nigdy Pan nie widział drogi tak pustej. Można by przysiąc, że opustoszała specjalnie.

Jedynym światłem w samochodzie to był niebieski poblask wydobywający się z telefonu. Zapukałem w szybę. Odwrócił się do mnie, ale jej nie opuścił.

Bezgłośnie, samymi wargami, powiedziałem: „Jest problem, proszę pana”.

Nie opuścił szyby, nie wysiadł. Zajmował się telefonem: wciskał klawisze i się śmiał. Pewnie wysyłał wiadomość do pani Urny.

Przyciśnięte do mokrego szkła, moje wargi ułożyły się w uśmiech.

Odłożył telefon. Zwinąłem dłoń w pięść i rąbnąłem w szybę. Tym razem ją opuścił. Miał niezadowoloną minę.

Z wnętrza samochodu płynął łagodny głos Stinga.

- O co chodzi, Balram?

- Czy mógłby pan wysiąść? Jest problem.

- Jaki problem?

„Jego ciało się nie ruszy! Ono wie - wie, choć umysł jest zbyt głupi, żeby się domyślić”.

- Koło, proszę pana. Sam nie dam rady. Ugrzęzło w błocie.

W tym momencie omiotły mnie światła reflektorów: nadjeżdżał samochód. Serce zabiło mi mocniej, ale samochód po prostu nas minął, rozchlapując błoto.

Pan Ashok dotknął krawędzi okna i już miał wysiąść, ale instynkt samozachowawczy go powstrzymał.

- Pada deszcz, Balram. Może powinniśmy zadzwonić po pomoc?

Zaczął się kręcić i odsunął się od drzwi.

- Och nie, proszę pana. Niech mi pan wierzy. Proszę wysiąść.

Wciąż się kręcił - jego ciało odsuwało się ode mnie jak najdalej. „Wymyka mi się” - pomyślałem, i to mnie zmusiło do zrobienia czegoś, za co miałem się nienawidzić jeszcze wiele lat później. Naprawdę nie chciałem tego robić, naprawdę nie chciałem, żeby myślał, choćby przez te dwie albo trzy minuty życia, jakie mu jeszcze pozostały, że jestem jednym z tych kierowców - z tych, co potrafią się uciec do szantażowania pana - ale nie dał mi wyboru.

- Z nim są problemy od tamtej nocy, kiedyśmy pojechali do hotelu w Jangpurze. - Od razu oderwał się od telefonu. - Tego z wielkim T. Pamięta pan, prawda? Od tamtej pory to nie ten sam samochód.

Otworzył usta, zamknął. „On teraz myśli: «Szantaż czy niewinna wzmianka o przeszłości?»». Nie daj mu czasu do namysłu”.

- Proszę wysiąść. Niech mi pan wierzy.

Położył telefon na siedzeniu. Niebieskie światło wypełniło na chwilę ciemne wnętrze samochodu i zgasło.

Otworzył drzwi po przeciwnej stronie i stanął na jezdni.

Kucnąłem, ukryty za samochodem.

- Musi pan przyjść na tę stronę. Zepsuta opona jest tutaj.

Przyszedł, ślizgając się w błocie.

- To ta, proszę pana. I proszę uważać - na ziemi leży rozbita butelka. - Wokół było tyle śmieci, że wyglądała zupełnie naturalnie. - O tu, zaraz ją wyrzucę. To ta opona, proszę spojrzeć.

Przykucnął. Stanąłem nad nim, trzymając butelkę za plecami.

Z góry jego głowa wyglądała jak czarna kula - i w tej czerni zobaczyłem cienką białą linię pomiędzy starannie rozdzielonymi włosami, która niczym pas namalowany na autostradzie prowadziła do punktu na czubku.

Czarna kula się poruszyła. Spojrzał na mnie, krzywiąc się, żeby ochronić oczy przed deszczem.

- Wygląda na to, że jest w porządku.

Stałem bez ruchu, jak uczeń przyłapany na gorącym uczynku przez nauczyciela. Pomyślałem: „Zrozumiał - tym swoim gospodarskim umysłem. Teraz się podniesie i uderzy mnie w twarz”.

Lecz co da wygrana bitwa, jeśli się nawet nie wie, że trwa wojna?

- Ale ty wiesz o tym samochodzie więcej niż ja, Balram.

Jeszcze rzucę okiem.

Znów oglądał oponę. Jeszcze raz pojawiła się przede mną czarna droga przedzielona białą linią, prowadzącą do punktu na czubku głowy.

- Nie jest w porządku, proszę pana. Już dawno powinna być wymieniona.

- Pewnie masz rację, Balram. - Dotknął opony. - Ale naprawdę uważam...

Uderzyłem. Szkło wgryzło się w kość. Trzy razy uderzałem w czaszkę, aż wgniotłem ją w mózg. Czarny johnnie walker - dobra, mocna butelka, coś warta nawet pusta.

Ogłuszone ciało przewróciło się w błoto. Z otwartych ust wydobywał się odgłos przypominający świst powietrza uchodzącego z opony.

Upadłem na ziemię. Moja trzęsąca się prawa ręka wypuściła butelkę, więc musiałem ją podnieść lewą. Rzecz ze świszczącymi ustami stanęła na czworakach i zaczęła krążyć, jakby licząc na to, że ktoś ją obroni.

Czemu go nie zakneblowałem i nie zostawiłem w krzakach, ogłuszonego, nieprzytomnego, przez wiele godzin niezdolnego nic zrobić, gdy ja bym w tym czasie uciekał?

Słuszne pytanie. Niejednej nocy je sobie zadaję, siedząc za biurkiem i wpatrując się w żyrandol.

Pierwsza możliwa odpowiedź jest taka, że mógłby oprzytomnieć, uwolnić się od knebla i zadzwonić na policję. Więc musiałem go zabić.

Druga możliwa odpowiedź jest taka, że jego rodzina miała zrobić straszne rzeczy mojej, więc po prostu zemściłem się z wyprzedzeniem.

Wolę tę drugą.

Postawiłem nogę na plecach czołgającej się rzeczy i przygniotłem ją do ziemi. Klęknąłem, żeby być na dobrej wysokości, odpowiedniej do tego, co miało nastąpić. Odwróciłem ciało na plecy i przycisnąłem kolaniem pierś. Rozpiąłem kołnierzyk i pomacałem obojczyk, żeby znaleźć właściwy punkt.

Gdy jako mały chłopiec bawiłem się w Laxmangarh z ojcem, moim ulubionym miejscem na jego ciele był punkt u zbiegu szyi i piersi, z wyraźnie wyczuwalnymi ścięgnami i żyłami.

Kiedy dotykałem tego zagłębienia, miałem nad ojcem władzę - jednym naciśnięciem palca mogłem go pozbawić oddechu.

Syn Bociana otworzył oczy, w moje trysnęła krew - właśnie przebiłem mu szyję.

Byłem ślepy. Byłem wolnym człowiekiem.

Kiedy wytarłem oczy, pan Ashok już nie żył. Krew z szyi płynęła szybko - przypuszczam, że w ten sposób zabijają swoje kurczaki muzułmanie.

Ale zapewniam Pana, że gruźlica to jednak gorszy sposób umierania.

Zaciągnąłem ciało w krzaki i umyłem twarz i ręce błotnistą wodą. Wróciłem do samochodu, sięgnąłem po pozłacane pudełko i wytarłem się chusteczkami. Z tobołka wyjąłem bawełniany T-shirt, ten cały biały z jednym słowem po angielsku, i się przebrałem. Zerwałem wszystkie obrazki z boginią i poszedłem rzucić je na ciało pana Ashoka - na wypadek, gdyby miały pomóc jego duszy dostać się do nieba.

A potem usiadłem za kierownicą, przekręciłem kluczyk, nacisnąłem pedał i zabrałem hondę city, najlepszy z samochodów, najwierniejszego ze współników, w ostatnią podróż. Ponieważ w samochodzie nie było nikogo więcej, moja lewa ręka sięgnęła do odtwarzacza, żeby wyłączyć

Stinga - lecz zastygła w powietrzu i swobodnie opadła na siedzenie.

Mogłem teraz słuchać muzyki, jak długo chciałem.

Trzydzieści trzy minuty później stałem na stacji kolejowej przed maszynami wrózącymi, patrzyłem na ich skrzące się, wirujące barwne koła i się zastanawiałem, czy powinienem wrócić po Dharama.

Wiedziałem, że jeśli tego nie zrobię, policja niewątpliwie go aresztuje jako współnika i zamknie w więzieniu z gromadą dzikusów - a słyszał Pan na pewno, co się dzieje z młodymi chłopcami, którzy trafiają w takie miejsca.

Lecz z drugiej strony, gdybym wrócił do Gurgaonu, a ktoś by natrafił na zwłoki... wtedy to wszystko (zacisnąłem rękę na torbie) by się zmarnowało.

Przycupnąłem pod ścianą, dręczony niepewnością. Nagle usłyszałem pisk. Niedaleko mnie podskakiwało jak żywe plastikowe wiadro, a po chwili wychynęła z niego roześmiana czarna twarz małego chłopca. Po obu stronach wiadra siedziała para bezdomnych. Brudni, zmęczeni, patrzyli gdzieś nieobecny wzrokiem, lecz ich synek bawił się w najlepsze, chlapiąc wodą na przechodzących ludzi. Powiedziałem mu, żeby tego nie robił, ale on zaczął

chlapać jeszcze energiczniej i piszczał z radości, kiedy woda dolatywała aż do mnie. Podniosłem rękę. Skulił się w wiadrze i chlapał dalej.

Sięgnąłem do kieszeni, poszukałem jednorupiówki, sprawdziłem, czy to czasem nie dwie rupie, i potoczyłem ją w kierunku wiadra.

Potem westchnąłem, wstałem, zakląłem i wyszedłem ze stacji.

„Masz dzisiaj szczęście, Dharam”.

NOC

SIÓDMA

Czy Pan to słyszy, Panie Jiabao? Zrobię trochę głośniej.

W dniu dzisiejszym minister zdrowia ogłosił plan zlikwidowania do końca roku malarii w Bangalurze. Zarządził, by dopóki malaria nie odejdzie w przeszłość, wszyscy urzędnicy miejscy pracowali bez urlopów. Na likwidację malarii przeznaczony jest czterdzieści pięć milionów rupii.

Inny program: Premier stanu Karnataka ogłosił dziś plan zlikwidowania w ciągu sześciu miesięcy niedożywienia dzieci w Bangalurze. Zapowiedział, że nim rok dobiegnie końca, w mieście nie będzie ani jednego głodnego dziecka.

Ma to być głównym celem działań wszystkich urzędników.

Na likwidację niedożywienia przeznaczono pięćset milionów rupii.

Inny program: Minister finansów zapowiedział, że w tegorocznym budżecie znajdą się środki na specjalne bodźce ekonomiczne, dzięki którym do naszych wsi dotrze najnowocześniejsza technika...

Takimi wiadomościami karmi nas noc w noc Ali India

Radio, a jutro o świcie to wszystko będzie też w gazetach.

I ludzie się na te bzdety nabierają. Zadziwiające, prawda?

Ale dość już radia. Wyłączyłem. Spojrzę teraz na żyrandol, moje źródło inspiracji.

Wen!

Stary przyjacielu!

Dzisiejszej nocy ta wspiana opowieść dobiegnie końca. Kiedy rano uprawiałem jogę - tak jest, codziennie wstaję o jedenastej i od razu przez godzinę ćwiczę jogę - doszedłem do wniosku, że prawie skończyłem. Jeszcze tylko muszę opowiedzieć, jak ze ściganego przestępcy stałem się filarem bangalurskiej społeczności.

A skoro mowa o jodze, to powiem Panu, że poranna godzina głębokiego oddychania, jogi i medytacji stanowi doskonały początek dnia przedsiębiorcy. Nie wiem, jak bym sobie

bez jogi poradził ze stresem w tym pieprzonym biznesie. Moja rada - wprowadźcie jogę do wszystkich chińskich szkół jako przedmiot obowiązkowy.

Ale wróćmy do naszej opowieści.

Najpierw chciałbym coś wyjaśnić na temat życia uciekiniera. Uciekanie nie polega tylko na tym, że człowiek się boi - ściganemu przysługuje również porcja radości.

Tamtego wieczoru, gdy zmiatałem na parkingu odłamki butelki po whisky, obmyśliłem plan dostania się do Bangaluru. Nie bezpośrednio - w żadnym wypadku. Ktoś mógłby mnie zobaczyć i wtedy policja by wiedziała, dokąd pojechałem. Powinienem się przesiadać z pociągu do pociągu, jechać do Bangaluru zygzakiem.

Wprawdzie mój rozkład jazdy wziął w łeb, bo wróciłem po Dharama - spał pod moskitierą, obudziłem chłopaka, powiedziałem, że jedziemy na południe, i wyciągnąłem go z łóżka - i niełatwo było trzymać w jednej ręce czerwoną torbę, a w drugiej jego dłoń (stacja kolejowa to niebezpieczne miejsce dla małych chłopców - wiadomo, mnóstwo podejrzanych typów), ale jednak udało mi się wyruszyć z Delhi zygzakiem na południe.

Trzeciego dnia takiego podróżowania z czerwoną torbą w ręce byłem na stacji w Hajdarabadzie i stałem w kolejce, żeby przed odjazdem pociągu kupić kubek herbaty. (Dharam pilnował miejsc w przedziale). Tuż nad stoiskiem z herbatą siedział na ścianie gekon. Patrzyłem na niego z niepokojem i miałem nadzieję, że sobie pójdzie, nim dotrę do lady.

Gekon odwrócił się w lewo, przebiegł przez wiszący na ścianie duży arkusz papieru, na chwilę zamarł w bezruchu i rzucił się do ucieczki.

Ten arkusz to był plakat policyjny - plakat policyjny z moją podobizną. Już tam dotarł. Przyglądałem mu się z uśmiechem dumy.

Po sekundzie uśmiech zniknął mi z twarzy. Z jakiegoś niezrozumiałego powodu - sam się Pan przekona, jak niedbale robi się różne rzeczy w Indiach - mój plakat został przyczepiony do innego, przedstawiającego dwóch terrorystów poszukiwanych za wysadzenie czegoś tam w powietrze.

Patrząc na te plakaty, właściwie można było pomyśleć, że ja też jestem terrorystą. Strasznie mnie to zirytowało.

Zauważyłem, że ktoś mnie obserwuje. Jakiś facet patrzył z uwagą na plakat i na mnie. Zadrzałem. Odwróciłem się i zacząłem odchodzić, ale już było za późno. Tamten podbiegł, chwycił mnie za rękę i zajrzał mi w twarz.

- Co tam jest napisane? Na tym plakacie?

- Sam sobie przeczytaj.

- Nie potrafię.

Zrozumiałem, dlaczego biegł. To była rozpaczliwa potrzeba analfabety zainteresowania sobą człowieka piśmiennego. Po akcencie poznałem, że też był z Ciemności.

- Ci dwaj są poszukiwani. To terroryści z Kaszmiru.

- Co zrobili?

- Wyszadzili w powietrze szkołę. Zginęło ośmioro dzieci.

- A ten z wąsami? - Postukał zgiętym palcem w moje zdjęcie.

- To jest gość, który ich złapał.

- Jak to zrobił? żeby stworzyć wrażenie, że czytam, zmrużyłem oczy i zacząłem poruszać wargami.

- On jest kierowcą. Piszą, że siedział w samochodzie, a ci dwaj do niego podeszli.

- I co?

- Piszą, że udał, że nie wie, że są terrorystami, wziął ich do samochodu i jeździł z nimi po Delhi. Potem zatrzymał samochód w ciemnym miejscu, rozbił butelkę i poderznął im gardła. - Przejechałem kciukiem po szyjach na zdjęciu.

- Jaką butelkę?

- Po angielskim alkoholu. One są solidne.

- Wiem. Co piątek chodziłem do sklepu po angielską butelkę dla mojego pana. Lubił Smirfona.

- Smirnoffa - poprawiłem go, ale nie słuchał. Wpatrywał się w zdjęcie na plakacie.

Nagle położył mi rękę na ramieniu.

- Wiesz, do kogo ten gość z plakatu jest podobny?

- Do kogo? - zapytałem.

Uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Do mnie.

Spojrzałem na jego twarz i na zdjęcie.

- Masz rację - powiedziałem i poklepałem go po plecach.

Mówiłem Panu - ta twarz mogła należeć do połowy mężczyzn w Indiach.

Już miałem wracać do pociągu, ale ponieważ zrobiło mi się żal tego biednego analfabety, bo pomyślałem, że znosi cierpliwie to, co na tyłu stacjach kolejowych musiał znosić mój ojciec - wyśmiewany i oszukiwany przez obcych - kupiłem mu kubek herbaty.

Proszę Pana, nie jestem politykiem ani parlamentarzystą. Nie jestem żadnym z tych niezwykłych ludzi, którzy potrafią zabić i przejść nad tym do porządku, jakby się nic nie stało.

Cztery tygodnie trwało, nim w Bangalurze wróciłem do równowagi.

Przez te cztery tygodnie robiłem wciąż to samo. Co rano o ósmej wychodziłem z hotelu - małego, zapuszczonego hotelu niedaleko stacji, w którym musiałem wpłacić pięćset rupii kaucji - i przez cztery godziny krążyłem po ulicach z torbą pełną pieniędzy (nie miałem odwagi zostawić jej w pokoju), a potem wracałem na lunch.

Jadłem razem z Dharamem. Nie wiem, co robił przedpołudniami, żeby się nie nudzić, ale był w dobrym nastroju. To były jego pierwsze wakacje w życiu. Jego uśmiech podtrzymywał mnie na duchu.

Lunch dla jednej osoby kosztował cztery rupie. (Na południu jedzenie jest niedrogie, ale dziwne - posiekane warzywa w wodnistym curry). Potem szedłem do pokoju i spałem. O czwartej schodziłem na dół i brałem paczkę ciasteczek Parle Milk i herbatę, bo jeszcze nie wiedziałem, jak się pije kawę.

Miałem wielką ochotę spróbować kawy. Bo widzi Pan, w tym kraju biedni ludzie z północy piją herbatę, a biedni z południa kawę. Nie wiem, kto zdecydował, że tak ma być, ale tak jest. Więc po raz pierwszy codziennie czułem zapach kawy i bardzo chciałem jej spróbować. Ale zanim ktoś zacznie pić kawę, musi wiedzieć, jak to się robi. Obowiązuje pewna etykieta, procedura, i to mnie fascynowało.

Podawali kawę w kubku wstawionym do większego kubka i potem trzeba ją było odpowiednimi porcjami po trochu do tego większego nalewać i z odpowiednią szybkością pić.

Jak należało nalewać, jak należało pić, nie wiedziałem. Na razie tylko się przyglądałem.

Po tygodniu zdałem sobie sprawę, że każdy to robi inaczej. Byli tacy, którzy przelewali od razu wszystko, i tacy, którzy w ogóle większego kubka nie używali.

„Sami przyjezdni” - pomyślałem. „Wszyscy piją kawę pierwszy raz”.

To była jeszcze jedna z zalet Bangaluru. Miasto było pełne ludzi z zewnątrz. Nikt nikogo nie zauważał.

W hotelu koło stacji, nic nie robiąc, spędziłem cztery tygodnie. Przyznaję, nachodziły mnie wątpliwości. Może powinienem pojechać do Bombaju? Ale policja od razu by na to wpadła - w filmach, jak ktoś kogoś zabije, zawsze jedzie do Bombaju, prawda?

Kalkuta! Powinienem pojechać do Kalkuty.

Któregoś ranka Dharam powiedział:

- Wujku, jesteś taki przygnębiony. Chodźmy na spacer.

Przeszliśmy przez park, gdzie na ławkach tonących w chwastach leżeli pijacy. Wyszliśmy na szeroką ulicę. Po drugiej stronie stał ogromny szary budynek ze złotym lwem na dachu.

- Co to za budynek, wujku?

- Nie wiem, Dharam. Pewnie tu mieszkają w Bangalurze ministrowie.

Wzdłuż szczytowej ściany budynku biegło hasło:

DZIEŁO RZĄDU TO DZIEŁO BOGA

- Ty się śmiejesz, wujku,

- Masz rację, Dharam, śmieję się. Myślę, że w Bangalurze będziemy się dobrze bawić

- powiedziałem i do niego mrugnąłem.

Wyprowadziłem się z hotelu i wynająłem mieszkanie.

Teraz musiałem się w Bangalurze zadomowić, dowiedzieć się, jak się mam do tego miasta dopasować.

Starąłem się usłyszeć głos Bangaluru, tak jak słyszałem głos Delhi.

Poszedłem na M.G. Road do Cafe Coffee Day, tej ze stolikami na zewnątrz. Miałem długopis i kawałek papieru i wszystko, co podsłuchałem, notowałem.

Skończyłem ten program komputerowy w dwie i pół minuty.

Pewien Amerykanin proponował mi dzisiaj czterysta tysięcy dolarów za moją nową firmę, a ja mu powiedziałem:

„To za mało!”.

Czy Hewlett-Packard jest lepszą firmą niż IBM?

Wyglądało na to, że wszystko się tu sprowadza do jednej rzeczy.

Do outsourcingu. A to znaczyło robienie różnych rzeczy w Indiach dla Amerykanów przez telefon. I z tego brało się wszystko - majątek, władza, seks. Nie było rady - tak czy inaczej musiałem się w to włączyć.

Na drugi dzień pojechałem rykszą motorową do Electronics City i usiadłem na ulicy pod figowcem. Siedziałem i do wieczora obserwowałem budynki, aż zaczęły pod nie z rykiem podjeżdżać te wszystkie dzipy; a potem do drugiej nad ranem - aż zaczęły odjeżdżać.

I myślałem: „To jest to. Coś dla mnie”.

Kilka słów wyjaśnienia, Ekscelencjo. Otóż w Bangalurze mężczyźni i kobiety żyją jak zwierzęta w lesie. W dzień śpią, a potem całą noc pracują, do drugiej, trzeciej, czwartej, piątej - różnie - ponieważ ich panowie są na drugim końcu świata, w Ameryce. I teraz ważne pytanie: Jak oni, chłopcy i dziewczęta, zwłaszcza dziewczęta, dostają się późnym wieczorem z domu do pracy, a potem o trzeciej rano z powrotem do domu? W Bangalurze nie ma

nocnych autobusów, nie ma kolejki jak w Bombaju. A poza tym dziewczęta nie byłyby w nich bezpieczne, bo prawdę powiedziawszy, tutejsi mężczyźni to dzikusy.

To jest właśnie pole do popisu dla ludzi przedsiębiorczych.

Co więc zrobiłem? Udałem się do diler Toyota Qualis i najuprzejmiej, jak umiałem, powiedziałem: „Chcę jeździć pana samochodami”. Diler spojrział na mnie ze zdziwieniem.

Sam nie mogłem uwierzyć, że to powiedziałem. Służący zawsze będzie służącym: instynkt nie zanika, zawsze się go ma, gdzieś w środku, u nasady kręgosłupa. (Gdyby Pan kiedykolwiek przyszedł do mojego biura, pewnie bym Panu od razu zaczął masować stopy!).

Uszczypnąłem się w lewą dłoń i nie puszczać uszczypniętej skóry, powiedziałem grubym szorstkim głosem:

„Chcę je wynająć”.

Ostatnim etapem zadziwiającej historii mojego sukcesu było przeistoczenie się z człowieka przedsiębiorczego na gruncie społecznym w przedsiębiorczego biznesmena. Nie był to wcale etap łatwy.

Dzwoniłem po kolei do wszystkich bangalurskich firm zajmujących się outsourcingiem. Czy nie potrzebują taksówek, które by im dowoziły pracowników wieczorem? Czy nie potrzebują taksówek, które by im rozwoziły pracowników późno w nocy?

Domyśla się Pan oczywiście, co odpowiadali.

Tylko jedna kobieta uprzejmie mi wyjaśniła, że się spóźniłem.

- Przykro mi, proszę pana, ale w Bangalurze już wszystkie firmy mają taksówki do przywożenia i odwożenia pracowników w nocy.

Było tak samo jak na początku w Dhanbadzie - wpadłem w depresję. Cały dzień przeleżałem w łóżku.

„Co by zrobił w tej sytuacji pan Ashok?” - zastanawiałem się.

I nagle mnie olśniło. Nie byłem sam - miałem sprzymierzeńców! Tysiące sprzymierzeńców!

Zobaczy Pan mych przyjaciół, kiedy Pan odwiedzi Bangalur - grubych, brzuchatych mężczyzn, wywijających bambusowymi pałkami na Brigade Road, szturchających i molestujących handlarzy, wymuszających od nich pieniądze.

Mówię oczywiście o policjantach.

Następnego dnia zapłaciłem miejscowemu człowiekowi, żeby był moim tłumaczem - z pewnością Pan wie, że w tym kraju ludzie z północy i południa mówią różnymi językami - i z czerwoną torbą w ręce poszedłem na najbliższy komisariat. Zachowywałem się jak ktoś

ważny, machałem torbą, żeby ją wszyscy zauważyli, rozdawałem świeżo wydrukowane wizytówki, a potem zacząłem się domagać spotkania z szarżą, czyli z inspektorem. I w końcu mnie do niego wpuścili. Czerwona torba zrobiła swoje.

Inspektor siedział za wielkim biurkiem, na mundurze miał błyszczące dystynkcje, na czole czerwone znaki swojej religii. Za nim wisiały trzy portrety bogów, ale nie było wśród nich tego, którego się spodziewałem.

Całe szczęście. Był też portret Gandhiego. W kącie.

Złożyłem dłonie w namaste, po czym z radosnym uśmiechem wręczyłem mu czerwoną torbę. Ostrożnie ją otworzył.

- Pragnę panu przekazać ten drobny podarunek w dowód wdzięczności - powiedziałem przez tłumacza.

- Wdzięczności za co? - spytał inspektor w hindi, zamknął jedno oko, a drugim zajrzał do torby.

Zadziwiająco - jak tylko pokażesz pieniądze, wszyscy znają twój język.

- Za całą dobroć, jaką mi pan wyświadczy.

Policzył pieniądze - dziesięć tysięcy rupii - wysłuchał, czego chciałem, i poprosił o drugie tyle. Trochę dołożyłem. Wystarczyło. I nie uwierzy Pan, Panie Premierze, ale przez cały czas, kiedy z nim pertraktowałem, był tam mój plakat, ten, który widziałem wcześniej, z małym, niewyraźnym zdjęciem.

Dwa dni później zadzwoniłem do miłej kobiety z firmy internetowej, która wcześniej odrzuciła moją propozycję, i usłyszałem szokującą historię. Nie mieli już obsługi taksówkowej, bo kontrola policyjna wykazała, że większość kierowców jeździła bez licencji.

- Strasznie mi przykro, proszę pani - powiedziałem. -

Proszę przyjąć wyrazy współczucia. A także usługi mojej firmy - White Tiger Drivers.

- Czy wszyscy pana kierowcy mają licencje?

- Ależ oczywiście, proszę pani. Może pani sprawdzić na policji.

Tak też zrobiła, a potem oddzwoniła - policja musiała powiedzieć o mnie dobre słowo. I w ten oto sposób stałem się posiadaczem własnej początkującej małej firmy; po angielsku to się nazywa start-up.

Na początku sam też jeździłem jako kierowca, ale później przestałem. Wie Pan, myślę, że w gruncie rzeczy chyba nigdy nie lubiłem prowadzenia samochodu. Rozmawianie jest o wiele przyjemniejsze. Teraz mój start-up to już duża firma: szesnastu kierowców pracujących na zmiany i dwadzieścia sześć samochodów. Tak, to prawda: mając kilkaset tysięcy cudzych rupii i nie bojąc się ciężkiej pracy, można w tym kraju zdziałać cuda. Z

moimi nieruchomościami i wkładami bankowymi jestem wart piętnaście razy więcej, niż pożyczylem od pana Ashoka. Proszę zajrzeć na moją stronę internetową. Proszę przeczytać moje motto: We

Drive Technology Forward. Po angielsku! Proszę obejrzyć zdjęcia moich samochodów: dwadzieścia sześć błyszczących nowiuteńkich toyot qualis, wszystkie z pełną klimatyzacją na letnie miesiące, wszystkie wynajmowane przez nasze słynne firmy techniczne. Jeśli komuś podobają się moje dżipy, jeśli chce, żeby chłopcy i dziewczęta z jego firmy byli odwożeni do domu w dobrym stylu, niech kliknie słowa:

NIE ZWLEKAJ, SKONTAKTUJ SIĘ
Z ASHOKIEM SHARMA!

Owszem, z Ashokiem! Ostatnio tak się nazywam. Jestem Ashok Sharma, przedsiębiorca z północnych Indii, zamieszkały w Bangalurze.

Gdyby Pan siedział tu ze mną, pod tym wielkim żyrandolem, pokazałbym Panu wszystkie tajemnice mojej firmy.

Na ekranie srebrnego laptopa Macintosh mógłby Pan obejrzyć zdjęcia moich dżipów, garaży, mechaników i opłacanych przeze mnie policjantów.

Wszystko to należy do mnie - do Munny, którego przeznaczeniem było robić cukierki!

Zobaczyłby Pan też zdjęcia moich chłopców, całej szesnastki. Kiedyś byłem kierowcą swojego pana, teraz jestem panem swoich kierowców. Nie traktuję ich jako służących - nie biję po twarzy, nie zastraszam, nie oszukuję. Ani nie obrażam, nazywając „rodziną”. Oni są moimi pracownikami, ja jestem ich szefem, i to wszystko. Każdy podpisuje umowę, którą ja też podpisuję, i obie strony muszą jej przestrzegać. I tyle. Jeśli zauważą, jak mówię, jak się ubieram, jak dbam o czystość, dojdą do czegoś w życiu. Jeśli - nie - będą tylko kierowcami. Kiedy kończą pracę, wyganiają ich z biura: żadnych pogaduszek, żadnej kawy. White Tiger nie ma przyjaciół. Jest zbyt niebezpieczny.

Choć odniosłem zdumiewający sukces, nie chcę stracić kontaktu z miejscami, w których brałem lekcje prawdziwego życia.

Z jezdnią i chodnikiem.

Wieczorami albo wczesnym rankiem spaceruję po Bangalurze i słucham ulicy.

Pewnego wieczoru, znalazłszy się w pobliżu stacji kolejowej, ujrzałem kilkunastu pracowników fizycznych, którzy stali pod ścianą i cicho rozmawiali. Mówili w dziwnym języku; byli miejscowi. Nie musiałem rozumieć ich słów, żeby wiedzieć, co mówią. W mieście, w którym jest tyle ludności napływowej, oni zostali w tyle.

Rozmawiali o czymś, co było na ścianie. Chciałem to zobaczyć, ale przestali rozmawiać i tak się skupili, że nic nie widziałem. Rozstąpili się, dopiero jak im zagroziłem policją.

To były namalowane przez szablon ręce zrywające kajdany. Pod spodem widniał napis:

WIELKI SOCJALISTA PRZYBYWA DO BANGALURU

Zjawił się po kilku tygodniach. Odbył się wielki wiec, na którym wygłosił przerażającą mowę o płomieniach, krwi i oczyszczaniu kraju z bogatych, bo za dziesięć lat nie będzie wody dla biednych, bo na świecie robi się coraz goręcej. Stałem z tyłu i słuchałem. Gdy skończył, ludzie bili brawo jak szaleni. W tym mieście jest mnóstwo gniewu, bez dwóch zdań.

Jeśli w Bangalurze - jak zresztą w każdym indyjskim mieście i miasteczku - ma się oczy i uszy otwarte, można dostrzec poruszenie, plotki, groźby zapowiadające powstanie. Mężczyźni siedzą w nocy pod latarniami i czytają.

Gromadzą się, dyskutują i wskazują palcami niebo. Czy przyjdzie taka noc, że zbiorą się wszyscy razem i zburzą

Kojec dla Kogutów?

Ha!

Podobno raz na sto lat przychodzi rewolucja, która ma uwolnić biednych. Czytałem o tym na jednej z tych kartek ze starego podręcznika, w jakie w herbaciarniach zawijają tłuste samosy. Ale tam było też napisane, że tylko czterem ludziom w dziejach udało się przeprowadzić udane rewolucje, które uwolniły niewolników i zabiły ich panów:

Aleksandrowi Wielkiemu.

Abrahamowi Lincolnowi w Ameryce.

Mao w Pana kraju.

I jeszcze jednemu, może to był Hitler, nie pamiętam.

Ale nie przypuszczam, żeby w najbliższym czasie pojawił się na tej liście piąty.

Rewolucja w Indiach?

Nie, proszę Pana. To się nie zdarzy. W tym kraju ludzie wciąż oczekują, że wojna o ich wolność nadejdzie skądinąd - z dżungli, z gór, z Chin, z Pakistanu. To się nigdy nie zdarzy. Każdy człowiek musi sobie zrobić własny Benares.

Młody Hindusie, książkę o swojej rewolucji nosisz w sobie i ściska cię od niej w dołku. Wysraj ją i przeczytaj.

Nic z tych rzeczy. Wszyscy siedzą przed kolorowymi telewizorami i oglądają mecze krykieta i reklamy szamponów.

A skoro już o reklamach szamponów mowa, to muszę powiedzieć, Panie Premierze, że na widok włosów w kolorze złota robi mi się niedobrze. Nie sędzę, żeby to był kolor zdrowy dla kobiety. Nie mam zaufania do telewizji ani do tych wielkich plakatów z białymi kobietami widocznych w całym Bangalurze. Teraz polegam na własnym doświadczeniu, wyniesionym z pięciogwiazdkowych hoteli. (Tak jest, Panie Jiabao: nie bywam już w „dzielnicach czerwonych latarni”. Nie wolno kupować i sprzedawać kobiet żyjących w klatkach dla ptaków i traktowanych jak zwierzęta. Kupuję tylko te, które znajdują w pięciogwiazdkowych hotelach).

Z mojego doświadczenia wynika, że hinduskie dziewczęta są najlepsze.

(No, drugie w kolejności. Bo nie ma nic bardziej podniecającego w Bangalurze jak widok błyszczących oczu pary młodych Nepalek spoglądających z ciemnego wnętrza rykszy. Mówię Panu, Panie Jiabao).

Prawdę powiedziawszy, widok tych złotowłosych cudzoziemek - a sam się Pan przekona, że w Bangalurze jest ich dzisiaj pełno - utwierdził mnie w przekonaniu, że z białymi jest coraz gorzej. Wszystkie te dziewczyny są takie wychudzone, wymizerowane. Nie znajdzie Pan żadnej z porządnym brzuchem. Uważam, że winę za to ponosi prezydent Ameryki - to on zalegalizował w swoim kraju pederastię i teraz mężczyźni żenią się z mężczyznami zamiast z kobietami. Mówili o tym w radiu. To prowadzi do upadku białego człowieka. Oprócz tego biali za często używają telefonów komórkowych, a to niszczy im mózgi. To stwierdzony fakt. Telefony komórkowe powodują raka mózgu i szkodzą męskości. Japończycy je wymyślili, żeby za jednym zamachem zmniejszyć białemu mężczyźnie mózg i jaja. Którejś nocy usłyszałem to przypadkiem na przystanku autobusowym. Wcześniej byłem bardzo dumny ze swojej nokii, pokazywałem ją wszystkim dziewczętom, na które miałem ochotę, ale ją wyrzuciłem. Teraz mam zwyczajny telefon. To nie służy firmie, ale mój mózg jest ważniejszy, proszę Pana. Mózg to wszystko, co ma na tym świecie człowiek myślący.

Z białymi będzie koniec jeszcze za mojego życia. Są też czarni i czerwoni, ale nie mam pojęcia, co knują - w radiu nigdy o nich nie mówią. Moim skromnym zdaniem, za dwadzieścia lat na szczycie piramidy będziemy tylko my, zółci i brązowi, i będziemy rządzić całym światem.

A wszystkich innych niech Bóg ma w swojej opiece.

Wyłumaczę się teraz z długiej przerwy w mojej opowieści dwie noce temu.

Ale najpierw wyjaśnię, na czym polega różnica między

Bangalurem a Laxmangarh. W Bangalurze, Panie Jiabao, oczywiście nie jest tak, że się przyjeżdża i wszyscy są moralni i prawi. To miasto też ma swoich zbirów i polityków.

Tylko że tutaj, jeśli człowiek chce być dobry, to może być dobry. W Laxmangarh nie ma nawet takiego wyboru.

Możliwość wyboru - oto różnica między tymi Indiami i tamtymi Indiami.

A tamtej nocy, kiedy tu siedziałem i opowiadałem Panu historię swojego życia, zadzwonił telefon. Wciąż mówiąc do Pana, podniosłem słuchawkę i usłyszałem głos Mohammada Asifa:

- Mamy kłopot, proszę pana.

Wtedy przerwałem rozmowę z Panem.

- Jaki kłopot? - spytałem. Wiedziałem, że Mohammad

Asif ma tej nocy dyżur, więc się przygotowałem na najgorsze.

Chwilę milczał, a potem powiedział:

- Kiedy odwoziłem dziewczyny do domu, zderzyliśmy się z rowerzystą. Nie żyje, proszę pana.

- Natychmiast dzwoń na policję.

- Ale... ale to była moja wina, proszę pana. To ja go uderzyłem.

- Właśnie dlatego zadzwonisz na policję.

Kiedy przyjechałem na miejsce wypadku, policja już tam była. Toyota stała przy krawężniku, dziewczyny siedziały w środku.

Na ziemi, obok roztraskanego, powyginanego roweru, leżało zakrwawione ciało chłopca.

Mohammad Asif stał z boku i kręcił głową, a jakiś człowiek na niego krzyczał. Krzyczał z wyrazem takiego cierpienia na twarzy, jaki można ujrzeć tylko u członka rodziny nieboszczyka.

Policjant kazał wszystkim czekać. Kiwnął mi głową.

Znaliśmy się dobrze już wcześniej.

- To brat tego chłopca, proszę pana - szepnął. - Wpadł w furję. Nie byłem w stanie się go pozbyć.

- Przede wszystkim zawieź te kobiety do domu. Weź mój samochód - wyrwałem Mohammada Asifa z transu.

- Pozwól mu jechać - zwróciłem się głośno do policjanta. - Musi te dziewczyny zawieźć do domu. Wszystko, co masz tu do zrobienia, załatwisz ze mną.

- Nie możesz pozwolić mu odjechać! - krzyknął brat chłopca do policjanta.

- Posłuchaj, synu - powiedziałem. - Jestem właścicielem tego samochodu. To sprawa między tobą i mną, a nie kierowcą. Kazałem mu jechać najszybciej, jak potrafi, a on tylko wykonywał moje polecenie. To ja mam krew na rękach, nie on. Dziewczęta muszą wrócić do domu. Jedź ze mną na komisariat - mogę być twoim zakładnikiem. A oni niech jadą w swoją stronę.

- To dobry pomysł, synu - poparł mnie policjant. -

Musimy spisać protokół w komisariacie.

Kiedy przemawiałem bratu chłopca do rozsądku, Mohammad Asif i dziewczęta wsiedli do mojego vana i odjechali. To było najważniejsze - dostarczyć je do domu. Podpisałem z ich firmą umowę, a ja szanuję swój podpis.

Pojechaliśmy na komisariat. Policjanci przynieśli mi kawę. Bratu zabitego nie. Kiedy brałem kubek do ręki, patrzył na mnie wściekłym wzrokiem, jakby chciał mnie rozdrzeć na strzępy. Wypiłem łyk.

- Za pięć minut będzie tu podkomisarz - powiedział jeden z policjantów.

- Czy to on ma spisać protokół? - spytał chłopak. - Bo jeszcze nikt tego nie zrobił.

Łyknąłem kawy.

Podkomisarzowi, który urzędował w tym komisariacie, często dawałem w łapę. Kiedyś uwolnił mnie od konkurenta. Miał w głowie tylko jedno - brać forszę od każdego, kto się pojawia w gabinecie. Najgorszy gatunek człowieka. Łajdak.

Ale mój łajdak.

Jego widok podniósł mnie na duchu. Facet w środku nocy przyjechał na komisariat, żeby mi pomóc. Nawet złodziej ma swój honor, jak to się mówi. Natychmiast się zorientował w sytuacji. Nie zwracając na mnie uwagi, podszedł do chłopaka i zapytał:

- No to czego chcesz?

- Żeby spisano protokół. Żeby ta zbrodnia została zarejestrowana.

- Jaka zbrodnia?

- Zabicie mojego brata. Samochodem tego człowieka.

- Wskazał mnie palcem.

Podkomisarz spojrział na zegarek.

- Boże, ale już późno. Prawie piąta. Nie chcesz iść do domu? Zapomnimy, że tu byłeś.

Pozwolimy ci pójść do domu.

- A co z tym człowiekiem? Najpierw go zamkniecie?

Podkomisarz złożył dłonie i westchnął.

- Widzisz, w chwili wypadku światła roweru twojego brata nie działały. A to jest niezgodne z prawem. Wyjdą jeszcze inne rzeczy. Słowo daję, że wyjdą.

Chłopak otworzył szeroko oczy i pokręcił głową, jakby źle słyszał.

- Mój brat nie żyje. Ten człowiek jest zabójcą. Nie rozumiem, co się tu dzieje.

- Jedź do domu. Wykąp się. Pomódl. Prześpij. Wróc tu rano. Wtedy spisemy protokół. Dobrze?

Chłopak wreszcie zrozumiał, dlaczego zabrałem go na komisariat - wreszcie pojął, że wpadł w pułapkę. Wcześniej widział policjantów pewnie tylko w hinduskich filmach.

Biedaczysko.

- To oburzające! Pójdę z tym do gazet! Do prawników!

Zadzwonię na policję!

Podkomisarz, człowiek niemający skłonności do żartów, pozwolił sobie na lekki uśmiech.

- Jasne, dzwoń na policję.

Chłopak wybiegł jak burza, wykrzykując dalsze groźby.

- Jutro zmienimy tablice rejestracyjne - powiedział podkomisarz. - Powiemy, że to była ucieczka z miejsca wypadku. Podstawimy inny samochód. Trzymamy tu uszkodzone wozy do takich celów. Masz wielkie szczęście, że twój Qualis uderzył rowerzystę.

Przytaknąłem.

Zabity rowerzysta - policja nie musi nawet odnotowywać sprawy. Zabity motocyklista - musieliby spisać protokół. Zabity człowiek w samochodzie - zamknęliby mnie w areszcie.

Podkomisarz poklepał się po brzuchu.

- Mam tu wszystkich dziennikarzy w mieście.

Nie dałem mu koperty od razu. Takie rzeczy robi się w stosownym czasie i w stosownym miejscu. Teraz był czas na uśmiech i podziękowanie, i popijanie kawy, którą mnie częstował; teraz był czas na pogawędkę o jego synach - obaj studiują w Ameryce, on chce, żeby wrócili i założyli w Bangalurze firmę internetową - i potakiwania, i uśmiechy, i pokazywanie moich czystych, błyszczących, nafluorowanych zębów. Popijaliśmy parującą kawę, siedząc pod kalendarzem z podobizną bogini Lakszmi sypiącej złote monety do rzeki dobrobytu. Nad kalendarzem wisiał portret boga bogów, śmiejącego się Mahatmy Gandhiego.

Za tydzień przyjdę do niego z kopertą, a on wtedy nie będzie już taki miły. Przy mnie policzy pieniądze i powie:

„To wszystko? Ty wiesz, ile kosztuje utrzymanie dwóch synów na studiach za granicą? Nie widziałeś tych rachunków, które mi co miesiąc przysyłają!”. I poprosi o

następną kopertę. A potem następną i następną, i tak dalej. Te rzeczy w Indiach nigdy się nie kończą, Panie Jiabao, jak słusznie mówił pan Ashok. Tym skurwielom się płaci i płaci bez końca. Aleja się skarżę na policję na sposób bogatych, nie jak to robią biedni.

Różnica jest zasadnicza.

Następnego dnia wezwałem Mohammada Asifa. Nie musiałem mu czynić wyrzutów - przez to, co zrobił, sam o mało nie spalił się ze wstydu.

A to nie była jego wina. Ani moja. Firmy, które żyją z outsourcingu, są tak skape, że wymuszają na przedsiębiorstwach taksówkowych prawie niewykonalną liczbę kursów. Żeby sprostać ich wymaganiom, musimy jeździć nieostrożnie, musimy potrącać i kaleczyć ludzi na ulicach. To jest problem, z którym ma do czynienia każde przedsiębiorstwo taksówkowe w tym mieście. Proszę nie obwiniać mnie.

- Nie przejmuj się, Asif - powiedziałem. Chłopak wyglądał na kompletnie załamanego.

Zacząłem szanować muzułmanów, proszę Pana. Najbystrzejsi nie są, jeśli nie liczyć tych czterech gości, co pisali wiersze, ale kierowcy z nich dobrzy i są uczciwi, na ogół, bo jest paru, którzy wyraźnie czują potrzebę wysadzenia co roku jakiegoś pociągu. Nie miałem zamiaru zwolnić z tego powodu Asifa.

Poprosiłem, żeby się dowiedział, jaki jest adres chłopca, któregośmy zabili.

Spojrzał na mnie zdziwiony.

- Po co, proszę pana? Ze strony jego rodziców nic nam nie grozi. Proszę tego nie robić.

Kazałem mu zdobyć ten adres.

Kiedy mi go dostarczył, wyjąłem z sejfu nowe, szeleszczące sturupiówki i włożyłem do brązowej koperty. Wsiadłem do samochodu i sam tam pojechałem.

Drzwi otworzyła matka. Spytała, czego chcę, a ja powiedziałem, że jestem właścicielem firmy taksówkowej.

Nie musiałem mówić której.

Przyniosła mi kawę w kubku umieszczonym w większym metalowym kubku. Ci Hindusi z południa mają nienaganne maniery.

Przelałem kawę do większego kubka i piłem jak należy, małymi łykami.

Na ścianie wisiało zdjęcie młodego mężczyzny otoczone girlandą z jaśminu.

Bez słowa piłem kawę. Gdy skończyłem, położyłem na stole brązową kopertę.

Do pokoju wszedł stary mężczyzna. Stał i patrzył na mnie.

- Przede wszystkim pragnę wyrazić swój głęboki żal z powodu śmierci waszego syna. Sam straciłem bliskich, bardzo wielu, więc wiem, jaki czujecie ból. On nie powinien był umrzeć. Po drugie, winę ponoszę ja, nie kierowca.

Policja mnie puściła, bo takie są prawa dżungli, w której żyjemy. Ale poczuwam się do odpowiedzialności. Proszę was o przebaczenie.

Wskazałem leżącą na stole brązową kopertę.

- Tu jest dwadzieścia pięć tysięcy rupii. Daję wam je nie dlatego, że muszę, tylko dlatego, że chcę. Rozumiecie?

Kobieta nie wzięła pieniędzy.

Jej mąż przyglądał się kopercie.

- Przynajmniej zachował się pan jak mężczyzna - powiedział.

- Chcę pomóc waszemu drugiemu synowi. To odważny chłopak. Tamtej nocy przeciwstawił się policji. Jeśli chcecie, może zostać u mnie kierowcą.

Kobieta przyłożyła ręce do twarzy i pokręciła głową.

Z oczu popłynęły jej łzy. To było zrozumiałe. Pewnie łączyła z tym chłopcem podobne nadzieje, jak moja matka ze mną. Za to ojciec był nastawiony ugodowo; mężczyźni w takich razach wykazują więcej rozsądku.

Podziękowałem za kawę, skłoniłem się z szacunkiem przed pogrążoną w smutku matką i wyszedłem.

W biurze czekał na mnie Mohammad Asif. Pokręcił głową i powiedział:

- Dlaczego? Dlaczego pan zmarnował tyle pieniędzy?

I wtedy pomyślałem, że może popełniłem błąd. Może on powie innym kierowcom, że się przestraszyłem starej kobiety, a oni uznają, że mogą mnie oszukiwać. Ta myśl mnie denerwuje. Nie lubię okazywać słabości przed podwładnymi. Wiem, do czego to prowadzi.

Ale przecież nie mogłem postąpić inaczej, prawda? Nie mogę żyć, jak w Laxmangarh żyli i pewnie nadal żyją

Dzik, Bawół i Bocian.

Teraz jestem w Jasności.

Co się dzieje w typowym opowiadaniu w „Tygodniku o Morderstwach” albo w hinduskim filmie? Biedak zabija bogacza. W porządku. Potem zabiera jego pieniądze. W porządku. Ale potem ma sny, w których ściga go zakrwawiony nieboszczyk, powtarzając: „Mor-der-ca, mor-der-ca”.

W rzeczywistości to się nie zdarza, proszę mi wierzyć.

Między innymi dlatego przestałem chodzić na hinduskie filmy.

Raz tylko babcia Kusum goniła mnie na bawolicy, ale taka noc więcej się nie powtórzyła.

Prawdziwy koszmar jest wtedy, gdy człowiek rzuca się na łożku, bo mu się śni, że tego nie zrobił - że mu zabrakło odwagi i pan Ashok uszedł cało - że wciąż jest w Delhi, jako czyjś służący. Ale potem się budzi.

Przestaje się pocić. Serce przestaje mu walić.

„Zrobiłeś to! Zabiłeś go!”.

Jakieś trzy miesiące po przyjeździe do Bangaluru poszedłem do świątyni i odprawiłem ostatni obrządek za nich wszystkich: za Kusum, Kishana, ciotki, kuzynów, dzieci.

Pomodliłem się nawet za bawolicę. Kto wie, kto z nich żyje, a kto nie? A potem powiedziałem Kishanowi, Kusum i im wszystkim: „Teraz zostawcie mnie w spokoju”.

I w zasadzie zostawili, proszę Pana.

Pewnego dnia przeczytałem w gazecie: „Siedemnastoosobowa rodzina wymordowana we wsi na północy Indii”.

Serce zaczęło mi walić. Ale siedemnastoosobowa? W takim razie nie moja. To była jedna z tych kilkunastowerszowych przerażających opowieści, jakie się co rano ukazują w gazetach - nazwy wsi nie podali. Napisałi tylko, że to było gdzieś w Ciemności, niedaleko Gai. Siedemnastoosobowa! - czytałem wciąż na nowo. Nie ma ich siedemnaściorga w domu...

Odetchnąłem... A jeśli komuś się urodziły dzieci?...

Zmiałem papier i wyrzuciłem. Potem przez kilka miesięcy nie czytałem tej gazety. Na wszelki wypadek.

A oto co mogło się z nimi stać. Bocian mógł kazać wszystkich zabić albo zabić niektórych, a pozostałych pobić. A jeśli nawet jakimś cudem on albo policja tego nie zrobili, to bojkotują ich sąsiedzi. Bo zły chłopak w jednej rodzinie rzuca cień na reputację całej wsi. Więc mieszkańcy pewnie ich zmusili do wyniesienia się ze wsi, a oni mogli wyjechać do Delhi, Kalkuty czy Bombaju i żyć tam pod jakimś betonowym mostem, zebrząc, żeby mieć co jeść.

Niewiele to lepsze niż śmierć.

Co Pan powiedział, Panie Jiabao? Że jestem bezwzględny potworem?

Znam pewną opowieść - usłyszałem ją chyba na jakiejś stacji kolejowej, a może przeczytałem w podartej gazecie, w którą była zawinięta kolba pieczonej kukurydzy kupiona na targu, nie pamiętam. W każdym razie jest to opowieść o Buddzie. Kiedyś sprytny bramin, chcąc wprowadzić

Buddę w zakłopotanie, spytał go: „Mistrzu, uważasz się za człowieka czy za boga?”.

Budda odparł z uśmiechem: „Ani za jednego, ani za drugiego. Jestem po prostu kimś, kto się zbudził, podczas gdy wy jeszcze śpicie”.

Tak samo odpowiem na Pana pytanie, Panie Jiabao.

Pyta Pan: Jesteś człowiekiem czy demonem?

Ani tym, ani tym, odpowiadam. Obudziłem się, a wy jeszcze śpicie, i to jest cała różnica między nami.

W ogóle nie powinienem o nich myśleć. O mojej rodzinie.

Dharam z pewnością nie myśli.

On już zrozumiał, co się stało. Powiedziałem mu, że jedziemy na urlop, i wierzył w to przez miesiąc albo dwa. Teraz nic nie mówi, ale czasem widzę, jak mnie obserwuje spod oka.

On wie.

Wieczorami jemy razem, siedząc naprzeciw siebie przy stole, patrzymy jeden na drugiego i niewiele mówimy. Kiedy Dharam kończy posiłek, daję mu szklankę mleka. Dwa dni temu, gdy wypił mleko, spytałem:

- Czy myślisz czasem o matce?

Cisza.

- A o ojcu?

Uśmiechnął się i powiedział:

- Dasz mi, wujku, jeszcze jedną szklankę mleka?

Wstałem.

- I porcję lodów - dodał.

- Lody są na niedzielę, Dharam - odparłem.

- Nie. Są na dzisiaj - zaprzeczył.

I znów się do mnie uśmiechnął.

Wszystkiego się domyślił, mówię Panu. Mały szantażysta. Będzie cicho, dopóki go będę karmił. Jeśli pójdę do więzienia, straci lody i szklankę mleka, nieprawdaż? Tak na pewno myśli. To młode pokolenie nie ma odrobiny moralności, mówię panu.

W Bangalurze chodzi do dobrej szkoły - angielskiej.

Ma wymowę niczym syn bogacza. Umie powiedzieć „pizza”, tak jak to robił pan Ashok. (I oczywiście uwielbia to paskudztwo). Z dumą patrzę, jak siedzi przy stole i na czystym białym papierze dzieli te różne wielkie liczby. Nigdy się tego nie nauczyłem.

Wiem, że kiedyś Dharam, ten chłopiec, który pije moje mleko i zjada wielkie porcje moich lodów, spyta: „Nie mogłeś uratować mojej matki? Nie mogłeś jej wcześniej napisać, żeby uciekała?”.

I wtedy pewnie będę musiał znaleźć odpowiedź - albo go zabić. Ale zanim padnie to pytanie, minie jeszcze kilka lat. Do tej pory będziemy razem jeść kolacje - Dharam, ostatni członek mojej rodziny, i ja.

Została jeszcze tylko jedna osoba, o której trzeba coś powiedzieć.

Mój były pan.

Uważałem, że nie muszę się za niego modlić, bo rodzina odprawi za jego duszę bardzo kosztowne modły nad Gangą. A co mogą znaczyć modlitwy biedaka do 36 000 bogów w porównaniu z modłami bogaczy?

Ale dużo o nim myślę i - choć może mi Pan nie wierzyć - odczuwam jego brak. On nie zasłużył na swój los.

Powinienem był poderżnąć gardło Manguście.

I w ten sposób, Ekscelencjo, nastąpił w ciągu ostatnich siedmiu nocy wielki postęp w stosunkach chińsko-indyjskich. Hindi-Chini Bhai Bhai, jak to mówią. Powiedziałem

Panu wszystko, co trzeba wiedzieć o przedsiębiorczości - jak się rozwija, jak sobie radzi z trudnościami, jak się konsekwentnie trzyma swoich celów i jak zdobywa złoty medal za sukces.

Moja opowieść dobiegła końca i poznał Pan moje tajemnice, lecz jeśli Pan pozwoli, dopowiem jeszcze jedno słowo.

(Tej starej sztuczki nauczyłem się od Wielkiego Socjalisty. Kiedy jego słuchacze zaczynają ziewać, mówi „jeszcze jedno słowo” - przez następne dwie godziny. Ha!).

Gdy jadę przez Hosur Main Road, gdy skręcam w Electronics City Phase 1 i mijam te firmy, ogarnia mnie niewysłowione podniecenie. General Electric, Dell, Siemens - one wszystkie są w Bangalurze. A będzie ich jeszcze więcej. Wszędzie coś się buduje. Wszędzie góry zaprawy murarskiej. Góry kamieni. Góry cegieł. Miasto zasnuć dymem, smogiem, cementowym pyłem. Ukryte za zasłoną.

Jaki będzie Bangalur, gdy zasłona się uniesie?

Może to będzie katastrofa: slumsy, ścieki, maile, korki, policjanci. Ale nigdy nie wiadomo. Może też się okazać przyzwoitym miastem, gdzie ludzie będą żyć jak ludzie, a zwierzęta jak zwierzęta. Nowy Bangalur dla nowych Indii. I wtedy będę mógł powiedzieć, że na swój sposób pomogłem stworzyć Nowy Bangalur.

A dlaczego by nie? Czy nie jestem częścią tego wszystkiego, dzięki czemu ten kraj się zmienia? Czy nie odniosłem sukcesu w walce, jaką powinien podjąć każdy biedak - w walce o to, by nie zbierać cięgów, jakie zbierał ojciec; by nie skończyć na stosie niedających się rozróżnić ciał, gnijących w czarnym mule Matki Gangi?

Prawda, pozostaje sprawa morderstwa - które jest rzeczą złą, co do tego nie ma wątpliwości. Ono mi napawa duszę smutkiem. Moich rąk nie oczyszczą wszystkie kremy wybielające, jakie można kupić na wszystkich targowiskach Indii.

Ale czyż nie jest tak, że prawdopodobnie każdy, kto się na tym świecie liczy, nie wyłączając naszego premiera (jak również Pana, Panie Jiabao), zabił w drodze na szczyt tego lub owego? Zabij wystarczająco dużo ludzi, a wystawią ci pomnik z brązu koło gmachu parlamentu w Delhi - ale to jest chwała, a nie to, o co mi chodziło. Ja tylko chciałem być człowiekiem - a do tego wystarczyło jedno morderstwo.

Co będzie ze mną dalej? Wiem, że się Pan nad tym zastanawia.

Oto moja odpowiedź. Dziś po południu, jadąc M.G.

Road, ulicą luksusowych sklepów i amerykańskich firm, zobaczyłem, jak pracownicy Yahoo! umieszczają przed budynkiem nowy banner:

JAK AMBITNE MASZ PLANY?

Puściłem kierownicę i rozpostarłem ręce szerzej niż na długość słoniowego fiuta.

„Takie ambitne, skurwiele!”.

Kocham swój start-up - ten żyrandol, ten srebrny laptop i te dwadzieścia sześć toyot Qualis - ale uczciwie mówiąc, wcześniej czy później zacznie mnie to nudzić. Jestem dopiero na pierwszym biegu, Panie Premierze.

W końcu będę musiał to sprzedać jakiemuś kretynowi - chciałem powiedzieć, przedsiębiorcy - i wejść w nową branżę. Myślę o nieruchomościach. Bo to jest tak: gdy inni widzą, co jest dziś, ja zawsze widzę jutro. A jutro do

Bangaluru zwali się cały świat. Wystarczy pojechać w stronę lotniska i policzyć po drodze te na wpół ukończone pudła ze szkła i stali. Wystarczy popatrzeć na nazwy budujących je amerykańskich firm. A jak ci wszyscy

Amerykanie tu przyjadą, to jak Pan myśli, gdzie będą spali? Na ulicy?

Ha!

Jak tylko jest gdzieś puste mieszkanie, oglądam i zastanawiam się, ile mógłbym za nie dostać od Amerykanina w 2010 roku. Jeśli widzę, że może odpowiadać Amerykaninowi, natychmiast wpłacam zadatek. Bangaluru to przyszłość rynku nieruchomości, Panie Jiabao. Jak Pan chce, też się Pan może obłowić - chętnie pomogę!

Myślę, że po jakichś trzech, czterech latach sprzedam wszystko i założę szkołę - anglojęzyczną - dla biednych dzieci z Bangaluru. Szkołę, gdzie nie będzie wolno mieszać w głowach historiami o Bogu czy Gandhim. Nic tylko fakty. Szkołę pełną Białych Tygrysów, wypuszczonych na wolność w Bangalurze! To miasto padnie nam do stóp, zobaczy Pan.

Zostanę Bossem Bangaluru. Natychmiast załatwię tego podkomisarza. Wsadzę go na rower i każę Asifowi potrącić go toyotą.

Z tych marzeń równie dobrze może nic nie wyjść.

Czasem myślę, że mnie nigdy nie złapią. Że Kojec dla

Kogutów potrzebuje, by się z niego uwalniali ludzie tacy jak ja. By panowie w rodzaju pana Ashoka - który mimo licznych zalet panem był marnym - zostali wyplenieni i zastąpieni przez wyjątkowych służących, właśnie jak ja.

W takich chwilach czuję satysfakcję, że choćby rodzina pana Ashoka wyznaczyła milion dolarów nagrody za moją głowę, to i tak to nic nie da. Przeszedłem na drugą stronę: należę teraz do tych, których w Indiach nie można złapać.

Wtedy patrzę na żyrandol i mam ochotę wznieść ręce w górę i krzyknąć tak głośno, żeby mój głos dotarł przez te wszystkie telefony i call-centres aż do ludzi w Ameryce:

„Udało mi się! Wydostałem się z kojca!”.

Lecz innym razem ktoś krzyczy na ulicy „Balram”, a ja się odwracam i myślę, że się właśnie wydałem.

Wpadka - to jest zawsze prawdopodobne. W Indiach wszystko się może zdarzyć, jak mawiał pan Ashok. Można dać policjantom brązowe koperty i czerwone torby, jakie się tylko chce, a oni i tak zrobią człowieka w konia. Któregoś dnia jakiś mundurowy może wskazać mnie palcem i powiedzieć: „Czas minął, Munna”.

Ale jeśli nawet wszystkie moje żyrandole spadną na podłogę i się potłuką - jeśli nawet trafię do więzienia i wszyscy pozostali więźniowie zamoczą we mnie swoje dzioby - jeśli nawet będę musiał się wspinać po drewnianych stopniach na spotkanie z katem i jego pętlą - nigdy nie powiem, że popełniłem błąd, gdy tamtej nocy w Delhi poderżnąłem swojemu panu gardło.

Powiem, że warto było choćby przez dzień, choćby przez godzinę, choćby przez minutę czuć, co znaczy nie być służącym.

Myślę, że dojrzałem do tego, żeby mieć dzieci, Panie

Premierze.

Ha!

Szczerze oddany,

Ashok Sharma

Biały Tygrys z Bangaluru boss@whitetiger-technologydrivers.com